cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #204 07-08/2023

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



LANDYZACJA POLSKI

ISSN 1895-4960

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI/STUDIO FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA, ADOBE STOCK

eprasa.pl 27191359ba

TEMAT NUMERU ▼ 4–9



Dlaczego Tusk chce rozbić Polskę na landy / 4

IDEE ▼ 10–37



Sejfityzm, czyli jak zostało zepsute młode pokolenie / 10

SPOŁECZEŃSTWO ▼ 38–47



Aborcja niszczy zdrowie kobiet / 38

HISTORIA ▼ 48–67



Król Kaszub, mocny człowiek Polski / 48

KULTURA ▼ 58–82



Rewa, czyli poczuć się jak Mojżesz / 68

ŚWIAT ▼ 88–97



Trzy lata po wybuchu pandemii / 88

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Dlaczego Tusk chce rozbić Polskę na landy /4

Ryszard Czarnecki
Landyzacja Polski – marzenie sąsiadów /9

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Sejfityzm, czyli jak zostało zepsute młode pokolenie /10

Krzysztof Wołodźko
Bohdan Urbankowski. Apologia polskiego romantyzmu /14

Tomasz Łysiak
Powrót Imperium Zła, czyli historia według Putina /18

Jurij Szczerbak
Podlegają likwidacji: putin i post-putin /22

Ewa Polak-Pałkiewicz
Żelazny kanclerz i tajemnica Gietrzwałdu /26

Józef Pałkiewicz
Mastroianni u Felliniego, czyli kryzys mężczyzny /34

SPOŁECZEŃSTWO

Z prof. Bogdanem Chazanem rozmawia Maria Kobylińska
Aborcja niszczy zdrowie kobiet /38

Małgorzata Matuszak
Homeschooling – dobra alternatywa dla szkoły czy tylko pozór edukacji? /43

Grzegorz Wszołek
Awantura w „Szkle kontaktowym". Rewolucja pożera własne dzieci /46

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Król Kaszub, mocny człowiek Polski /48

Dariusz Jarosiński
Pisarz z polskiego gniazda /54

Agnieszka Kowalczyk
Dzieci Katynia – strażnicy pamięci /60

Roman Dmowski
Nasz patriotyzm /66

KULTURA

Stefan Czerniecki
Rewa, czyli poczuć się jak Mojżesz /68

Magdalena Łysiak
Z miłości do sztuki, czyli o człowieku, który w biały dzień rabował europejskie muzea /76

Krzysztof Karnkowski
„Czarne lustro 6": bez promocji i bez szału /80

ŚWIAT

Hanna Shen
Trzy lata po wybuchu pandemii /88

Antoni Rybczyński
Pogranicze w ogniu, czyli wojna zawitała do Rosji /92

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji /96

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Tusk płacił Polską jak nieswoimi pieniędzmi
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... pielgrzymowanie
KATECHIZM INTELIGENTA 21



Marek Kalinowski
Lekcja, która przychodzi w porę
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 75



Ryszard Czarnecki
Sierra Leone, czyli Afryka nr 22
CZARNECKO TO WIDZĘ 83



Krzysztof Wołodźko
Róże i polityka. Orwell, jakiego nie znacie
DZIENNIK LEKTUR 84



Marcin Wolski
Wyobraźnia, głupcy!
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Co zamiast imperium
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

epasa.pl 2719135998



Katarzyna Gójska

Tusk płacił Polską jak nieswoimi pieniędzmi

Tusk sprzeniewierzając się żywotnym interesom Rzeczypospolitej, wychodził naprzeciw interesom innych. Z dokumentów przygotowywanych w kierowanym przez Sikorskiego MSZ wynika, że nie podejmowano tam nawet prób definiowania tego, co miało służyć Polsce. Nie określano celów rozmów z Rosjanami, poza tym, że trzeba ich zadowolić.

Dzięki autorom serialu dokumentalnego „Reset" wiemy, iż w rozmowie z prezydentem Stanów Zjednoczonych Donald Tusk wspomniał o kosztach, które musiał ponieść, by porozumieć się z Rosją. Sęk w tym, że to nie dzisiejszy lider PO coś ludobójcom z Kremla zapłacił. Zrobił to w naszym imieniu i naszymi interesami. Do dziś nie wiemy, ile kosztowało nas łaszenie się Tuska do Putina, łaszenie, którego celem miało być najwyraźniej uwiarygodnienie ówczesnego premiera RP jako lojalnego sojusznika niemiecko-rosyjskiej polityki zdominowania Europy. Jest pewne, iż walcząc o tę laurkę, Tusk nie oszczędzał – w końcu płacił nie ze swoich. Hojnie obdarował Putina w Moskwie – pięknie go zaskakując – w czasie jednego spotkania podjął decyzję o torpedowaniu tarczy antyrakietowej, choć Rosjanie byli przekonani, że tyle od szefa polskiego rządu nie uzyskają. Ale on miał gest – oddał bezpieczeństwo Polski, zainicjował wszystkie działania, których na Kremlu oczekiwano. Cieszył się, iż uległość wobec Federacji Rosyjskiej zyskała uznanie w kilku europejskich stolicach. Prawdopodobnie właśnie wówczas rozpoczynał zabiegi o unijną posadę, a w klepaniu po plecach widział zapowiedź sukcesu. Jednym słowem, Tusk sprzeniewierzając się żywotnym interesom Rzeczypospolitej, wychodził naprzeciw interesom innych. Z dokumentów przygotowywanych w kierowanym przez Sikorskiego MSZ wynika, że nie podejmowano tam nawet prób definiowania tego, co miało służyć Polsce. Nie określano celów rozmów z Rosjanami, poza tym, że trzeba ich zadowolić. Nie dziwi zatem milczenie przewodniczącego Platformy wobec oskarżeń o zdradę interesu ojczyzny. Nie dziwi niemoc jego przybocznych wobec prośby o wskazanie korzyści, jakie Polska odniosła w wyniku polityki resetu. Ale spójrzmy na tę sprawę jeszcze inaczej – jakim oczekiwaniom czy żądaniom Rosji Tusk odmówił? Jakim się sprzeciwił? Nie ma po nich śladu w dokumentach MSZ. Nawet zaproszenie do rozbioru Ukrainy, czyli po prostu do uderzenia w naszego wschodniego sąsiada z zamiarem co najmniej naruszenia jego integralności terytorialnej, nie spotkało się z odmową. Tak przynajmniej twierdzi szef dyplomacji Tuska. Co prawda tłumaczy brak reakcji swojego pryncypała obawą przed nagraniem, ale skoro Tusk tak lękał się o przekaz z zarejestrowanego spotkania, to dlaczego jednoznacznie nie odciął się od pomysłu napaści na Ukrainę? Przecież zbycie słów Putina milczeniem budowało dwuznaczność, zdecydowane zaprzeczenie dowodziłoby jednoznacznego sprzeciwu premiera RP. Chyba że uległość wobec Kremla i determinacja w zdobywaniu jego poparcia dla prywatnej kariery kazały Tuskowi zachować przyjemną atmosferę nawet wobec zapowiedzi wojny. W tamtym czasie polska opinia publiczna mogła jedynie domyślać się, jakie jest prawdziwe oblicze relacji między Warszawą a Moskwą. Dziś mamy na stole dowody pokazujące, że w naszym kraju działa potężna partia gotowa realizować każdy interes Kremla, gdy tylko jest on także na rękę Berlinowi. Partia, którą kieruje człowiek wyzuty z jakichkolwiek zobowiązań wobec swojej ojczyzny. Naprawdę widzący w niej jedynie jakąś mało wartościową nienormalność. ■

> JAKIM OCZEKIWANIOM CZY ŻĄDANIOM ROSJI TUSK ODMÓWIŁ? JAKIM SIĘ SPRZECIWIŁ? NIE MA PO NICH ŚLADU W DOKUMENTACH MSZ.

eprasa.pl 27191359ba

Piotr Grochmalski



Dlaczego Tusk chce rozbić Polskę na landy

Berlin coraz bardziej zdecydowanie dąży do przejęcia władzy nad Unią Europejską. Równocześnie prowadzi coraz bardziej brutalną wojnę wymierzoną w państwo polskie, przeciwne koncepcji niemieckiej Europy. Jednym z celów tej agresji jest landyzacja Rzeczypospolitej, dokonanie procesu, który jako żywo przypomina metody zastosowane przez Prusy Fryderyka II wobec Polski, zakończone rozbiciem Rzeczypospolitej i wchłonięciem części jej terytoriów. W kluczowym momencie tej batalii w Warszawie pojawił się Donald Tusk. Jest tylko jeden wyraźny i trwały od dziesięcioleci element jego programu politycznego – regionalizacja, a właściwie landyzacja państwa polskiego.

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI STUDIO FOT. FILIP BŁAŻEJOWSKI/GAZETA POLSKA, ADOBE STOCK

eprasa.pl 27191359ba



prasa.pl/...191359ba

Landyzacja Niemiec Zachodnich została narzucona decyzją władz okupacyjnych po zakończeniu II wojny światowej. Rozdział II Umowy Poczdamskiej z dnia 2 sierpnia 1945 roku wprowadzał wymóg dokonania decentralizacji niemieckiego państwa w wymiarze gospodarczym i politycznym. Konsekwencją tych ustaleń było wprowadzenie do ustawy zasadniczej RFN zasady federalizmu. Jak zauważa Piotr Sobański: „Decentralizacja RFN dokonana przez wprowadzenie ustroju federalnego miała przede wszystkim na celu osłabienie państwa. Ustawa zasadnicza została ratyfikowana przez komendantów stref okupacyjnych oraz parlamenty krajowe, lecz nie spotkała się z akceptacją niemieckiego społeczeństwa". Landyzacja miała być więc rodzajem kagańca, narzędziem zabezpieczenia Europy przed niemiecką recydywą.

Projekt dezintegracji RP

Dziś Berlin coraz bardziej zdecydowanie dąży do przejęcia władzy nad Unią Europejską. Równocześnie prowadzi coraz bardziej brutalną i otwartą wojnę wymierzoną w państwo polskie, przeciwne koncepcji niemieckiej Europy. Jednym z celów tej agresji jest landyzacja Rzeczypospolitej, dokonanie procesu, który jako żywo przypomina metody zastosowane przez Prusy Fryderyka II wobec Polski, zakończone rozbiciem Rzeczypospolitej i wchłonięciem części jej terytoriów. Berlin, po tym wzmocnieniu, zbudował imperialną Rzeszę i w imię panowania nad Europą rozpętał dwie globalne wojny. Dziś podejmuje trzecią próbę podporządkowania sobie Starego Kontynentu. Na drodze stoi jednak Polska.

Ale w kluczowym momencie tej batalii w Warszawie pojawił się Donald Tusk. Jest tylko jeden wyraźny i trwały od dziesięcioleci element jego programu politycznego – regionalizacja, a właściwie landyzacja państwa polskiego. Jej początkiem miało być doprowadzenie do autonomii Pomorza i Gdańska. Zestawienie tych działań z metodą zastosowaną do Niemiec po II wojnie światowej prowadzi do oczywistego wniosku – projekt Tuska od początku nakierowany był na osłabienie Rzeczypospolitej. I to w momencie, gdy Berlin ponownie rozpoczynał ekspansję polityczną na wschód. Apogeum owego parcia do landyzacji Polski nastąpiło dotąd przed wyborami parlamentarnymi w 2019 roku. Przy ogromnym wsparciu niemieckich koncernów medialnych w Polsce lansowano tezę o potrzebie radykalnego wzmocnienia samorządów. W atmosferze kreowanej histerii 4 czerwca 2019 roku przyjęte zostało 21 Tez Samorządowych. Gdyby wówczas, w 2019 roku, zwyciężyła totalna opozycja, ten plan landyzacji RP zostałby przeprowadzony. Ale frustracja Berlina osiągnięciami Polski i widocznym przesuwaniem się centrum Europy w stronę państw Trójmorza spowodowały, że determinacja Niemiec, aby spacyfikować Warszawę, bardzo wzrosła. Tusk ma za wszelką cenę wygrać, by ostatecznie przeprowadzić bardzo radykalny projekt dezintegracji Rzeczypospolitej.

Sparaliżować Rzeczpospolitą

W prawnej ocenie Piotra Sobańskiego wprowadzenie w życie rozwiązań z owego dokumentu z 2019 roku naruszałoby Konstytucję RP oraz zanarchizowałoby instytucję państwa. Na przykład Teza nr 5 określała „Obowiązek konsultowania z przedstawicielami samorządu i społeczności lokalnej wszystkich projektów ustaw". Sobański stwierdza, iż wdrożenie takiego rozwiązania „sparaliżowałoby przede wszystkim proces ustawodawczy". Autor zauważa, iż z kolei „Wdrożenie postulatu zawartego w Tezie nr 3 pt. »Przekształcenie Senatu RP w Izbę Samorządową«, abstrahując od uprzedniej konieczności dokonania znacznych zmian w Konstytucji RP, sprowadziłoby Senat w zasadzie do roli organu samorządowego". Innymi słowy wywróciłoby do góry nogami cały porządek państwa. Sobański podkreśla, iż „Senat jako jeden z dwóch organów władzy ustawodawczej ma prawo do inicjatywy ustawodawczej i uczestniczy w uchwalaniu ustaw. Zatem widać tu wyraźny związek treści Tezy nr 3 z Tezą nr 5. Scedowanie na samorząd niektórych kompetencji władzy ustawodawczej wiązałoby się z przyjęciem rozwiązań ustrojowych, charakterystycznych dla państwa federalnego".

Równie niebezpieczna dla sprawnego funkcjonowania państwa i przekształcenia go w zanarchizowaną społeczność była Teza nr 17: „Likwidacja urzędu wojewody. Pozostawienie władzy centralnej nadzoru nad legalnością działania jednostek samorządu terytorialnego". Z kolei zgodnie z Tezą nr 14 winna zostać wprowadzona „maksymalna decentralizacja funduszy UE", co spowodowałoby skuteczny paraliż wszelkich strategicznych inwestycji dla całej narodowej wspólnoty. Cel zasadniczy tych działań był oczywisty – pod presją Niemiec nałożyć taki kaganiec prawny na Polskę, który uniemożliwiłby realizację tych wszystkich inwestycji, które zwiększałyby konkurencyjność i potencjał państwa polskiego. Przegrana w wyborach totalnej opozycji przerwała wówczas próbę prawnego sparaliżowania RP. A już pod koniec 2019 roku wybuch epidemii COVID-19 spowodował, iż rząd – w obronie zagrożonej wspólnoty narodowej – musiał sięgnąć do rozwiązań, które nie byłyby możliwe do wdrożenia, gdyby zrealizowane zostały owe tezy, które miały stanowić śmiertelną dawkę truci-

eprasa.pl 27191359ba

zny dla RP. Ich wdrożenie przez ludzi Tuska skończyłyby się też dramatyczną katastrofą państwa po hybrydowym ataku na granicę polsko-białoruską w 2021 roku i w 2022 roku po agresji Rosji na Ukrainę i napływie fali milionów uciekinierów.

Dlaczego Niemcy postawiły na Tuska

Te próby landyzacji Polski przez Berlin zaczęły się niemal natychmiast po zjednoczeniu Niemiec. Ostatnie w pełni demokratyczne wybory w Polsce odbyły się w 1938 roku. Na następne trzeba było czekać 52 lata. 27 maja 1990 roku przeprowadzone zostały wybory samorządowe. Donald Tusk był jedynym, który wykorzystał je wówczas do forsowania idei daleko idącej dezintegracji RP. Już na początku III RP otwarcie głosił ideę rozbicia od środka Polski. W opublikowanym wówczas artykule na łamach „Gazety Gdańskiej" stwierdzał, iż „Regionalizm to nie utopia wymyślona na użytek polskiej rewolucji – to podstawowy wątek w europejskiej tradycji wolności. Etatyzm przegrywa, renesans mniejszości jest widoczny na całym świecie... Co więcej, wizja zjednoczonej Europy to wizja federacji wolnych naturalnie uformowanych regionów, a nie narodowo-państwowych centralistycznych molochów... Gdańsk ze swym pomorsko-kaszubskim zapleczem również w tym kontekście stanowić może propozycje dla innych regionów. Majowe wybory to dobry pretekst dla nadania publicznego wymiaru debacie regionalnej... Czy postulatu autonomii Pomorza znów ktoś nie uzna za separatystyczną irredentę? Będzie to ciekawa próba naszej europejskości". Miał wówczas 33 lata. Ta jego postawa szybko zwróciła na niego uwagę niemieckiego konsulatu w Gdańsku.

Już w 1962 roku, jeszcze wówczas sowiecki Berlin, zgodnie z pruską tradycją (Fryderyk II natychmiast po objęciu władzy w 1740 roku powołał tu swoją rezydenturę), miał tu swoją placówkę monitorującą lokalną społeczność. Tu też, od 1980 roku, rezydowała część agentów Stasi w ramach Operativgruppe Warschau, do rozpracowania tutejszej społeczności i budowania swojej agentury. Ostatnim szefem Warszawskiej Grupy Operacyjnej Stasi był mjr Carl-Heinz Scharpegge. Oprócz Gdańska ta specjalna struktura miała swoje agentury w Szczecinie, Wrocławiu i Katowicach. To istotny szczegół z punktu widzenia późniejszych inicjatyw regionalnych Donalda Tuska, w tym związanych ze wsparciem dla Ruchu Autonomii Śląska, który dziwnym trafem powstał w styczniu 1990 roku, a więc tuż po zakończeniu w senacie RP prac nad reformą samorządową. Po zjednoczeniu Niemiec została zachowana ciągłość instytucjonalna – aktywa Stasi przejął BND, a dotychczasowa siedziba NRD-owskiego konsulatu w Gdańsku stała się konsulatem generalnym RFN.

Tak zdumiewające na tle lokalnej społeczności poglądy Tuska z oczywistych powodów musiały wywołać zainteresowanie Nelly Marianne Wannow, która do początku 1993 roku kierowała tą niemiecką placówką w Polsce. Była jednym z bardziej doświadczonych dyplomatów. Jej głównym zadaniem było zdobycie zaufania wśród lokalnej społeczności oraz pobudzanie tej przeszłości miasta i regionu, które mocno odwoływało się do niemieckich wpływów i tradycji. Sama prezentowała siebie jako gdańszczankę, a więc przede wszystkim tuziemkę. Rzeczywiście tu się urodziła w 1934 roku, a w czasie wojny tu uczęszczała do szkoły, a więc znała jedynie hitlerowską rzeczywistość tego miasta.

Od obalenia rządu Olszewskiego do rozbicia Polski

Tusk aktywnie uczestniczył w obaleniu rządu Jana Olszewskiego 4 czerwca 1992 roku, pierwszego od 1939 roku wybranego w demokratycznych wyborach polskiego gabinetu. Operacją kierował prezydent Lech Wałęsa, a jednocześnie były agent bezpieki. Tuż po tym wydarzeniu Tusk, jako wiceprzewodniczący Zarządu Głównego Związku Kaszubów Polski, wygłosił na II Kongresie Kaszubów programowe przemówienie, w którym przedstawił program pełnej autonomii dla Pomorza (Kaszub). Nawoływał do prawdziwej rebelii. Według niego Pomorze powinno posiadać nie tylko własny rząd, lecz także wojsko i własne pieniądze.

Poseł RP Feliks Pieczka miał wówczas publicznie powiedzieć, iż oddzielenie Kaszub od Polski byłoby nie tylko przestępstwem wobec polskiej racji stanu, lecz także wobec interesu Kaszub. W długiej historii walk z narodem polskim Prusacy nie mieli nigdy Polaka, który byłby w stanie stworzyć wokół siebie niemieckie stronnictwo, gotowe do działań destrukcyjnych wobec ojczyzny. Gdy doszło do zjednoczenia Niemiec, Henry Kissinger, były sekretarz stanu za prezydentury Richarda Nixona, prorokował, iż „Z czasem Niemcy zaczną domagać się większego udziału w decyzjach politycznych, do czego upoważnia ich potencjał ekonomiczny i militarny. [...] Niemcy stały się tak silne, że istniejące instytucje europejskie nie gwarantują już równowagi między Republiką Federalną a jej partnerami w Europie". Już za Kohla zapadły też kluczowe decyzje. 20 czerwca 1991 roku niemiecki Bundestag zadecydował o przeniesieniu stolicy z Bonn do Berlina. O wyniku głosowania przesądziło zaledwie 18 głosów. Przesunięcie o 595 kilometrów na wschód centrum zjednoczonego państwa oznaczało, iż zwyciężyła opcja Ratzla-Haushofera – geopolityczne odwołanie się do wizji Mitteleuropy. W ambicjach Berlina szczególną rolę odgrywała odtąd idea podporządkowania Polski.

eprasa.pl 27191359ba

Niemieckie projekty landyzacji Polski

Zaraz po zjednoczeniu Niemiec pojawiło się w Polsce wiele inicjatyw forsowanych przez Berlin. Nieoficjalnie padła oferta, aby w zamian za przekazanie przez Warszawę tego fragmentu wyspy Uznam, który należy do Polski, wybudować pod klucz cały kwartał miasta po drugiej stronie Świny. Wspomnienie tego faktu wyjaśnia późniejszą przyczynę owego oporu ze strony PO dotyczącego zbudowania podziemnego tunelu łączącego oba brzegi Świnoujścia. Kanclerz Helmut Kohl chciał też w tym czasie przekonać Jelcyna do stworzenia, dla kazachskich Niemców, regionu autonomicznego na obszarze Królewca. Przy okazji testowana była idea komunikacyjnego korytarza do tej przyszłej niemieckiej enklawy przez terytorium Polski. Wówczas była także forsowana przez Berlin strategiczna koncepcja wielkiego europejskiego euroregionu w czworokącie Berlin–Szczecin–Pozań–Wrocław, a w wersji rozwiniętej pięciokąta Berlin–Szczecin–Poznań–Wrocław–Katowice. Miał on stanowić serce jednoczącej się Europy i być najsilniejszym regionem Starego Kontynentu. Ale dla pozyskiwanych lokalnych elit polskich, nadal mocno przesiąkniętych przez struktury PRL-owskiego SB i sowieckiej agentury, miało być to wielkie otwarcie na świat. Na długo przed realną wizją wejścia Polski do Unii Europejskiej rysowała się koncepcja przeniknięcia do niej tylnymi drzwiami za cenę parcelacji Rzeczypospolitej. Nie trudno więc zrozumieć, dlaczego Tusk, ze swoją wizją landyzacji RP, był tak atrakcyjnym nabytkiem dla Berlina. Ale najważniejsza była pilna potrzeba zbudowania niemieckiej partii w Polsce.

Europa regionów, Tusk a sprawa niemiecka

Donald Tusk z satysfakcją podkreśla, iż dzień po jego wyborze na przewodniczącego Rady Europejskiej „Paweł Abramowicz wywiesił w Gdańsku flagi europejskie" (D. Tusk, „Szczerze", s. 12). Po dziesięcioleciach ciężkiej niemieckiej pracy wydawało się, że miasto to coraz bardziej dryfuje w stronę owej wizji Tuska z lat 90., co wzbudzało entuzjazm w Berlinie. We wszystkich kluczowych momentach swojej politycznej kariery Tusk otrzymywał wsparcie od niemieckich mediów. W marcu 2017 roku, gdy decydował się jego dalszy los, ujawniono, jaką wewnętrzną instrukcję wydał prezes Ringier Axel Springer Polska, Marek Dekan, do polskich dziennikarzy tego koncernu. Straszył, iż możemy zostać zmarginalizowani w UE – odsunięci na boczny tor. Podkreślał, iż „W nadchodzącym czasie na autostradzie unijnej integracji pojawia się nie tylko pas szybkiego i wolnego ruchu, ale też parking. I to jest właśnie moment, gdy do gry włączają się wolne media, takie jak my. Nigdy nie zapominajmy o podstawowych wartościach, jakie reprezentujemy: opowiadamy się za wolnością, rządami prawa, demokracją i ZJEDNOCZONĄ EUROPĄ". Była to w istocie instrukcja, jak mają wspierać Tuska: „Powiedzmy im [czytelnikom], co robić, żeby pozostać na pasie szybkiego ruchu i nie skończyć na parkingu".

Rok wcześniej media Ringier Axel Springer wsparły Tuska, gdy przybył w 2016 roku do Wrocławia, aby dać symboliczny sygnał do obalenia przez ulicę polskiego rządu. Od wielu lat, jako premier, wspierał odbywające się w tym mieście kongresy regionów, których głównym organizatorem był Ringier Axel Springer, a oprawę prasową i propagandową zapewniały między innymi Onet i „Newsweek".

Kulminacją owego niemieckiego projektu landyzacji Polski były owe wydarzenia z 4 czerwca 2019 roku i przyjęcie 21 Tez Samorządowych. W gdańskiej rebelii wzięli udział między innymi prezydenci: Warszawy, Łodzi, Wrocławia, Poznania, Gdańska, Gdyni, Sopotu. Środowisko związane z Platformą Obywatelską ogłosiło projekt groźny dla integralności Polski. Z dzisiejszej perspektywy jasno widać, iż chodziło o stworzenie, w oparciu o przyczółki PO, wspierane przez niemieckie koncerny prasowe, samodzielnych podmiotów politycznych, które zatomizowałyby i rozbiłyby od środka polskie państwo. Wydawało się, że za Merkel fala antypolskiej histerii w RFN osiągnęła poziom absurdu. W niemieckich mediach, na łamach „Berliner Zeitung", urodzony w Niemczech Tomasz Kurianowicz 2 listopada 2020 roku ogłaszał, iż „Berlin staje się ostoją polskiego ruchu oporu" przeciwko Rzeczypospolitej rządzonej przez PiS. A Roland Hau, szef Związku Mniejszości Niemieckiej w Gdańsku, organizacji skupiającej 590 osób i mocno wspieranej przez niemiecki rząd, pisał na swoim blogu: „[...] mam pytanie: Czy naprawdę, w swoim bezkrytycznym patriotyzmie, cały czas chcecie zwierzchności Warszawy, a dokładnie jej żoliborskiej dzielnicy, nad naszym wspólnym Gdańskiem?".

Jednak Niemcy nowego kanclerza Scholza jeszcze bardziej brutalnie zaczęły dążyć do obalenia rządu Zjednoczonej Prawicy, by otworzyć drogę Tuskowi do landyzacji Polski. Tuż przed śmiercią prezydent Lech Kaczyński ostrzegał, iż „Nasza rozgrywka w Unii to w pewnym sensie gra o suwerenność wobec polityki niemieckiej". Nie mylił się. ■

eprasa.pl 27191359ba



Ryszard Czarnecki

Landyzacja Polski – marzenie sąsiadów

O tym, czy landyzacja Polski może stać się bardziej realna, zadecydują wyniki wyborów nad Wisłą, Odrą, Bugiem i Wartą już za parę miesięcy.

Już od drugiej połowy lat 90. mówiło się o tym, że Unia Europejska domaga się „landyzacji Polski", czyli podziału na większe regiony z realnymi kompetencjami. Miało to służyć osłabieniu władzy centralnej. Model struktury politycznej Polski jest bardziej zbliżony do francuskiego centralizmu niż do systemu hiszpańskiego (autonomiczne prowincje) czy niemieckiego (kraje związkowe, czyli landy). To oczywiste, że osłabienie władzy centralnej Rzeczypospolitej osłabiałoby Polskę w kontekście geopolitycznej konkurencji z naszymi sąsiadami zarówno na Zachodzie, jak i Wschodzie. Oczywiście w Polsce istniał w swoim czasie ustrój zdecentralizowanej władzy państwowej (dzielnice, księstwa), ale przecież było to w średniowieczu i Polska była wtedy słaba.

Jeżeli dziś pojawiają się postulaty „landyzacji Polski", to idą one całkowicie na przekór powszechnym tendencjom, aby państwa narodowe umacniały swoją pozycję w kontekście całkowitego zawodu, jaki sprawiła UE w pierwszych miesiącach zarazy, gdzie pokazała swoją totalną bezradność. Stąd też tęsknota za silnymi państwami, które mogą już nie tylko sprawnie wykonywać obowiązki własne, lecz także w jakiejś części przejąć kompetencje, które Unia zawłaszczyła.

Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w centrum decyzyjnym zajmującym się Polską, i to w perspektywie długookresowej. I obojętnie, czy centrum to zlokalizowane jest w Berlinie, czy gdziekolwiek indziej. W oczywisty sposób takie centrum narzucałoby taką politykę, w której nasz kraj znowu miałby stać się nie partnerem (czasami trudnym), lecz klientem, którego aspiracje mają być ograniczone do bycia wielkim rynkiem zbytu, obszarem „taniej siły roboczej" czy wreszcie politycznym (geopolitycznym) pasem transmisyjnym dla decyzji zapadających, powiedzmy to wprost: właśnie w Niemczech.

Ci, którzy tego chcą, to rodacy tych, którzy przed stu laty traktowali Polskę jako „państwo sezonowe" (określenie niemieckie z czasów II RP), a nawet jako „pokraczny bękart traktatu wersalskiego" (powiedzenie Wiaczesława Skriabina – pseudonim partyjny „Mołotow" – architekta zbliżenia sowiecko-niemieckiego kosztem Polski u schyłku ładu wersalskiego).

Owa landyzacja byłaby idealna z jeszcze jednego powodu. Oto Niemcy, marząc o powrocie Tuska do władzy, jako pragmatycy przewidują jednak scenariusz ponownego zwycięstwa w naszym kraju obozu patriotycznego. Wówczas zachodnie i północne regiony z władzą na szczeblu sejmików i w największych aglomeracjach w rękach formacji, w której kandydat na prezydenta pytał: „A po co nam Centralny Port Komunikacyjny, skoro mamy lotnisko w Berlinie", byłyby w oczywisty sposób instrumentem polityki niemieckiej („europejskiej"). Ot, „znaj proporcjum, mocium panie", taka inwestycja w proniemieckie Piemonty na terytorium Rzeczypospolitej. To oczywiste.

Tendencje „landyzacji Polski" wracają w czasie, który teoretycznie w ogóle nie powinien im sprzyjać. Oto bowiem wojna w Europie Wschodniej, a wcześniej pandemia COVID-19 i wywołane tymi zjawiskami przerwanie łańcucha dostaw, powodują nie tylko w Europie (tu szczególnie), lecz także na całym świecie powrót do koncepcji państwa silnego zarówno w sensie większych kompetencji dla „centrum", jak i mającego znacznie większy wpływ na gospodarkę, niż to jest w doktrynie liberałów, gdzie obsadza się w roli „nocnego stróża". A swoją drogą powracająca po dekadach, a w zasadzie stale obecna, ale czasem, jak ostatnio, bardziej artykułowana koncepcja „landyzacji Polski" jest przykładem na słuszność teorii polskiego socjologa, zresztą lewicowego, Ludwika Krzywickiego, który głosił koncepcję „idei wędrujących w czasie". Oznaczało to, że pewne wizje, od dawna głoszone, nie napotykały niegdyś na podatny grunt, ale mogą po latach uzyskać możliwość realizacji...

Powiedzmy wprost: czy „landyzacja" Polski może stać się bardziej realna, zadecydują wyniki wyborów nad Wisłą, Odrą, Bugiem i Wartą już za parę miesięcy. Jest szansa, że koncepcja ta trafi tam, gdzie jej miejsce: na śmietnik historii. ■

eprasa.pl 27191359ba

SEJFITYZM, CZYLI JAK ZOSTAŁO ZEPSUTE MŁODE POKOLENIE



Jakub Augustyn Maciejewski

Amerykańscy intelektualiści – dziennikarz Greg Lukianoff i psychiatra Jonathan Haidt – alarmują, że w młodym pokoleniu zapanowała obsesja na punkcie źle rozumianego bezpieczeństwa. Warto przyjrzeć się ich spojrzeniu, zwłaszcza że oni sami prezentują lewicowe poglądy i sami przyłożyli rękę do ukształtowania młodego pokolenia w ten sposób.



eprasa.pl 27191359ba

Polskiego czytelnika zazwyczaj nie trzeba przekonywać, że „bezstresowe wychowanie" skrzywia charakter, że obecne młode pokolenie jest zbyt delikatne i zbyt rozhisteryzowane. Podczas tzw. strajku kobiet oglądaliśmy sceny egzaltowanych nastolatek przerażonych zagrożeniem własnego życia z powodu zakazu aborcji czy odebrania im telefonu komórkowego, wtedy też rozpowszechniło się potoczne nazywanie lewicowych dziewcząt „Julkami", które farbują włosy na fioletowo i faszerują ciało kolczykami. Konserwatywni Polacy z niepokojem odnotowują też wpływ gadżetów internetowych na młodzież, zafascynowanie lewicowymi pomysłami i uleganie modnym ideologiom. Można więc w tym smutku znaleźć małe pocieszenie, że te wszystkie intuicje potwierdziło dwóch wyżej wymienionych wybitnych ekspertów, których książka „Rozpieszczony umysł" właśnie ukazała się w języku polskim.

Pokolenie panikarzy

„Nauczono ich wyolbrzymiać zagrożenia, stosować myślenie dychotomiczne (inaczej binarne), w różne depresyjne czy histeryczne stany. Lukianoff i Haidt stwierdzają dalej, że uczelnie ulegają tej atmosferze i zamiast kształtować studentów w duchu pracy nad sobą i dochodzenia do prawdy, wolą usuwać nieprzyjemne wykłady, stanowczych profesorów i obniżać wymagania. W książce czytamy, że taka sytuacja ma miejsce od 2013 roku, czyli gdy na studia poszły pierwsze roczniki urodzone po 1995 roku, a więc takie, które spędziły dzieciństwo z urządzeniami cyfrowymi, z internetem, gdzie łatwiej uniknąć treści, z którymi się nie zgadzamy, i pozostać w swojej „bańce informacyjnej". Przyczyn rozdelikacenia „pokolenia Z" jest jednak więcej.

LEWICOWE WYCHOWANIE PRZYNIOSŁO KATASTROFALNE SKUTKI, A HAIDT I LUKIANOFF WSKAZUJĄ FILARY TYCH BŁĘDÓW, JAKICH DOKONANO NA MŁODYM POKOLENIU, M.IN PARANOIDALNE RODZICIELSTWO, UPADEK NIESKRĘPOWANEJ ZABAWY, SPIRALA POLARYZACJI I BIUROKRACJA SEJFITYZMU.

Wezwanie do odwrotu

Autorzy twierdzą, że pokolenie urodzone po 1995 roku jest głęboko zanurzone w sejfityzmie (od angielskiego: save, bezpieczny), którego przedstawiciele stają się delikatnymi, rozdygotanymi osobowościami, łatwo wpadającymi w histerię. Haidt i Lukianoff przytaczają w tym wiele danych, statystyk i modeli wychowania, które się po prostu nie sprawdziły. Choć obaj popierają amerykańskich demokratów, w książce przyznają na przykład, że uniwersytety stały się zbyt lewicowe i że należy wycofać się z niektórych lewicowych postulatów, zwłaszcza tych genderowych czy rasowych.

Naukowcy zastosowali tu metaforę odporności organizmu na mikroby czy alergeny. Człowiek żyjący w sterylnym otoczeniu staje się bardziej wrażliwy na różne produkty czy choroby, jest na nie bardziej podatny. Podobnie młode pokolenie żyje dzisiaj z dala od krytyki, konfrontacji, debat, sporów i gdy napotyka w życiu – a zwłaszcza na uczelni – odmienne zdanie, czuje się urażone i wpada ufać pierwszym reakcjom kierowanym przez emocje i wzmacniać je, a także ulegać zniekształceniom poznawczym" – piszą psychiatrzy. Analizują też szczegółowo, jak do tego doszło, wskazując m.in., że rozszerzono pojęcie bezpieczeństwa. Pierwotnie dotyczyło ono ochrony przed krzywdą fizyczną – zranieniem, upadkiem, pobiciem itp. „Jednak w XXI wieku na niektórych kampusach uniwersyteckich znaczenie słowa »bezpieczeństwo« uległo procesowi znanemu jako »concept creep« (stopniowe rozszerzenie znaczenia terminu określającego daną krzywdę) i objęło również »bezpieczeństwo emocjonalne«". Doszło do tego, że rektorzy i dziekani zaczęli w ten sposób „troszczyć się" o swoich podopiecznych, że usuwali z programów zajęć treści, które mogły burzyć ich wyobrażenia o świecie. Odpadło wiele klasycznych lektur, bo Murzyni byli tam przedstawieni jako niewolnicy albo kobiety jako gospodynie domowe, podobnie było z kwestią definicji płci, wreszcie wielu wykładowców tak bulwersowało studentów, że ci zaczęli organizować protesty,

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 27191359ba

by albo usunąć ich z uczelni albo – jeśli chodziło o naukowców z zewnątrz – nie dopuścić ich do wizyty i wygłoszenia wykładu. „Rozumowanie jest takie, że jeśli zaproszony mówca wywołuje u studentów zdenerwowanie lub złość, to jest to wystarczający powód, by odmówić mu wstępu na teren kampusu, ponieważ stanowi on »zagrożenie« dla studentów". Oto sejfityzm w pigułce. Na uniwersytet przyjeżdża gej opowiedzieć, że homoseksualizm nie jest wrodzony? Ależ to uraża homoseksualnych studentów. Profesor biologii chce opowiedzieć o dwóch płciach? Studenci zagłuszają jej wykład. Bywało, że profesorowie tracili pracę albo wykłady, bo zacytowali niewłaściwą bajkę. W Bergen Community College „Profesor wydziału sztuki został wysłany na przymusowy bezpłatny urlop i obowiązkową psychoterapię za umieszczenie posta w mediach społecznościowych. Chodziło o zdjęcie jego córki ubranej w koszulkę przedstawiającą smoka i napis: Wezmę, co moje, ogniem i krwią. Zdaniem uczelni brzmiało to jak »groźba«". Słowa okazały się cytatem z filmu „Gry o tron", ale profesora to nie uratowało. Bo sejfityzm polega nie na badaniu intencji danej osoby, lecz skutku, jaki jego słowa wywołują – a rozdelikacone pokolenie może czuć się zagrożone nawet zdjęciem dziecka w koszulce ze smokiem.

Zabrać wolność, dać pseudobezpieczeństwo

W ten sposób edukacja w USA w ogóle skręciła w jakieś odmęty szaleństwa, bo pojawił się konkretny problem z wolnością słowa. Na uczelniach istniały „strefy wolnego słowa", gdzie zawsze była większa swoboda wypowiedzi. Dosłownie chodziło o miejsce, gdzie tematyka rozmów mogła być bardziej radykalna, kto nie chciał się z tym stykać, ten nie musiał tam chodzić. Jednak w ostatnich latach ofiary sejfityzmu zaczęły wymuszać na władzach uniwersyteckich zamykanie tych stref w imię „bezpieczeństwa" emocjonalnego. „[...] na McNeese State University w stanie Luizjana, grupy studenckie mogły korzystać ze strefy tylko raz na semestr. Inne zostały zniesione przez wyroki sądowe, na przykład strefa na University of Cincinnati, której powierzchnia stanowiła zaledwie 0,1% kampusu uniwersyteckiego, a chęć skorzystania z niej musiała zostać zgłoszona z wyprzedzeniem dziesięciu dni roboczych".

Szaleństwo bezpieczeństwa emocjonalnego wzmacniają kolejne pseudonaukowe teorie. Derald Wing Suer, profesor Teacher College, spopularyzował pojęcie „mikroagresji", na której punkcie obsesję przejęli lewicowi aktywiści. Suer tak definiował owe pojęcie: „przelotne, występujące na porządku dziennym, werbalne, zachowawcze lub środowiskowe, zarówno celowe, jak i niecelowe, wrogie, obraźliwe zniewagi na tle rasowym, wymierzone w osoby rasy innej niż biała". Słowem: Murzyni, Indianie, Eskimosi, Arabowie i wszyscy inni mogą się poczuć urażeni kolorem skóry aktora w filmie, krzywym spojrzeniem, przysłowiem („czarno to widzę") i wszystkim innym.

Fanatyzm

Sami autorzy – a przypomnijmy, że są lewicowi – histerie studentów wokół ludzi, którzy wygłaszają poglądy inne niż ich samych, porównują do hunwejbinów, czyli partyjnej młodzieżówki w Chinach Mao Zedonga, która to młodzieżówka atakowała członków partii czy profesorów, w ideologicznym szale bijąc wrogów komunistycznego przywódcy.

Haidt i Lukianoff wzywają więc do odwrotu, co dla polskiego czytelnika powinno być dobrą wiadomością. Lewicowe wychowanie przyniosło katastrofalne skutki, a badacze wskazują filary tych błędów, jakich dokonano na młodym pokoleniu. Naukowcy wskazują na szereg „czynników wyjaśniających" rozwój sejfityzmu, do których należą m.in paranoidalne rodzicielstwo, upadek nieskrępowanej zabawy, spirala polaryzacji i biurokracja sejfityzmu.

Paranoidalne rodzicielstwo wiąże się z usuwaniem wszelkiego, choćby najmniejszego ryzyka w życiu dziecka. Słowem: nadopiekuńczość rodziców niszczy psychikę dziecka. Upadek nieskrępowanej zabawy to ograniczenie tradycyjnych zabaw z elementami ryzyka – walki na miecze, strzelania z dziecięcych łuków, zabawy w lesie. To wszystko współczesnym wychowawcom może wydawać się niebezpieczne, więc aktywność rozrywek często przenosi się do internetu, pogłębiając na przykład uzależenienie od dopaminy czy innych bodźców dostarczanych przez media społecznościowe. Spirala polaryzacji oznacza, że zbyt silne grupy społeczne (a autorzy sami przyznają, że chodzi tu o lewicowe środowisko młodego pokolenia) zbyt łatwo nabierają agresji wobec obcych.

Lewica jest zbyt silna

Zdaniem psychiatrów, od dekady na emeryturę odchodzi pokolenie naukowców urodzonych po 1945 roku, gdzie rozkład lewicowych i prawicowych badaczy był mniej więcej równomierny, a zastępują ich kadry bardziej postępo-

eprasa.pl 27191359ba

we. Młodzież nie ma styczności z konserwatystami, dostaje głównie jeden punkt widzenia i to właśnie lewica okazuje się bardziej agresywna w odwoływaniu prelekcji, które są niezgodne z jej światopoglądem.

„Wielu studentów kończy uczelnie z błędnym pojęciem o konserwatystach i ze znajomością polityki reprezentowanej tylko przez połowę Stanów Zjednoczonych. Trzy dni po bardzo zaskakującym zwycięstwie Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich, redaktorzy najważniejszej studenckiej gazety Uniwersytetu Harvarda wskazali dokładnie na ten problem" – czytamy w „Rozpieszczonym umyśle". Brak swobody dyskusji, wymiana pokoleniowa profesorów i cały sejfityzm wyobcowały świat akademicki ze świata rzeczywistego. To antagonizuje społeczeństwo, które po zakończeniu zimnej wojny nie ma już wspólnego wroga (komunistów), wobec którego miałoby się jednoczyć, więc zaczyna szukać wroga wewnątrz.

dzinę myć ręce, bo tak „czuje"? A właściwie tak często postępuje się wobec generacji urodzonej po 1995 roku, gdy czuje się ona zagrożona, czuje się inną płcią, rasą czy klasą społeczną. Ludzi po prostu wprawia się w paranoje.

Wyznanie autorów

Lukianof i Haidt nie są zwykłymi badaczami. Ten pierwszy zajmował się wolnością słowa zarówno w swoich pracach teoretycznych, jak i aktywizmie społecznym. Ten drugi jest jednym z najbardziej odkrywczych i uznanych psychiatrów na świecie, autorem takich prac jak „Szczęście" czy „Prawy umysł", gdzie opisał założenia moralne, które ludzi skłaniają do popierania lewicy lub prawicy. Choć obaj panowie sami siebie sytuują w centrum politycznego sporu, to jednak przyznają się do głosowania na demokratów (a więc na lewicę), a w ich tekstach pobrzmiewa

Choć Haidt i Lukianoff popierają amerykańskich demokratów, w książce przyznają m.in., że uniwersytety stały się zbyt lewicowe i należy wycofać się z niektórych lewicowych postulatów, zwłaszcza tych genderowych czy rasowych.

Zepsute pokolenie

Na to nakłada się koniunkturalizm uczelni, które traktując swoich studentów jak klientów, legalizują różne skrajne zachowania i wspierają sejfityzm – na przykład poprzez blokowanie wcześniej opisanych stref wolnego słowa czy zwalnianie naukowców, którzy wykazują „mikroagresję".

Konsekwencje są bardzo konkretne – m.in rekordowe zachorowania na depresję, przy czym o ile młodzi mężczyźni zapadają dziś na nią dwa–trzy razy częściej, o tyle młode kobiety nawet siedmiokrotnie częściej.

Obraz młodego amerykańskiego pokolenia, jaki zarysowują autorzy „Rozpieszczonego umysłu", jest dramatyczny. Młodzi są nauczeni, że mają ufać swoim emocjom, że to, co czują, jest najważniejsze i wyznacza standardy rzeczywistości. Właśnie w ten sposób człowiek nabawia się chorób psychicznych – czy schizofrenikowi powiemy, że słusznie boi się latających psów? Czy człowiekowi z nerwicami przyznamy rację, że musi drugą gonieco politowania dla poglądów konserwatywnych. Będąc w publicystycznym i naukowym mainstreamie, podzielając wiele poglądów w reformowaniu edukacji i szkolnictwa wyższego, jakie prowadziła administracja Clintona czy Obamy, teraz alarmują o owocach tej polityki niczym radykalni prawicowcy.

Autorzy nadal pozostają na lewo od centrum – z uznaniem cytują i uzasadniają tezy Herberta Marcusego, intelektualnego ojca rewolucji 1968 roku, i jego wezwania do dyskryminowania prawicy, choć twierdzą, że interpretacja Marcusego zaszła za daleko. Właściwie to można powiedzieć, że czytamy w ich rekomendacjach czysto konserwatywne porady, bez porzucania lewicowych szat.

Autorzy rekomendują zatem, by przy wychowywaniu dzieci stosować więcej dyscypliny, uczyć je (stopniowo) ryzyka, ograniczać dostęp do mediów cyfrowych, organizować sport i interakcje międzyludzkie i po prostu nie pozwalać na wszystko. Coś jak polska rodzina katolicka, tylko nazwane współczesnym językiem. ■

eprasa.pl 27191359ba

BOHDAN URBANKOWSKI.

Apologia polskiego romantyzmu

XX wiek, złowrogie stulecie dwóch totalitaryzmów, niemieckiego i rosyjskiego, mogło bezpowrotnie zniszczyć polskość. Intelektualny i życiowy dorobek Bohdana Urbankowskiego pozwala lepiej zrozumieć, dlaczego tak się nie stało. I skąd zmarły niedawno poeta, pisarz i filozof czerpał siły, by sprostać drwiącemu śmiechowi oprawców Polski i ich wspólników.



Krzysztof Wołodźko

Tak, przebyłem kraj bardziej rozległy od śmierci: / śmierć przemieszaną z życiem – jak łąki z wodami – – – / Słowa moje wystygły. To okruchy pieśni / nie nakarmią nikogo – ni ludzi, ni ptaków" („Ariadne i Tezeusz. Monologi osobne", Bohdan Urbankowski).

Bal u kata i święte pamiątki polskości

Zastanawiałem się wiele razy, czytając wiersz twórcy nowego romantyzmu, czy to wyłącznie nawiązanie do antycznej spuścizny, czy bliskie rozpaczy spojrzenie na powojenną Polskę. Nawet jeśli nie było to jego wyznanie, doskonale zdawał sobie sprawę z otchłannej rozpaczy, w jakiej znalazło się wielu po 1 i 17 września 1939 roku. Jego powieść „Bal u kata" jest przejmującym świadectwem krzywd wyrządzonych Polsce. Poświęcona Tadeuszowi Borowskiemu książka to werystyczne, skrupulatne i bezkompromisowe rozliczenie nie tylko ze stalinizmem. Na przykładzie literata z pokolenia Kolumbów, który później stał się jednym z „pryszczatych", więźnia niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz (numer obozowy 119198), a później – współpracownika PRL-owskiego wywiadu wojskowego, utalentowanego piewcy nowego ustroju, Urbankowski z brutalną drobiazgowością pokazał dwakroć niszczoną i demoralizowaną polską inteligencję. „Kraj bardziej rozległy od śmierci: śmierć przemieszana z życiem" – czy jakikolwiek obraz lepiej pasuje do spustoszonej Rzeczypospolitej? I tego, co z niej pozostało po 1944 roku? Skrwawiona wielkość skazana na wegetację przez kremlowskiego tyrana i jego nadwiślańskich namiestników.

Urbankowski miał głębokie wyczucie tragizmu polskich dziejów. Splątania zabójczych nieszczęść, ale i świadectw zmartwychwstawania polskości. I dar opisywania tego wszystkiego. Sięgał do wielkich wydarzeń: w powieści „Gwiazdy rdzewieją na dnie Wisły" opisał wojnę polsko-bolszewicką. To jego wielki hołd dla uwielbianego przezeń Józefa Piłsudskiego. W posłowiu wspominał: „Tej powieści nie mogłem nie napisać. Przesądziła o tym moja matka w czasie powstania". Z pożogi wojennej matka przyszłego kustosza naszej narodowej pamięci wyniosła książkę Juliana Woyszwiłły o Marszałku – „Józef Piłsudski: życie, idee i czyny, 1867–1935". Dostała ją z dedykacją prezydenta Stefana Starzyńskiego „w nagrodę za świetnie zdaną maturę". Urbankowski wspominał: „Biblioteka już się paliła – stąd czarne smugi na książce. Matka przeniosła ją przez obóz [w Pruszkowie – K.W.], po ucieczce z obozu – przez Góry Świętokrzyskie aż na Śląsk, a kiedy zamieszkaliśmy w Bytomiu, książka jako rodzinna świętość została umieszczona pod kluczem w biblioteczce". Doskonale wyczuwamy intymność, ale i wspólnotowość tej opowieści. W wielu domach przez dekady i stulecia przechowywano najróżniejsze święte pamiątki polskości.

Romantyczna tradycja, którą Urbankowski wzbogacił o własną poetycko-filozoficzną interpretację, zna najpiękniejsze opisy tych pamiątek. Kurantowy zegar, który grał melodię „Mazurka Dąbrowskiego" w „Panu Tadeuszu" Adama Mickiewicza; fortepian Szopena, wyrzucony przez Rosjan jesienią 1863 roku przez okno Pałacu Zamoyskich w Warszawie, zaklęty przez Cypriana Norwida w nieśmiertelną pieśń. Oraz nieszczęsny i nieszczęśliwy Władysław Broniewski, który w „Mazurku Chopina" wspominał: „A babka mi to grała / na starym fortepianie / w pokoju, gdzie fotografia / dwóch braci rozstrzelanych". „Dwaj bracia" to Walerian i Romuald Lubowidzcy, zabici w powstaniu styczniowym.

„Wymierzyć światu sprawiedliwość"

Urbankowski ratował od zapomnienia także rzeczy drobne. W rzeczach małych i wielkich – wedle słów Josepha Conrada – „wymierzał sprawiedliwość widzialnemu światu". To był motyw przewodni literatury Urbankowskiego: „Zwycięstwa i klęski muszą pozostać zwycięstwami i klęskami, ludzie bohaterscy i ludzie podli – ludźmi bohaterskimi i ludźmi podłymi w literackich miniaturach. Tyle dzieło może i musi osiągnąć". Dlatego z głębin niepamięci przyzywał ludzkie losy, które miała przysypać ziemia przeniknięta krwią. W tomie „Krew nie wysycha nigdy" opowiadał o zbrodniach popełnionych przez Rosjan w śląskich Przyszowicach i w Miechowicach, o łagrze nad Pieczorą, o torturach w świętochłowickim obozie „Zgoda", którego komendantem był Salomon Morel, oprawca z niesławnej pamięci Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Literackiemu talentowi towarzyszyły u Urbankowskiego pasja i świadomość historyka oraz głęboki wgląd w rzeczywistość filozofa – znakomicie udowadnia to posłowie do tomu „Krew nie wysycha nigdy", które samo w sobie stanowi cenną lekcję bolesnych polskich dziejów w pierwszej połowie XX wieku. Zło jest nie tylko nazwane po imieniu, znajduje również swój kontekst, odpowiedzialność za ludzkie cierpienie ma swoją wagę, nie daje się łatwo zmyć i zbyć znaną również w Polsce strategią usprawiedliwiania komunistycznych zbrodni: w abstrakcjach utopijnego dobra długo roztapiano cierpienie, złamane życiorysy, śmierć powolną i nagłą wszystkich, na których komuniści spojrzeli złym okiem. Tego rodzaju teodycea nie była wyłącznie prostacką (post)komunistyczną propagandą – celował w niej wrażliwiec Jacek Kuroń. Dodajmy do tego niszczenie i wykoślawianie polskiej kultury – w tym romantycznej tradycji, bez której Urbankowski nie wyobrażał sobie niepodległej Rzeczypospolitej.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

eprasa.pl 27191359ba

Gehenna niemieckich obozów śmierci

W książce „Dostojewski: dramat humanizmów" Urbankowski pisał: „Dzieła naprawdę wielkie cechuje pewien rodzaj metafizycznej czujności, która sprawia, że pod powierzchnią piękna, olśniewającej konstrukcji i wydarzeń zaczynamy dostrzegać cierpliwą obecność śmierci. Dzieła te przybierają kształt moralitetu: rysy twarzy ich bohaterów stają się – jak na zatartych nagrobkach – rysami każdego z nas: losy jednostek – losami narodów i epok".

Świadectwem podobnej wrażliwości poety jest książka „Głosy", poetycki zapis gehenny niemieckich obozów koncentracyjnych Buchenwaldu i Auschwitz. Eligiusz Szymanis, wybitny znawca literatury doby romantyzmu, tak opisywał „Głosy": „Książkę tę piszą właśnie owi umarli i nie ma w tym patetycznej literackiej metafory. Rola poety jest precyzyjnie definiowana jako możliwość oddania głosu tym, którzy inaczej już wypowiedzieć nie są w stanie (...). Autor oddaje głos więźniom – i to zarówno heroicznym, jak i tym, którzy pozwolili się upodlić. Mówi naiwnymi głosami dzieci, dla których obóz był pierwszym doświadczeniem świata, i wyznaniami filozofów, którzy w realiach Auschwitz weryfikować musieli wcześniejsze teorie. Pokazuje bojowników i oprawców".

Jak przejmująca jest próba zrozumienia jeszcze raz, czym była groza niemieckich obozów zagłady, pokazuje wiersz Urbankowskiego „Ojciec Jan": „Harcerz, który tak pięknie / opowiadał o górach, / poprosił mnie nad ranem, / nie, jeszcze nie o spowiedź / jeszcze o zwykłą rozmowę. / Prosił, żebym / po jego śmierci / zaopiekował się latawcem. / Z płaczem / przyznał, że wszystkich okłamywał – / ale na szczytach gór, ta, co niby pędzi prosto w słońce, / idzie tylko z Szyndzielni na Klimczok. / On nigdy nie był w Tatrach, / raz tylko w Śląskim Beskidzie / z naszym druhem Arturem, a potem już był w obozie. / Czy Bóg mu to wybaczy... / – To nie Twój grzech – powiedziałem – / to Ty musisz wybaczyć Bogu". Nie ma w tym nic obrazoburczego – ludzkie marzenia, słabości, pragnienia, talenty przekreślone przemysłową wręcz logiką narodowo-socjalistycznej, niemieckiej skrzętności w zabijaniu. Chłopiec, który żegnał się z dzieciństwem jak z latawcem i wstydził się swoich zmyśleń, mógł dojrzewać, zmądrzeć, zostać poetą lub politykiem, chodzić po polskich Karpatach, po drogach i bezdrożach prowadzić harcerskie drużyny – został zdruzgotany w obozie zagłady. A jeśli wrócił do Polski? Kim został? Co go spotkało? Gorzkie odpowiedzi same cisną się na usta.

Nie upadł pod ciężarem historii

Urbankowski nie upadł pod ciężarem historii. Znamy dobrze jego perypetie w czasach Polski Ludowej, gdy raz po raz wyrzucano go z pracy, uniemożliwiano lub utrudniano działalność artystyczną. Zaczęło się to dość szybko – poeta nie chciał wstąpić do PZPR, odmówił także współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Dlatego „od października 1971 roku pracował w węglarni w Piasecznie – jednocześnie wysyłając rękopisy do prasy; dorabiał także w miejscowym ośrodku PTTK jako instruktor, a także jako handlarz starociami" („Podróże", Bohdan Urbankowski). Ze zdjęć z tamtych czasów spogląda na nas zawadiacko, niemal mefistofelesowsko młodzieniec z czarną bródką. I ze szpadą – za młodu twórca nowego romantyzmu wygrywał regionalne turnieje szermiercze i lekkoatletyczne. Zaszczepiona w dzieciństwie cześć do Józefa Piłsudskiego i niepodległej Rzeczpospolitej również przyniosła owoce.

Z racji powiązań rodzinnych Urbankowski związany był ze środowiskiem kombatantów AK i WiN, a także z tajnym Związkiem Piłsudczyków, w PRL działającym półlegalnie jako Duszpasterstwo Piłsudczyków. Od 1981 roku działał także w Komitecie Uczczenia Pamięci Komendanta Głównego Armii Krajowej i Jego Żołnierzy. Za działalność w komitecie otrzymał z rąk córki generała Stefana Grota Roweckiego Medal Armii Krajowej.

Wspominał po latach, że co najmniej od 1969 roku tajni współpracownicy Służby Bezpieczeństwa raportowali na temat wieczorów autorskich, na których recytował swoje wiersze: „po moim nazwisku wspominane są tak »antyustrojowe« i »antyradzieckie« utwory, jak wiersz o Katyniu, »Śmierć Palacha«, »Kordian i Cham«, wspomniany jest poemat o Piłsudskim [...]" („Przedwiośnie '68. Fakty i mity owiane marcową mgłą", Bohdan Urbankowski). W połowie lat 70. najboleśniejszym ciosem dla poety były próby zniszczenia przez władze PRL Konfederacji Nowego Romantyzmu. Więcej o biografii kustosza naszej narodowej pamięci piszę w artykule „Romantyczny myśliciel, filozof polskości" („Gazeta Polska", nr 25 z 21 czerwca 2023).

Romantyzm, szkoła politycznej wyobraźni

Pod koniec lat 70. na kartach „Myśli romantycznej" Urbankowski w uporządkowany sposób przedstawił swój noworomantyczny manifest. Wyjaśniał, że romantyzm polski „podjął dramatyczną wizję świata", uczynił z niej „wyzwanie, na które trzeba odpowiedzieć". Dlatego „filozofii buntu i rozpaczy przeciwstawił filozofię heroizmu". Poeta stał się myślicielem, który opiewał czyn: „romantyzm polski przebudował pojęcie sensu istnienia, podkreślając, że szczęście nie polega na unikaniu, lecz przezwyciężaniu cierpień; na życiu w wielkim stylu, podejmującym wielkie wyzwania". Urbankowski, wychowany w kulcie Józefa Piłsudskiego, II Rzeczypospolitej i Powstania Warszawskiego, w charakterystycznym dla tamtych czasów stylu prze-

eprasa.pl 27191359ba

kazywał więcej, niż mógł napisać otwartym tekstem: romantyzm był „szkołą politycznej wyobraźni, kuźnią niepodległego charakteru – a tylko niepodległe jednostki mogą stworzyć naprawdę niepodległy naród. Będąc epoką kulturowej wielkości Polaków – był Romantyzm sposobem istnienia narodu pozbawionego suwerenności. Był ethosem".

W głośnej książce „Adam Mickiewicz. Tajemnice wiary, miłości i śmierci", która również jest czymś zdecydowanie więcej niż biografią wieszcza, Urbankowski zwraca uwagę, że patriotyzm twórcy „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego" jest wartością naczelną, która konstytuuje inne wartości – „tylko poprzez naród idee wcielają się w byt". Dlatego „akt poświęcenia się dla narodu jest aktem afirmacji wartości znajdujących się w narodzie". Nie były to czcze słowa – w swojej twórczości Urbankowski wskazywał choćby rotmistrza Witolda Pileckiego, praktycznego ideowca, jako spadkobiercę polskiego, niepodległościowego romantyzmu. Romantyzmu, którego dopełnieniem były tradycje organicznikowskie i społecznikowskie rodzimego pozytywizmu.

Nie bez przyczyny zmarły niedawno myśliciel pisał, że naród to nie tylko „wspólnota żyjąca tym samym mitem, biorąca udział w tej samej nadpowietrznej walce", lecz także wspólnota pracy: „wspólnota ludzi wykonujących wspólną pracę historyczną – w gospodarce, kulturze, ale także w obronności". Stąd tyrtejska, rycerska wizja romantyzmu, w której i czyn jest bronią, i myśl jest bronią – tarczą i mieczem targanej wichrami dziejów Rzeczypospolitej. Jeszcze jeden cytat: „Troska o naród to właśnie troska o wspólnotę, jej jakość życia, wykształcenie, zdrowie, z kolei patriotyzm – to troska o ojczyznę tej wspólnoty, o świątynie, fabryki, biblioteki i o zawartość tych bibliotek. Naród jest tu zbiorowym twórcą, ojczyzna – dziełem" („Przedwiośnie '68. Fakty i mity owiane marcową mgłą", Bohdan Urbankowski).

▶ Piłsudski, Rosja, komunizm

Nie sposób ustrzec się wrażenia, że dla Bohdana Urbankowskiego społecznikowski romantyzm polski najpełniej wcielił się w postać Józefa Piłsudskiego. W jego micie odżywają postaci Romualda Traugutta i Tadeusza Kościuszki: swoim mitem Komendant i Marszałek „najpierw uświęca podziemną trauguttowską pracę, potem mówi o wyjściu z podziemi i sakralizuje Naczelnika, który walczy już po kościuszkowsku: w polu, z otwartą przyłbicą". Urbankowski w ten sposób pojmował również historię walki o polską niepodległość po wrześniu 1939 roku – pracę podziemną i jawną walkę. Ta pierwsza na długie dekady stała się doświadczeniem mniej lub bardziej licznej części polskiej inteligencji i naszego społeczeństwa. Mit Piłsudskiego jest mitem Zwycięzcy, mity Kościuszki i Traugutta to Mity Wielkich Zwyciężonych – dodaje autor książki „Józef Piłsudski. Marzyciel i strateg". Kusi postawić pytanie: kim są zwycięzcy i zwyciężeni po 1989 roku? Czyje mity są górą, jakie opowieści o Polsce staro-nowe elity przyjęły za swoje? Reakcja salonów III RP na twórczość Urbankowskiego nie pozostawia złudzeń – słusznie honorowany w ostatnich latach, był programowo przemilczany lub wykpiwany przez demiurgów polskiej transformacji.

Programowo niechętny realnemu socjalizmowi i utopijnemu komunizmowi, Urbankowski jako piłsudczyk dobrze rozumiał specyfikę niepodległościowego socjalizmu swojego idola – był przy tym skłonny niepodległościowe marzenia młodego Piłsudskiego przypisywać raczej romantycznym polskim tradycjom niż marksistowskiej interpretacji rzeczywistości. Na kartach „Marzyciela i stratega" przypomniał jego artykuł z „Robotnika" (1896 rok): „Niewola narodowa nie kończy się na grabieży i wyzysku materialnym. Najeźdźca stara się zawsze zabezpieczyć siebie na wypadek oporu niezadowolonej ludności i dąży do tego przez wynarodowienie, wprowadzając siłą, prześladowaniem lub pokusą nagrody własny język, religię, obyczaje. A ucisk taki przygniata ludność zarówno moralnie, jak zuboża ją materialnie".

To Piłsudski – wskazuje Urbankowski – uświadomił polskiemu ruchowi socjalistycznemu trzy najistotniejsze fakty. Pierwszy, że Polska od ponad stu lat znajduje się w stanie ciągłej wojny z Rosją i pozostałymi zaborcami. Drugi, że ta wojna ma charakter totalny. Trzeci, że choć wyniszczająca Polaków i polskość, ma charakter częściowo niewidzialny: „Działania pośrednie – oświatowe i ekonomiczne – służą na dłuższą metę równie dobrze eksterminacji, jak niegdyś masowe egzekucje". Zaborcy – wedle słów Piłsudskiego – chcą zrobić z Polaków „stado uległego i głupiego bydełka czekającego obojętnie losu" („Robotnik", 1899 rok). Przyszły Marszałek pisał te słowa w artykule o carskiej oświacie – doskonale pojmując, że sposób kształcenia młodych pokoleń przez zaborcę może zdecydować o przyszłych losach Rzeczypospolitej.

„Czerwona msza", najlepiej bodaj znana książka Urbankowskiego, jest opowieścią o wszystkim, czemu zaprzeczały heroiczne marzenia polskich romantyków. PRL-owska inteligencja w znacznej mierze stała się zaprzeczeniem wizji Piłsudskiego. Marzeń tych wszystkich, którzy chcieli ocalenia prawdziwie niepodległej Rzeczypospolitej. Dlatego spadkobiercy elit PRL woleli pożegnać Urbankowskiego grobową ciszą. Jak przystało faryzeuszom, którzy pragną III RP na swój obraz i podobieństwo.

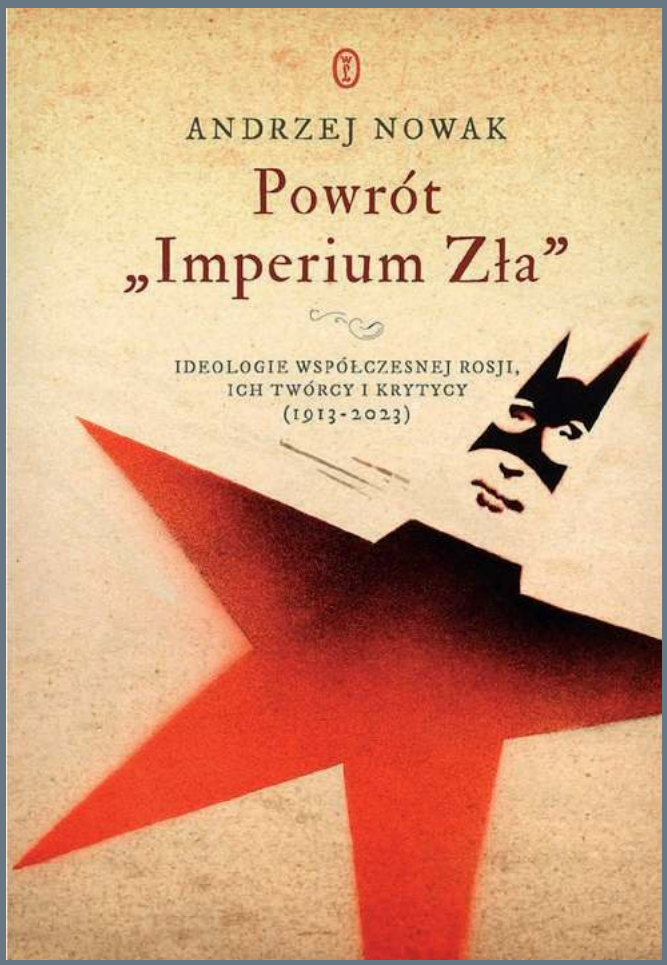
Bohdan Urbankowski odszedł 15 czerwca 2023 roku, nieledwie miesiąc po swoich 80. urodzinach. ■

eprasa.pl 27191359ba

POWRÓT IMPERIUM ZŁA, CZYLI HISTORIA WEDŁUG PUTINA



Tomasz Łysiak



W trakcie czerwcowego rajdu „kucharza Kremla", Jewgienija Prigożyna na Moskwę, ocenianego jako próba puczu, Władimir Putin wygłosił w telewizji rosyjskiej przemówienie, w którym zagroził buntownikom, że spotkają ich srogie konsekwencje, zaś rozlew krwi, który może być wynikiem rebelii, przypomina rok 1917. To nie pierwsze i nie ostatnie nawiązanie Putina do historii, z której teraźniejszy „car" uczynił jedno z najważniejszych narzędzi uprawiania agresywnej, imperialnej polityki. Pisze o tym szeroko prof. Andrzej Nowak w swojej najnowszej książce „Powrót Imperium Zła".

eprasa.pl 27191359ba

Profesor na początku przytacza słowa Putina z wywiadu telewizyjnego, jakiego ten udzielił w roku 1991, jeszcze jako wicemer Leningradu: „Jakkolwiek by to było smutne, w naszym kraju powrót w stronę totalitaryzmu na jakiś czas jest możliwy. Niebezpieczeństwa nie należy się jednak doszukiwać w organach ochrony porządku, w organach bezpieczeństwa ani nawet nie w armii, ale w mentalności nas samych, w mentalności naszego narodu, naszej mentalności. Wydaje nam się, że jeżeli wprowadzi się twardą ręką [żostkoj rukoj] porządek, to wszystkim będzie się żyło lepiej, bardziej komfortowo i bezpieczniej, ale w gruncie rzeczy poczucie komfortu bardzo szybko przeminie, dlatego że owa twarda ręka zacznie nas bardzo szybko dusić i natychmiast odczujemy to na sobie". Owe sformułowania przypomniano Władimirowi Putinowi w 2002 roku, gdy już był prezydentem Federacji Rosyjskiej. Nie tylko się z nich nie wycofał, lecz wręcz potwierdził, że taka jest i taka będzie linia jego rządów. „Niczego dobawit", czyli „niczego nie dodawać" – wszystko jest jasne i myśl jest precyzyjna.

„Sprawiedliwość dziejowa"

Minęły kolejne dekady i kadencje, byliśmy świadkami kolejnych wojen i aktów agresji ze strony Rosji, a wszystko zdaje się być jedynie wcześniej napisanymi aktami dramatu, zaplanowanego i z cynizmem realizowanego przez Putina. Dramatu, który w wizji kremlowskiego władcy ma swoje głębokie uzasadnienie w historii.

Andrzej Nowak patrzy w swojej książce na Putina z dwóch perspektyw. Z jednej strony jako na „twórcę historii" (świadomego, iż tak właśnie się dzieje i czerpiącego z tego faktu olbrzymią satysfakcję), z drugiej jako na „dziejopisa" – „Putin polityk" zaczyna się i definiuje tam, gdzie jest „Putin historyk". I to pomimo, iż przecież Władimir Władimirowicz zawodowym historykiem nie jest. Ale też, jak zwraca uwagę prof. Nowak w „Powrocie Imperium Zła": „Wiedza o historii od wieków traktowana jest jako część przygotowania władców do prowadzenia polityki oraz jej uzasadnienia. To wiedza traktowana na ogół użytkowo. W dawnej Rosji tradycję takiego zainteresowania przeszłością szczególnie godnie reprezentują wśród panujących m.in. Iwan IV Groźny czy Katarzyna II Wielka". Nie chodziło tu jedynie o to, by dodawać sobie splendoru (chociaż i ten element w historycyzacji rządów na Kremlu ma swoją wagę) przez chćby próby kreowania rodowodów, sięgających aż do starożytnego Rzymu. Chodziło też o to, a może przede wszystkim o to, żeby przez nawiązania do historii móc uprawiać politykę imperialnej agresji. Już wydana w roku 1517 „Opowieść o książętach Włodzimierskich" miała służyć konkretnemu celowi – uzasadnieniu konieczności „zbierania ziem ruskich" – „czyli do likwidacji Wielkiego Księstwa Litewskiego i opanowania całości dawnych ziem Rusi kijowskiej, aż po Brześć, Drohiczyn i Przemyśl. Ambicje wielkich książąt Moskwy, od 1547 roku noszących dumny tytuł carów, sięgały śmielej, po więcej, dużo więcej". O tyle to ważne, że właśnie czasów Iwana Groźnego sięgają myśli obecnego władcy kremlowskiego, tak jak do idei Iwana nawiązywała Katarzyna II, szykując plan rozbiorów Polski oraz ich umotywowanie. W tym celu caryca powołała nawet specjalny zespół historyczny (1780 rok), który przygotował zbiór dokumentów, wyciągów z kronik, tak by „sprawiedliwość dziejowa" stała za tym, iż Rosja odbierze Polsce wszystkie ziemie leżące na wschód za Bugiem. Potem, za Sowietów, te wszystkie idee i zamysły powielano, również przecież Stalin uzasadniał agresje za pomocą historii.

„Katastrofa" według Putina

W roku 2005, w czasie posłania wygłaszanego na forum Zgromadzenia Federalnego Rosji (czyli połączonych obu izb parlamentarnych), Władimir Putin stwierdził, że „Rozpad Związku Sowieckiego był największą katastrofą geopolityczną stulecia", po czym dodał: „Dla rosyjskiego narodu stało się to prawdziwym dramatem. Dziesiątki milionów naszych współobywateli i rodaków znalazły się poza granicami rosyjskiego terytorium. Do tego jeszcze epidemia rozpadu przerzuciła się na samą Rosję". Andrzej Nowak cytuje tę ważną wypowiedź, by dokonać dalej jakże słusznej analizy wcielania w życie tego „programu" przywracania imperialnej potęgi, jaki z uporem przez kolejne dekady realizuje Władimir Putin. Prezydent Rosji opiera swoją politykę na przekazie czysto historycznym, dając wyraźnie znak politykom i opinii publicznej na całym świecie, że Rosja popełniła błąd, pozwalając państwom albo stanowiącym wcześniej część ZSRS, albo będących pod butem Moskwy, usamodzielnić się, wybić na niepodległość i suwerenność lub też ją odzyskać (tak jak to uczyniły Polska czy Litwa). Nowak wskazuje, że jednym z putinowskich autorytetów stał się Iwan Iljin (1883–1954), filozof antykomunistycznej emigracji rosyjskiej po 1922 roku, „monarchista poszukujący dla swej ojczyzny »trzeciej drogi« między totalitaryzmem (bolszewickim) a zachodnią »zgnilizną« liberalno-demokratyczną". Notabene refleksje prof. Andrzeja Nowaka są tu o tyle istotne, że ujawniają źródła, z których bierze się również popularność Putina w wielu kulturowych kręgach konserwatywnej

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 27191359ba

prawicy na Zachodzie. Bo to właśnie Władimir Władimirowicz, idąc za filozofią Iljina, zbudował swój wizerunek herosa, który niczym dawni, silni władcy zmaga się ze złem liberalnej, lewicowej degrengolady i moralnego upadku. A to ważne w kontekście uzasadniania różnych siłowych rozwiązań i jednocześnie uzyskiwania ideologicznych sojuszników w sercu Zachodu.

▶ Rosja „broni" wartości

Putin w swoich przemówieniach historycznych nawiązuje też często do idei Wielkiej Wojny Ojczyźnianej – czyli wojny narodu rosyjskiego w „obronie cywilizacji przed faszyzmem". Właśnie w roku 2005, czyli z okazji równej rocznicy zakończenia wojny w Europie, Putin opublikował w „Le Figaro" artykuł zatytułowany „Lekcje zwycięstwa nad nazizmem". Nowak przytacza ten artykuł nie bez przyczyny, pisząc: „Demokracja, wolność, sprawiedliwość i humanizm – oto cztery wartości, jakie reprezentuje Rosja i broni ich dla »świata cywilizowanego«. Tak przemawia Putin do Francuzów – językiem Woltera oraz deklaracji praw człowieka i obywatela". To wskazanie intelektualnej, manipulacyjnej ścieżki, którą trafia on do odbiorcy na Zachodzie.

W opowieści o „Putinie-historyku" w „Powrocie Imperium Zła" niezwykle interesujące są wątki dotyczące Polski. Tym ciekawsze, że przecież premiera czerwcowa książki zbiegła się z emisją serialu dokumentalnego Michała Rachonia i Sławomira Cenckiewicza „Reset", który podejmuje także kwestie dotyczące wizyt Władimira Putina w Polsce, choćby w związku z 70. rocznicą wybuchu II wojny światowej. Pisze prof. Nowak o tych obchodach: „Gościł na obchodach 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte [Putin – przyp. T.Ł.]. Witany z entuzjazmem przez ówczesny rząd Polski, premier Putin wystąpił jako główny mówca na tych uroczystościach, pomimo że była obok niego m.in. kanclerz Angela Merkel czy, kompletnie zignorowana przez stronę polską, formalnie równa rangą Putinowi, ówczesna premier Ukrainy, Julia Tymoszenko". To wówczas, „na przywitanie" gościa z Moskwy, minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski ogłosił w „Gazecie Wyborczej" tekst, w którym „wezwał do porzucenia przez Polskę polityki nieufności i rachunków historycznych wobec Rosji, stwierdzając, że ta ostatnia »nigdy nie hołdowała wartościom demokracji tak jak teraz« (czyli na progu września 2009 roku)".

Na Westerplatte wygłosił Putin swego rodzaju uzasadnienie zawarcia paktu Ribbentrop–Mołotow, przedstawiając go jako „konsekwencję niesprawiedliwego, upokarzającego Niemcy i Rosję, systemu wersalskiego".

Odpór temu dał w swoim przemówieniu jedynie prezydent Lech Kaczyński – na szczęście dopuszczono go do głosu. „Patrząc w twarz Putinowi, polski prezydent przedstawił inną zgoła »lekcję historii«. Owszem, podobnie jak rosyjski premier jedno ze źródeł II wojny wskazał w ustępliwości mocarstw zachodnich wobec agresora, w próbie jego zaspokojenia kosztem innych, mniejszych krajów, podczas konferencji w Monachium w 1938". Ale wskazał bardzo istotną różnicę „Z Monachium trzeba wyciągnąć wnioski, które sięgają czasu współczesnego, imperializmowi nie wolno ustępować". A przecież wiadomo, o jaki imperializm chodziło – o ten, którego twarzą jest Władimir Putin. Jaką cenę poniósł prezydent Lech Kaczyński za odważne przeciwstawianie się zakusom Putina, wiemy wszyscy. Stało się to 10 kwietnia 2010 roku pod Smoleńskiem.

> W opowieści o „Putinie-historyku" w „Powrocie Imperium Zła" niezwykle interesujące są wątki dotyczące Polski.

Książka prof. Andrzeja Nowaka to bez wątpienia jedna z najważniejszych pozycji na polskim rynku wydawniczym dotyczącym i historii, i polityki. Ma bowiem zasadniczy walor: odsłania i wyjaśnia ideologiczne podstawy, na których Władimir Putin buduje swoją imperialną politykę. Bez próby zrozumienia dziejów imperialnej Rosji oraz sposobu, w jaki patrzy na owe dzieje obecny władca Kremla, nie można bowiem świadomie patrzeć na kolejne akty dramatu historycznego, który jest pisany polityczno-militarną dłonią Putina.

A że analizy prof. Andrzeja Nowaka są najwyższej próby i ukazują niezmiernie ciekawą i szeroką perspektywę historyczną, tym większą ma się przyjemność poznawczą, sięgając po jego najnowszą książkę. ■

eprasa.pl 27191359ba

Małgorzata Matuszak

Czym jest... pielgrzymowanie

Pielgrzymowanie to podróż motywowana religijnie. Od zwykłego podróżowania nastawionego na przyjemność odróżnia je dobrowolnie podejmowany trud, to, że wynika ono z aktu wiary oraz sam kres podróży, którym jest miejsce święte. Celem pielgrzymowania jest doświadczenie obecności Bożej w życiu pielgrzyma. Święty Paweł porównywał ziemskie życie człowieka do pielgrzymowania ku Bogu: tak jak pierwszy ojciec Adam został w wyniku nieposłuszeństwa wygnany z Edenu, aby błądzić po ziemi w trudzie i znoju, tak jego dzieci muszą spełniać swoje życie na ziemi w oczekiwaniu na powrót do domu w Niebie. Wygnanie z raju od pielgrzymki odróżnia jedynie to, że pielgrzym wyrusza dobrowolnie w podróż, aby spotkać się z Bogiem obecnym w miejscu świętym. Jednak metafora podróży i tułaczki po ziemi jest uniwersalna i dotyczy rodzaju ludzkiego jako takiego już od czasów Adama, gdy ludzie, jako rodzaj, stracili kontakt z Bogiem. Człowiek zyskał miano „homo viator" – człowieka pielgrzyma, który w swej wędrówce pokonuje przeciwności, by osiągnąć Niebo. Gabriel Marcel uznał wręcz „homo viator" za jedyny możliwy sposób funkcjonowania człowieka w świecie: człowiek, który przestałby iść, nie byłby już człowiekiem.

W pielgrzymowaniu wyraża się ludzki akt wiary. Służy ono jej pogłębieniu. Wyruszając w drogę, człowiek godzi się na trud podróży i przepaja go ufność pokładana w Bogu, że droga ku miejscu świętemu odmieni jego życie doczesne. Pielgrzymka jest oderwaniem od codzienności, wkroczeniem w inny czas, czas tego, co nowe, i jednocześnie nie jest to stały etap w życiu ludzkim, ale tymczasowy, po którym będzie musiał wrócić do swej codzienności. Odmieniony. W czasie pielgrzymowania pielgrzym ma okazję doświadczyć trudu podróży, poznać kruchość własnego życia i jego tymczasowość. Z perspektywy podróży lepiej widzi jednak ulotność doczesnego życia i nie jest już tak owładnięty pogonią za dobrami tego świata, gdyż dowiaduje się podczas pielgrzymowania, że potrzebuje o wiele mniej, niż sądził.

Jednocześnie przestrzeń fizyczna, którą człowiek przebywa, jest tylko analogią do rzeczywistego przebywania przez niego przestrzeni duchowej. Pielgrzymując, można doświadczyć przede wszystkim podróży duchowej ku Bogu. Pielgrzymka wyraża wyjście poza siebie i spotkanie z tym, co nieznane. Jest to akt transcendowania samego siebie, w którym człowiek, tylko dzięki swojej wierze, może mieć oparcie w podróży w Bogu, gdyż opuścił wszystko, co znał do tej pory, aby szukać Boga. Jednocześnie to bycie-w-podróży sprawia, że wszystko, co znał wcześniej, cała jego codzienność, ulega zawieszeniu i może uzyskać dystans do doczesnych spraw i problemów własnego życia. Jest przeniesieniem z „profanum" do „sacrum".

Pielgrzymka jako podróż duchowa daje szansę na przeżycie przemiany duchowej człowieka, który może wrócić z odbytej podróży do sanktuarium, po uzyskanym oczyszczeniu wewnętrznym i religijnym, z nowymi siłami i nowym nastawieniem do siebie, swoich bliskich oraz do głębszego kontaktu z Bogiem w codzienności. Tak rozumiana pielgrzymka jest przede wszystkim odnowieniem wiary w człowieku i jego duchowej mocy oraz gotowości bycia wiernym Bogu. Jak mówił Jan Paweł II, nazywany papieżem-pielgrzymem, w swojej wypowiedzi o pielgrzymowaniu: „Człowiek tęskni za spotkaniem z Bogiem, a pielgrzymki kierują jego myśli ku przystani, do której można zawinąć na szlaku swoich religijnych poszukiwań. Wraz z Psalmistą może w nich wyśpiewać swój głód i pragnienie Boga: »Boże, Ty Boże mój, Ciebie szukam, [...] łaska Twoja lepsza jest od życia« (Ps 63, 2.4)" („Sens pielgrzymowania", 1999:23–24). Takim poszukiwaniem Boga jest dla pielgrzyma każda pielgrzymka, o ile przeżywa ją w motywowany religijnie sposób, całkowicie oddając się i ufając Bożej Opatrzności.

> WYRUSZAJĄC W DROGĘ, PIELGRZYM GODZI SIĘ NA TRUD PODRÓŻY I PRZEPAJA GO UFNOŚĆ POKŁADANA W BOGU, ŻE DROGA KU MIEJSCU ŚWIĘTEMU ODMIENI JEGO ŻYCIE DOCZESNE.

Pielgrzymowanie stanowi odzwierciedlenie ludzkiego życia, człowiek bowiem często przypomina błądzącą i niemogącą trafić do celu istotę. Czy jesteśmy w stanie świadomie wyruszyć w tę drogę? ■

eprasa.pl 27191359ba



Jurij Szczerbak

Podlegają likwidacji: putin i post-putin

Z ilustracji do artykułu Aleksandra Dugina w magazynie internetowym rosyjskiego prawosławnego faszysty Malofeeva „Katehon" patrzy na nas nie łysy karzeł o drobnych rysach twarzy i martwym spojrzeniu rybich oczu – Władimir Władimirowicz Putin we własnej osobie – lecz putinopodobny superbohater komiksów – potężny, barczysty rycerz, ukoronowany królewską koroną, odziany w zbroję z epoletami marszałkowskimi – taka sobie mieszanka rosyjskiego zuch-rycerza z bestią o blond włosach – esesmanem z dywizji Adolfa Hitlera.

eprasa.pl 27191359ba

Jak rosja, która w składzie ZSRS pokonała w 1945 roku nazistowskie Niemcy, sama stała się państwem faszystowskim? Dlaczego spełniło się proroctwo Winstona Churchilla o tym, że w przyszłości faszyści będą nazywać się antyfaszystami? Jak wpełzała i rozrastała się ideologia faszystowska w rosyjskiej machinie państwowej czasów putina? Jak mogła grupa politycznych skrajnych faszystów narzucić szaloną, potępioną przez świat ideologię wielkiemu państwu jądrowemu?

Częściowo odpowiedzi na te pytania udziela brytyjski dziennikarz Charles Clover, były korespondent moskiewski „Financial Times", w swojej sensacyjnej książce „Czarny wiatr, biały śnieg. Nowy rozkwit nacjonalistycznej idei", Phantom Press, 2017 (Charles Clover, „Black Wind, White Snow. The Rise of Russia New Nationalism", 2017), w której, w dobrze udokumentowanym i zachwycającym stylu, opowiada o grupce na początku nikomu nieznanych fanatyków Hitlera, geopolityków niemieckich i euroazjatyckich oraz narodowo-bolszewickich idei, które wszczepiały się, niczym komórki rakowe, w chory organizm postsowieckiej rosji, cierpiącej na syndrom utraconej imperialnej wielkości. Polecam każdemu, kto interesuje się tą problematyką, by przeczytał tę książkę.

Jedną z centralnych postaci tekstu Clovera jest młody faszysta Aleksander Dugin, który stopniowo przemieniał się w siwobrodego guru-filozofa – piewcę „ruskiego miru" i odrodzenia imperium prawosławnego „Trzeciego Rzymu", podżegacza wojny światowej, człowieka, który organicznie nienawidzi „cywilizacji Antychrysta" – czyli liberalnej demokracji Zachodu. Są dwa podmioty, szczególnie znienawidzone przez Dugina: Ukraina i Ukraińcy, których kazał „Zabijać, zabijać, zabijać", i „katolicka" Polska, która „poprzez wieki budowała w Ukrainie rusofobiczną tożsamość" („Biznes-gazeta", 7.01.2023). Twierdzi on, że „aktywizacja roli Polski w konflikcie (w agresji przeciw Ukrainie) zaostrza skalę wojny rosji z Zachodem – to wyzwanie dla naszego istnienia" („Biznes-gazeta", 22.02.2023).

Córka tego „bohatera", Daria Dugin, zginęła w 2022 roku na skutek wybuchu samochodu, co nasiliło nienawiść jej ojca do „ukraińskich terrorystów" i „anglosaksońskich służb specjalnych".

Proponuję uwadze czytelnika ocenę ostatniego artykułu A. Dugina, który zawiera, moim zdaniem, istotne nowe elementy panicznej reakcji faszystów rosyjskich na możliwą porażkę w Ukrainie.

FOT. MAHDIEH GHAFOORIAN/WIKIPEDIA

„Pragnąć pokoju może tylko zdrajca"

Teoretyk euroazjatyckiego Imperium Zła, ideolog faszyzmu rosyjskiego Aleksander Dugin, opublikował artykuł programowy pod znamiennym tytułem „Putin jako wielki władca i post-putin" („Katehon", 11.04.2023).

Artykuł rozpoczyna twierdzenie, że istnieje „bezpośrednia zależność wydarzeń na froncie od stopnia i intensywności PATRIOTYZMU w państwie i społeczeństwie". „Powstrzymanie operacji wojskowej [czyli krwawej rosyjskiej agresji przeciw Ukrainie] w tym stanie, w którym się znajduje", jest „NIEMOŻLIWE". „Pragnąć pokoju [...] może tylko zdrajca, wróg Rosji – narodu i państwa". „Proces PATRIOTYZACJI w społeczeństwie posuwa się nadzwyczajnie POWOLI".

Już pierwsze wersy tego alarmującego opisu świadczą o tym, że panika, która ogarnęła znaczną część rosyjskich elit w związku z realną możliwością porażki putinowskiej awantury, dotknęła i takich zaciekłych podżegaczy wojny, jak p. Dugin. Ten filozof, w którym zamieszkały diabły nienawiści i przemocy, także poczuł nadejście krachu archaicznej mesjanistycznej utopii o światowym panowaniu rosji nad kolektywnym Zachodem.

Dugin stara się jeszcze okazywać optymizm, mówiąc, że „weszliśmy na stały wektor – ciągłego, choć jeszcze nadzwyczajnie powolnego, powstrzymywanego PATRIOTYZMU". Słowo „patriotyzm" jest dla niego święte i oznacza jednocześnie i buńczuczne imperialne slogany, i morale najeźdźców (nadzwyczajnie niskie), i poziom zarządzania (niekompetentnego) przez rosyjskie wojsko potiomkinowskie, i, głównie, chęć/niechęć poniesienia śmierci za ulubionego führera putlera przez rozpropagandyzowane żołnierstwo.

Jednak ilekolwiek powtarzać słowo „patriotyzm" (czyli absurdalną agresywną doktrynę „ruskiego miru"), to bogini zwycięstwa Nike nie zadmie w róg na cześć kryminalnych złoczyńców, którzy dręczą Ukrainę i grożą światu bombą jądrową.

Dugin z niepokojem konstatuje, że w 2023 roku „kreślić się będzie obraz naszej przyszłości: jak ma wyglądać Rosja na kolejnym zakręcie jej egzystencji historycznej".

Tak, to prawda. Właśnie w 2023 roku rozstrzygnie się los światowej cywilizacji, dalszego rozwoju ludzkości w XXI wieku. I rozstrzygnie się on na polu walki w Ukrainie. W przypadku porażki w Ukrainie (w co nie wątpimy), Orda moskiewska przemieni się w marginalną prowincję Chin.

eprasa.pl 27191359ba

Po uroczysto-żałobnej uwerturze Dugin przechodzi do głównego tematu swego manifestu.

▶ putin

Z ilustracji do artykułu A. Dugina w magazynie internetowym rosyjskiego prawosławnego faszysty Malofeeva „Katehon" patrzy na nas nie łysy karzeł o drobnych rysach twarzy i martwym spojrzeniu rybich oczu – Władimir Władimirowicz Putin we własnej osobie – lecz putinopodobny superbohater komiksów – potężny, barczysty rycerz, ukoronowany królewską koroną, odziany w zbroję z epoletami marszałkowskimi – taka sobie mieszanka rosyjskiego zuch-rycerza z bestią o blond włosach – esesmanem z dywizji Adolfa Hitlera.

Dugin, który jeszcze w 2022 roku życzył putinowi śmierci – po ustąpieniu rosjan z Chersonia – teraz śpiewa o „wielkim władcy" w stylu stalinowskich lizusów lat 1940–1950: putin „nie zależy od nikogo i skoncentrował w swych rękach całą władzę". Stanął na czele HEARTLAND, jądra Euroazji, ogromnego lądu, w walce z nienawistnym wrogiem oceanicznym USA; putin, zaczynając wojnę przeciw Ukrainie, rozpoczął „prawdziwy zwrot PATRIOTYCZNY – od suwerenności państwa do suwerenności cywilizacji [!]". Orientacja na utwierdzenie tożsamości rosyjskiej cywilizacji euroazjatyckiej (czyli na arcyreakcyjne szowinistyczne postulaty „ruskiego miru") – „to były wyjątkowo decyzje samego putina, putina jako OSOBISTOŚCI" – podkreśla Dugin, ostrożnie prowadząc czytelnika do najważniejszego punktu, dla którego tak naprawdę napisano ten artykuł.

Mowa o odejściu putina od władzy, o jego usunięciu, zniknięciu, politycznej czy fizycznej śmierci. Oto jak elegancko pisze o tym doświadczeniu demagog: „Absolutyzm władzy putina jest taki, że tylko on decyduje, kiedy nastąpi okres »po putinie« – przy władzy może pozostać »bez końca«, naród, społeczeństwo tylko go w tym wesprze" – miękko wyścieła Dugin trumnę putinowi. „ALE ON MOŻE I PRZEKAZAĆ WŁADZĘ – PRZY CZYM ZNÓW – KOMU BĘDZIE CHCIAŁ [!]".

Tu właśnie kryje się główne przesłanie tego artykułu: zgraja faszystowsko-czekistowskich bandytów, która przejęła władzę w rosji, przeczuwając nieuchronną porażkę, przygotowuje się do rozzłoszczenia swego przywódcy i nauczyciela, sprzątnięcia ze sceny politycznej tego żałosnego starzejącego się frajera, żeby rozpocząć nowy etap rosyjskiej historii: etap „PO-PUTINIE". Znamy porachunki liberałów rosyjskich i szeregu zachodnich polityków, którzy oczekują przyjścia do władzy kogoś z bliskiego otoczenia putina (na wzór Chruszczowa po Stalinie), kto szybko „unormuje" sytuację, wstrzyma wojnę, pójdzie na pewne ustępstwa wobec Ukrainy i Zachodu, by zachować władzę i bogactwa – a w zamian otrzyma zniesienie międzynarodowych sankcji i przebaczenie.

Ale Dugin w imieniu fanatycznych Z-patriotów (a takich w rosji jest około 30 proc., zaczynając od Igora Girkina-Striełkowa, Prigożyna i innych) twardo oświadcza: zostawcie bezpodstawne marzenia. Potrzebujemy kontynuatora sprawy putina, a nie liberalnego zdrajcy.

▶ Post-putin

Kim więc jest ten Post-putin? Z kim będziemy mieć do czynienia, jeżeli zrealizuje się Duginowskie urojenie? Kogo ci szaleni podżegacze światowej rzezi chcą posadzić na zakrwawionym tronie rosyjskim? Czy mają już konkretnego kandydata i kiedy chcą przeprowadzić tę operację? Na ostatnie pytanie jest odpowiedź: odsuną putina od władzy, jeżeli uda się kontratak Ukrainy, którego tak się boją.

Casting na stanowisko Post-putina już trwa. Jakie warunki powinien spełnić nowy kandydat?

Przede wszystkim: pod żadnym warunkiem nie powinien „zbaczać z kursu geopolitycznego, uchylać się od PATRIOTYZMU i cywilizacyjnej tożsamości rosji". Post-putin „musi udowodnić, że jest godnym następcą putina i wywalczyć legitymizację w geopolityce, PATRIOTYZMIE [...] i odrodzeniu ruskiego miru". Następca musi „zdecydowanie i za wszelką cenę [!] wygrać wojnę z kolektywnym Zachodem na Ukrainie, tak, by nikt nie mógł wątpić w zwycięstwo".

W tym miejscu Dugin wymienia drugi po Ukrainie znienawidzony kraj: Post-putin w swoim ofensywnym zrywie „nie powinien zatrzymywać się nigdzie WCZEŚNIEJ NIŻ NA GRANICY Z POLSKĄ [!]". Mimo wszystko Polski się boją.

Putinowski następca otrzymuje szereg dodatkowych zadań. Powinien wykorzenić zachodnie warunki cywilizacyjne – kapitalizm, liberalną demokrację, ideologię praw człowieka, techniczny progres, międzynarodowy podział pracy, cyfryzację, wierność normom prawa międzynarodowego, „reformować" struktury zarządzania rosją, przeprowadzić „rotację elit" – czyli szerokie czystki w celu wymiany „liberałów i zdrajców" na patriotów – weteranów wojennych. Post-putin

eprasa.pl 27191359ba

otrzymuje zlecenie budowy ODRĘBNEJ od Zachodu i Wschodu (?!) cywilizacji „ruskiego miru". Jeszcze jeden istotny wniosek Aleksander Dugin usiłuje narzucić światu: negocjujcie, póki nie jest za późno, z putinem, bo tylko z nim można jeszcze budować relacje. Bo post-putinowski łajdak przejdzie „nie tylko na język PATRIOTYZMU, lecz na język ULTRA-PATRIOTYZMU". Reformy ten post-putinowski potwór będzie wprowadzał już nie w miękkim putinowskim stylu (czytelnik wyobraża sobie ten „miękki styl" zabójstw, otruć i aresztowań), lecz w okrutnym stylu prigożyna.

Milion potencjalnych morderców

Zakrwawiony młot Prigożyna, którym zabija się wrogów – oto nowa rosyjska broń, co nie ma analogii, nowy „styl" patriotów. Wzburzona wezwaniami do przemocy czerń rosyjska, która kiedyś była czarną sotnią, w czasie putina urosła do miliona potencjalnych morderców i gra-

szóstą powierzchni ziemi. Terytorium rosyjskiego drapieżnika rosło w ciągu dnia ze średnią prędkością 80 kilometrów kwadratowych. Dziś, w rejonie Bachmutu, powiększa się o kilka metrów kwadratowych w ciągu miesiąca za cenę trupów rosyjskich najeźdźców.

W latach 20. XX wieku w ZSRS popularny był pacyfistyczny wiersz Jewgienija Jewtuszenki „Czy Rosjanie chcą wojny?" – na co w 2023 roku dano odpowiedź: nie tylko chcą, lecz namiętnie pragną!

Rosja stoczyła się od kłamliwej pieśni „My za mir" do wojny na szeroką skalę przeciwko Ukrainie. Wojny, na której według ministra obrony Ukrainy („Weczirnij Kyjiw", 16.04.2023) zginęło około 50 tys. żołnierzy ZSU, którzy bronili swojej ziemi; wiarygodnie udokumentowane ofiary wśród ludności cywilnej stanowią według danych ONZ ponad 8 tys. zmarłych, wśród nich ponad 500 dzieci, oraz 14 tys. rannych – i to są bardzo zaniżone liczby (Suspilne Nowyny, 24.03.2023).

Casting na stanowisko Post-putina już trwa. Następca musi „zdecydowanie i za wszelką cenę [!] wygrać wojnę z kolektywnym Zachodem na Ukrainie, tak, by nikt nie mógł wątpić w zwycięstwo".

bieżców, którzy wierzą w każde słowo propagandy i uważają Ukraińców, Polaków, Amerykanów i innych za śmiertelnych wrogów, nienawidzą wolności i znieważają demokrację. Rosyjska kultura, kiedyś naprawdę wielka i wspaniała, zbudowana na wiecznych chrześcijańskich wartościach dobra i miłosierdzia, zdegradowała się do poziomu złowrogiego okrzyku oprycznikow „Hajda!", który wybrzmiał z ust aktora na mityngu moskiewskim z udziałem putina. Od takich światowych filozofów jak Wołodymyr Wernadski i Nikołaj Bierdiajew – do mizantropa Dugina, który swego czasu wsławił się udziałem w moskiewskich imprezach na cześć SS, z okrzykami „Sieg Heil!".

Podstawę państwowości rosyjskiej stanowiła imperialna zasada podboju, zawłaszczania, okupacji i kolonizacji sąsiednich terytoriów. Jak potwierdza ukraiński-kanadyjski historyk Orest Subtelny, jeżeli w 1462 roku księstwo moskiewskie władało 24 tys. kilometrów kwadratowych, to w roku 1914 imperium obejmowało 23,8 MILIONA kilometrów kwadratowych, czyli jedną

Uchodźcami wskutek wojny zostało ponad 8,1 mln Ukraińców (Agencja ONZ do spraw uchodźców, 8.03.2023).

Oto co przyniosła doktryna „ruskiego miru" putina-dugina. I to jeszcze daleko nie koniec. Nie wiemy, czy wojna zatrzyma się na ziemiach Ukrainy, nie doszedłszy do granic Polski, czy ognista fala zabójstw potoczy się dalej?

Dugin proponując sprzątnięcie nieudacznika putina, marzy, by na jego miejscu znalazł się hiper-putin – jeszcze większy łajdak i morderca.

Jedyną adekwatną odpowiedzią narodów demokratycznych powinna stać się likwidacja putina i jego możliwych następców z falangi „ruskiego miru". Tak jak uczyniły to siły amerykańskie w operacji specjalnej z Osamą bin Ladenem.

A ideologowi „ruskiego miru" Duginowi warto przypomnieć dzień 16 października 1946 roku, kiedy w Norymberdze został powieszony teoretyk hitleryzmu Julius Streicher. ■

_____

Zachowujemy oryginalną pisownię stosowaną przez Autora. Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 27191359ba

Ewa Polak-Pałkiewicz



Jest jakaś wielka zagadka w fakcie, że jako ci, którzy widzą i słyszą rzeczy dla innych niedostrzegalne i niesłyszalne, a przecież obiektywnie istniejące – na mocy uroczystego orzeczenia Kościoła – wybierane są dzieci. Dlaczego w XIX i na początku XX wieku, by usłyszeć orędzie z nieba, by ujrzeć chwałę Maryi, wybierane były właśnie one? Czy nie dlatego, że pozbawione są skłonności do sceptycyzmu, wolne od podejrzliwości i że przyjmują prawdę, ufając autorytetowi? Czyli po prostu mają wiarę. Jeżeli ich bliscy o nią zadbali.

Żelazny kanclerz i tajemnica Gietrzwałdu

W epoce gdy warstwy wyższe w Europie, zwłaszcza burżuazja, kręgi finansjery, administracji państwowej, miały o sobie wyjątkowo wysokie mniemanie, na terenie Europy dochodziło do wydarzeń, które mąciły tę pewność siebie i przyjemne uczucie, że „jest się górą". I że życie na ziemi – dzięki głowie na karku, wytrwałej pracy i odrobinie szczęścia – może być piękną bajką. Zdarzały się bowiem rzeczy, które nie mieściły się w głowie racjonalistom. Prawa natury zostawały na jakiś czas zawieszone. Sparaliżowani wstawali z noszy, ślepi odzyskiwali wzrok, głusi słuch, niemi mowę. Niedowiarkowie wracali do wiary.

Nie udało się nikomu z „ludzi naprawdę wpływowych" skutecznie ukryć tych wydarzeń, mimo wielkich starań. W objawieniach uznanych przez Kościół w Lourdes, La Salette, Gietrzwałdzie, Fatimie, Matka Boża, przychodząc do wiejskich dzieci, przybywała w istocie do wyrzutków społecznych. To odbierało spokój nie tylko zadeklarowanym ateistom i wyrafinowanym sceptykom. Było publicznym zgorszeniem i osobistym wyzwaniem dla ludzi, którzy cały wysiłek swojego życia włożyli w to, by „być naprawdę kimś" – i zaprowadzić wokół siebie wreszcie wzorowy porządek.

82 dni z Królową

Dwunastoletnia Basia Samulowska z Gietrzwałdu – czarnowłosa dziewczynka o twarzy ciemnej jak oliwka, nieregularnych rysach, zadartym nosku, za dużych ustach i wystających zębach, wesoła i żywa jak iskra, o której mówiono, że „nie chodzi tylko skacze, a gdy chcesz ją zatrzymać, ledwie się obróci, ledwie posłucha, wyrwie się i ucieka" – to obraz „niczym nieskrępowanej swobody, prostoty i natury". Tak opisywano ją w 1877 roku. Justyna Szafryńska z tej samej warmińskiej wioski, trzynastolatka, to jej przeciwieństwo. Mówiono, że jest „wstydliwości wielkiej", że chodzi między ludźmi, „jakby ich nie widziała, gdy pomaga w pracy, np. w nakrywaniu stołu, to wcale nie odrywa oczu od roboty swojej, choć izba pełna ciekawskich". Nieśmiała, poważna, skupiona. Nauka przychodziła jej z trudem, zdany pomyślnie egzamin z katechizmu – przed Pierwszą Komunią – napawał ją niesłychaną radością. Takim to personom Matka Boża objawiła się na ziemi polskiej, na terenie zaboru pruskiego za czasów kanclerza Bismarcka 160 razy. Przychodziła na klon nieopodal gietrzwałdzkiego kościoła przez 82 dni...

Maryja przyszła osobiście na naszą ziemię poprosić, byśmy więcej nie obrażali Boga. Przyszła przypomnieć o pokucie. Przestrzegała przed piekłem... I nie była to *licentia poetica*.

Rozmawiała z dziewczynkami po polsku. Odpowiadała na pytania, prosiła o odmawianie Różańca, powstrzymanie się od grzechów, życie w trzeźwości, czynienie pokuty i zbudowanie kaplicy przy źródełku. Tylko tyle i aż tyle. Zapowiedziała też, że wszystko, co zostało zabrane na tej ziemi Kościołowi, zostanie zwrócone, księża wrócą do parafii, a represje wobec katolików ustaną. Było to tożsame z zapowiedzią, że Polska odzyska wolność.

Głośno było o tym w całej Europie, niewygodna sprawa polska została znów przywołana. Maleńki Gietrzwałd na końcu świata stał się miejscem międzynarodowych pielgrzymek. W trakcie trwania objawień przybyło tu około 300 tys. osób, w tym 200 księży.

Kim właściwie byli ci wybrańcy?

Wszystkie „widzące" dzieci w miejscach najbardziej znanych objawień Matki Bożej mogły nie umieć pisać, nie znać tabliczki mnożenia, ale to nie znaczy, że były ignorantami w tym, co najważniejsze. Że były „głupie". Przeciwnie, ich umysł działał prawidłowo, bo znały prawdy katechizmowe. Czy to nie dowód na to, że dla Boga liczy się stokroć bardziej wiara niż wiedza czysto racjonalna, którą potrafimy pochłaniać dziś haustami? Już nam pojemności mózgowej brakuje, już czasu nie starcza, by to wszystko przyswoić, przetrawić, nie mamy kryteriów do porządkowania tego wszystkiego. A jak przypomina św. Tomasz, „żaden z filozofów żyjących przed Chrystusem, mimo wszystkich swoich wysiłków, nie wiedział tyle o Bogu i o tym, co konieczne do zbawienia, ile dzisiaj wie prosta kobieta, dzięki swojej wierze. [...] Wiara w formie gotowej i przystępnej przedstawia nam wszystko to, co trzeba wiedzieć, aby życie przeżyć dobrze". To nie dzięki wiedzy, a „dzięki wierze rozpoczyna się w nas życie wieczne. Nie jest ono niczym innym jak poznaniem Boga. »To jest życie wieczne« – mówi Jezus – »aby znali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga« (J 17, 3)". Zupełnie zaprzecza mu dzisiejsza zasada, że aby być „kimś", trzeba przestrzegać prawideł rządzących światem. Trzeba zdobywać bieżące informacje, a najlepiej – nimi zarządzać.

Objawienia uznane przez Kościół przypominają to, co znane „od zawsze", od zarania chrześcijaństwa, jednak dziś częściej niż kiedykolwiek zapomniane, lekceważone, deptane, wypychane ze świadomości.

Owi XIX– i XX-wieczni nieletni „widzący" byli jednak bez wyjątku wychowani w środowiskach, w których potrafiono oddawać Bogu cześć. Czyniono to bez ociągania się. Nikt nie pracował tutaj w dni świąteczne. Święta Maryjne obchodzone były tak jak święta kościelne. W Gietrzwałdzie odmawiano Anioł Pański także w dni powszednie, trzy razy dziennie. Nikt tu nikogo nie przekonywał także, że „nie jest grzechem zbieranie zboża czy siana w niedzielę przed deszczem", jakby to,

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 27191359ba

czy będziemy mieli co do ust włożyć, zależało wyłącznie od człowieka, nie od Boga.

A jednak nie wszyscy, którzy przybywali tu i byli bezpośrednimi świadkami cudów – w Gietrzwałdzie tak samo jak w Lourdes, Fatimie – lub znali je ze słyszenia, odchodzili stamtąd jako ludzie wierzący. Mimo że miały tu miejsce – i mają nadal – fakty zdumiewające, którym nikt nie może zaprzeczyć, istnieją ludzie, którzy nie są w stanie wyciągnąć z tego dla siebie żadnych wniosków. Pozostają zimni, nieprzejednani, powątpiewający we wszystko. A przy tym nierzadko dziwnie zabobonni.

Wśród zabobonnych wierzeń

„Ludzie mówią o katolicyzmie, jakby to był rodzaj jakiejś duchowej spółdzielni, do której dołączasz, a później masz udział w zyskach" – mówiła angielska pisarka Muriel Spark, nawrócona z anglikanizmu. „Ale wiara katolicka to naprawdę coś więcej".

„[...] nienawrócony świat purytański lub pogański, ale może zwłaszcza purytański, ma bardzo osobliwe wyobrażenie o zbiorowej jedności katolickich spraw bądź myśli" – pisał Chesterton po swoim nawróceniu. „Jego przedstawiciele, nawet jeśli nie są zapamiętałymi wrogami [Kościoła], tworzą najdziwniejsze spisy rzeczy, które ich zdaniem stanowią o życiu katolików, niezwykły wybór przedmiotów, takich jak świece, różańce, kadzidło (zwykle ulegają wrażeniu ogromnego znaczenia i nieodzowności kadzidła), szaty, ostrołukowe okna, a później cały zbiór rzeczy istotnych i nieistotnych rzucony w jakiejkolwiek kolejności: posty, relikwie, praktyki pokutne albo osoba papieża)".

Karykaturę religii z jej nieodzownymi rzekomo „rekwizytami" tworzyli zawsze wyznawcy kultu jednostek. Jeden z historyków opisał uroczystą „pielgrzymkę" Niemców z Wielkopolski do Warcina, posiadłości Otto von Bismarcka na Pomorzu, z okazji jego 80. urodzin, we wrześniu 1894 roku. Ponad tysiąc osób licząca grupa zaopatrywała się na szlaku w „mydło Bismarcka", „noże Bismarcka", a także „tabaki, haczyki i spławiki z jego inicjałami oraz »książęce podobizny niepojętej brzydoty«"; wszystko do kolekcji z 250 wieżami, które w całych Prusach na cześć kanclerza ustawiali przez kilkanaście lat Niemcy. Bismarck był już w dniu jubileuszu emerytem i uraczył przybyłych – po solidnej porcji oracji i gratulacji z ich strony – przemówieniem, w którym przestrzegał przed „polskim zagrożeniem" uosabianym przez szlachtę i duchowieństwo oraz ganił nowego kanclerza Leo von Caprivi za złagodzenie polityki germanizacyjnej.

W swoim ogromnym parku otaczającym pałac w Warcinie były kanclerz, który był namiętnym myśliwym, nie tylko przyjmował gości, lecz także grzebał ukochane psy i umieścił czternaście ich kamiennych nagrobków oraz jeden naturalnej wielkości posąg swojego ogiera zwanego Motylkiem, pod którym spoczywają do dziś zwłoki zwierzęcia.

W Polsce było inaczej

Gdy pytamy o powody, dlaczego Matka Boża objawiła się prawie w tym samym czasie we Francji i Polsce jako Niepokalanie Poczęta, to warto przypomnieć, że był to czas ogłoszenia przez Piusa IX dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Najświętszej Maryi Panny (8 grudnia 1854 roku). Ale w Polsce kult Niepokalanie Poczętej był znany i zakorzeniony od dawna, i to nas w pewnym sensie w Europie wyróżniało. W 1510 roku biskupi na synodzie w Gnieźnie uchwalili, by w naszym kraju obchodzono Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny jako uroczyste święto z oktawą. Szczycił się kultem tego przywileju Matki Bożej zwłaszcza Lwów – całą archidiecezję lwowską oddano pod opiekę Niepokalanie Poczętej. Pieczęć archidiecezji nosiła Jej wyobrażenie. Gdy w XVI wieku innowiercy zaczęli bluźnić przeciw Maryi i stało się to powszechną plagą, magistrat Lwowa zgromadził sto argumentów teologicznych i filozoficznych, które przemawiały za tą prawdą wiary, i przesłał je papieżowi. W XVII wieku ojciec Stanisław Papczyński założył zakon marianów, którego celem było rozpowszechnianie czci Niepokalanego Poczęcia Maryi. Król Władysław IV ustanowił order Niepokalanego Poczęcia, który miał być przyznawany za zasługi obrońców kraju. Jak pisze ks. Piotr Sosnowiecki: „Kiedy w 1699 r. odbierano Turkom Kamieniec Podolski, Polacy musieli się zobowiązać zostawić półksiężyc na chrześcijańskiej świątyni, która najeźdźcom służyła jako minaret. Traktatu tego dochowali w ten sposób, że na półksiężycu umieścili figurę Matki Bożej Niepokalanie Poczętej". Od tego czasu postać Niepokalanej depczącej półksiężyc jest zwieńczeniem wielu świątyń polskich, zwłaszcza tych na Kresach.

Tajemnica smutku Maryi

Kardynał Henry Newman zauważył, że gdy w XVI wieku pojawiły się plany całkowitego zniszczenia wiary chrześcijańskiej, nie potrafiono znaleźć „pewniejszego środka dla realizacji tego nienawistnego celu, jak szyderstwa i bluźnierstwa przeciw przywilejom Maryi". Autorzy tego planu „dobrze wiedzieli, że jeżeli raz uda im się przekonać świat, aby zlekceważył Matkę, bardzo szybko pojawi się też brak czci dla Syna [...] Syn i Matka są zawsze razem. Doświadczenie trzech ostatnich stuleci potwierdziło ich świadectwo: katolicy, którzy czcili Matkę, nadal czczą i Syna, podczas gdy protestanci, którzy teraz

eprasa.pl 27191359ba

przestali oddawać cześć Synowi, zaczęli od szyderstw z Jego Matki".

Może dlatego Matka Boża, która w Gietrzwałdzie objawiła się jako Królowa w chwale, siedząca na wspaniałym tronie, otoczona Aniołami oddającymi Jej hołd, wyraziła smutek, gdy w kolejnym dniu objawień w sierpniu 1877 roku (objawienia trwały od czerwca do września) zebrani wokół gietrzwałdzkiego klonu nie okazali Jej należnego szacunku. Czyli – nie zrozumieli obrazu, jaki ukazał się ludzkim oczom. A przecież objawiła się na ziemi, która zawsze należała do Niej. Nigdy nie skaził jej protestancki błąd i nonszalancja ignorantów religijnych, tak łatwo przeradzająca się we wzgardę.

Tego dnia Maryja była zasmucona i mówiła, że więcej nie przyjdzie, bo ludzie nie traktują Jej z szacunkiem. Padły wtedy jedyny raz z Jej ust słowa pełne wyrzutu: „Nie ma żadnego poszanowania dla Mnie, ludzie nawet nie klękają. Jeżeli nie nastąpi poprawa, nie przyjdę więcej" – powiedziała dziewczynkom. Tu nie chodzi o jakiś rytuał. Uniżenie się człowieka wobec majestatu Boga to akt, który przynosi nieprawdopodobny wręcz pożytek samym ludziom wierzącym. Przypomina, kim jest Bóg, a kim jesteśmy wobec Boga my. Matka Boża troszczyła się właśnie o to, by ludzie to rozumieli.

▶ Niemiecki proboszcz broni polskich dzieci

Trzeba w tym miejscu przywołać postać gietrzwałdzkiego proboszcza, ks. Augustyna Weichsela („Weichsel" znaczy „Wisła"), który spędził w Gietrzwałdzie 40 lat swego życia. W opisie wydarzeń w gietrzwałdzkiej parafii często powtarza się zdanie: „Ludzie mówili, że ksiądz Weichsel to święty". Podkreślali – w gwarze warmińskiej – że „gwołt" – czyli „mocno" – „pościł", „gwołt w kościele siedział", „gwołt się modlił", a był przy tym „mocno dobry", „mocno pobożny", „mocno uprzejmy", „mocno przyjemny". Z zamiłowania bibliofil – zgromadził w gietrzwałdzkiej parafii bogatą bibliotekę – i ogrodnik. „Jego duchowa siła ujawniła się w odprawianych kilkakrotnie egzorcyzmach, które na świadkach robiły ogromne wrażenie" – przypomina ks. prof. Kazimierz Łatak CRL. „Był tu gospodarzem i duszpasterzem. Parafia miała wówczas spory folwark... Wszyscy przybywający do Gietrzwałdu w czasie objawień i później z uznaniem wyrażali się o jego uprzejmości i gościnności. Podejmowanie w Gietrzwałdzie duchownych i zezwalanie im na odprawianie mszy świętych w kościele w czasie Kulturkampfu było zresztą jedną z przyczyn nakładanych na niego kar, a także osadzenia go w areszcie w Olsztynie... Umierając kazał spalić wszystkie księgi dłużnicze, aby nie wiedziano, kto i co był mu winien. Kiedy wyszedł z więzienia, parafianie procesjonalnie wprowadzili go do kościoła; gdy leżał śmiertelnie chory, modlili się o cud, a kiedy zmarł, trumnę z ciałem obnieśli trzy razy wokół kościoła, zanim złożyli ją w grobie. [...] Historykowi zajmującemu się hagiografią jego postać kojarzyć się może z postacią św. Jana Marii Vianney, głośnego proboszcza w Ars we Francji...".

O objawieniach w Gietrzwałdzie ks. Augustyn Weichsel powiadomił biskupa warmińskiego Filipa Krementza 8 sierpnia 1877 roku. Biskup nie był zbyt chętny Polakom, podporządkowany decyzjom administracji państwowej, która piętnowała modlitwę i katechezę w języku polskim na terenie zaboru niemieckiego i surowo ją karała. Ksiądz Weichsel nie bał się kar i nie był w stanie przedkładać podporządkowania decyzjom administracyjnym ponad dobro parafian. Modlił się ze swoimi wiernymi, nauczał i spowiadał w języku polskim. Potrafił za nich cierpieć. Nie był „pragmatykiem". Oprócz szczegółowego opisu wydarzeń na podstawie relacji wizjonerek, w liście do biskupa dodał: „Co do mnie, to jestem całkowicie przekonany o rzeczywiście zachodzącym objawieniu, częściowo kiedy patrzę na dzieci, z twarzy których można wyczytać niewinność, szczerość, owszem prostotę dziecięcą, częściowo poruszony do wiary przez inne okoliczności, gdy przyszli do mnie ludzie, a można o nich mówić otwarcie, którzy odbyli tu podróż przywiedzeni łaską Bożą".

„Objawienia z początku przysporzyły mu czci, ale wkrótce także drwiny, pogardę i wszelkiego rodzaju prześladowanie", mówił jeden z jego sąsiadów, księży. „Dlatego kilkakrotnie będzie pozywany do sądu, trzymany pod strażą przez policjantów, nie jeden raz jego osoba nie jest bezpieczna przed mordercami (15.X.1877). Z objawień nie ma żadnego zysku materialnego, ale szkody, ponieważ darmo żywi wielu pielgrzymów i ponieważ przy tym niejedno ginie. Jego zdrowie jest bardzo osłabione przez liczne zajęcia duszpasterskie dla pielgrzymów, tak że dalej może pracować z wielkim trudem i poświęceniem. [...] Ze strony przeciwników uczyniono mu zarzuty, że skłania się do mistycyzmu, że jest pobożnisiem i marzycielem".

Małe parafianki ks. Weichsla, które widziały Matkę Bożą i rozmawiały z Nią, zostały otoczone przez niego ojcowską opieką. Było oczywiste, że gdy stały się znane wśród pielgrzymów i ludzie oblegali ich domy, domagali się osobistych relacji ze spotkań z Matką Bożą, ta popularność może im zaszkodzić. Zagrożone były aresztowaniem przez pruską policję, wzrost nastrojów patriotycznych był bowiem ewidentny nie tylko w sąsiedztwie Gietrzwałdu, nie tylko na Warmii; do miejsca objawień ciągnęły tłumy. Oprócz Polaków przybywali – najczęściej piechotą lub wozami i koleją – Litwini i Niemcy. Polska szlachta i ziemianie rezygnowali z wystawnych powozów, przybywali tak jak prosty lud.

Ksiądz Weichsel był świadkiem owoców, jakie przyniosły objawienia, nie tylko w jego parafii. Obserwował odrodzenie życia religijnego także poza Warmią, zapał

eprasa.pl 27191359ba

do modlitwy, rozwój bractw trzeźwości, liczne powołania zakonne. Spora grupa Warmiaków ślubowała abstynencję do końca życia.

Droga Barbary i Justyny

Proboszcz Gietrzwałdu na czas objawień rozdzielił Barbarę i Justynę i zapewnił im mieszkanie u gospodarzy cieszących się dobrą opinią, by uniknąć nawet pozoru, że ktoś z bliskich wywiera na nie wpływ. Później postarał się o przyjęcie dziewczynek – zgodnie z wolą Maryi – przez Siostry Miłosierdzia z Lidzbarku Warmińskiego. Gdy zakonnice zostały stamtąd przez Niemców wypędzone, Justyna i Barbara przez Chełmno dotarły do Pelplina, były tu przez jakiś czas bezpieczne. Ukończyły szkołę, a następnie wstąpiły do Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Po roku wysłano je do Paryża, bo władze pruskie wciąż wykazywały nadmierne zainteresowanie ich osobami; w roku 1884 znalazły się w paryskim domu macierzystym zgromadzenia przy Rue du Bac, gdzie 50 lat wcześniej objawieniami obdarzona została siostra Katarzyna Labourè, apostołka Cudownego Medalika.

Barbara jako siostra zakonna najpierw zajmowała się dziećmi z ochronki, po 10 latach została wysłana do Gwatemali i tam pozostała do końca życia, posługując głównie w szpitalu. Zapisała się w pamięci miejscowych jako skromny, szlachetny, umiejący kochać człowiek. Zapamiętano zwłaszcza jej odwagę i męstwo podczas kataklizmów, jakie nawiedzały ten kraj, zdecydowanie i talenty organizacyjne, gdy trzeba było odbudowywać szpital prowadzony przez siostry. Nigdy swoją pobożnością nie epatowała. Była wyciszona, delikatna, skupiona. Jest kandydatką na ołtarze.

Droga Justyny była odmienna; po kilku latach pobytu w klasztorze, ze względów rodzinnych zdecydowała się go opuścić. Nie złożyła ślubów zakonnych. Wyszła za mąż za Francuza, wcześnie owdowiała i wiodła bogobojne życie we wdowieństwie.

Patriotyzm czy obsesja?

Istnieją narody, które długo noszą w pamięci historycznej wspomnienie swoich wielkich klęsk. Towarzyszy im ono niczym ból zęba, z którym nie sposób żyć. I choć mijają setki lat, wciąż szukają odwetu. Otto von Bismarck był człowiekiem z pamięcią zatrutą zwycięstwami historycznymi Polski.

Tak jak Hitlera określano często mianem „kukła", Bismarcka nikt kukłą nie nazywał. Mawiano o nim „zdziczały geniusz" (Julian Klaczko), „kanalia" (Agenor hr. Gołuchowski, minister spraw zagranicznych Austro-Węgier), a autor dzieła „Bismarck a Polska" (1938), Józef Feldman, choć widział cynizm jego polityki, nie wahał się uznać go za „najbystrzejszego polityka swego stulecia". A jednocześnie sam Bismarck potrafił wypowiadać na temat Polaków opinie dość rozbieżne. Można w nich odnaleźć rys fascynacji narodem, który był tak bardzo od Niemców różny, denerwował go, ale i intrygował. Bismarck przyznawał na przykład, że jesteśmy mistrzami świata „w konspiracyjnym współdziałaniu znanym w całej Europie" i zarazem ostrzegał, że nasza kulturowa przewagę nad Rosjanami, fakt, że bijemy ich na głowę umiejętnością finezyjnego działania i wykształceniem, powoduje, że potrafimy wywoływać wśród nich nastroje wywrotowe oraz nastawiać opinię rosyjską przeciw Niemcom. Solą w oku była dla niego solidarność polskiego ziemiaństwa i chłopów w zaborze pruskim. Coś takiego u Niemców było nie do pomyślenia. Rozwarstwienie kulturowe i materialne społeczeństwa pruskiego było ogromne.

Bismarck w istocie kontynuował strategię Lutra i jego następców, którzy starali się zlikwidować katolicyzm na ziemi niemieckiej, postrzegany jako „podległość wobec Rzymu, niegodną prawdziwego patrioty niemieckiego" (Vittorio Messori). Określenie wojny władz pruskich z Kościołem katolickim i katolikami mianem „walki o cywilizację (kulturę, oświatę)" zdradzało zamysł identyczny jak idea Lutra – oderwać siłą ludność poddaną władzy cywilnej sprawowanej przez protestantów od znienawidzonego Rzymu, „ostoi wstecznictwa i umysłowego zacofania". Czyniono to zawsze i niezmiennie w imię postępu, ekspansji, zaboru ziem i bogactw oraz zimnego pragmatyzmu.

„[...] ci protestanci udają zawsze, że nasz Kościół jest przeciwko oświacie" – mówił prof. Stanisław Tarnowski (1837–1917). Jeśli prześladowanie Kościoła nazwano „walką o oświatę" (Kulturkampf), to zabieg ten miał taki cel, by Kościół poddać władzy świeckiej „nawet w rzeczach duchownych". Przemyślna strategia wprawiona w ruch przeciwko Polakom przez ulubieńca pruskich mieszczan i bogatych chłopów – choć sam Bismarck pogardzał tym żywiołem, będąc snobistycznego usposobienia, i zawsze liczył w głębi ducha na przyjaźń głów koronowanych – dla którego nie istniały rzeczy niemożliwe, wola uchodziła za żelazną, sława jaśniała w całej Europie, a sukcesy polityczne wydawały się płynąć nieprzerwanym strumieniem, przyniosła końcowy rezultat przeciwny do zaplanowanego. W rozprawie z Polakami Bismarck poniósł dotkliwą porażkę. Twórca niemieckiego państwa opiekuńczego stracił w końcu łaskę cesarza Wilhelma II, został w upokarzający dla siebie sposób zmuszony do dymisji (w 1890 roku). Zarzucano mu, że jego polityka jest niegodna wielkiego mocarstwa.

Niektórzy historycy wciąż powołują się na patriotyzm Bismarcka, który miał być jego główną motywacją. Ale nierzadko w ocenie jego działań pojawia się

eprasa.pl 27191359ba

opinia: „obsesja". Stosunek Bismarcka do Polaków miał w sobie istotnie coś z natręctwa. Wielkość Niemiec – państwa zjednoczonego, z najważniejszym obszarem, jakim były Prusy, z ziemią, która historycznie do nich nie należała – jako cel, opanowała całkowicie jego umysł i psychikę. Nie chciał dopuścić do odbudowy Polski, bo musiałoby się to odbyć kosztem Prus, bez których potęga Niemiec stanęłaby pod znakiem zapytania. Tak samo uważali Krzyżacy. Tę samą teutońską zasadę wobec Polaków wyznawała Rosja.

Swoją potęgę Prusy zbudowały na rozbiorowej grabieży polskiej ziemi. Polska wolna i niepodległa, żyjąca w Polakach dzięki ich wierze, była stałym wyzwaniem dla Żelaznego Kanclerza. Jego niepokojem i tlącym się gdzieś na dnie duszy wyrzutem sumienia. Kres jego polityki i jego sukcesu zbiegł się w czasie z chorobą i śmiercią żony Johanny von Puttkamer (pochodzącej ze zniemczonego rodu pomorskiego), bardzo przez niego kochanej. Nie chciał złożyć jej ciała w grobie, trzymał je przez kilka lat obłożone lodem w swojej oranżerii.

Pomimo tak licznych talentów Kanclerza i uznania go za męża opatrznościowego przez protestanckich Niemców, przeświadczonych o swym powołaniu do stuprocentowego sukcesu, pod koniec życia nie mógł on pozbyć się poczucia osobistej klęski. A wszystko przecież było tak solidnie przemyślane! Mimo woli przychodzi na myśl inna postać, której ambicją było wskrzeszenie „tysiącletniej Rzeszy" – i zarazem ujawniającej (tylko wobec najbliższych współpracowników) zupełnie nielicujący z zakresem posiadanej władzy paniczny lęk przed pewną prostą kobietą ze wsi.

Gdy biurokracja niemiecka okazuje się bezsilna

W latach 1939–1948 w Niemczech trwało racjonowanie żywności, przydzielano ją na kartki. Były kartki na cukier, mięso, papierosy. „W ciągu tych dziewięciu lat jeden tylko obywatel – a raczej obywatelka – nie miał prawa do tych kartek. Odebrano jej natychmiast, z urzędowym uzasadnieniem, że ich nie potrzebuje, zważywszy, że nic nie je ani nie pije. Dawano jej natomiast podwójny przydział mydła, w uznaniu konieczności cotygodniowego prania bielizny poplamionej krwią". Tak o fenomenie mieszkanki małej wioski na terenie tzw. Lasu Czeskiego pisze Vittorio Messori.

„Tak więc pedantyczna, bezosobowa biurokracja germańska – nawet biurokracja Trzeciej Rzeszy! – poświadczyła jeden z najbardziej tajemniczych »przypadków w dziejach« – Teresy Neumann (1898–1962) z Konnersreuth w Bawarii, w Górnym Palatynacie, wieśniaczki, która przez 36 lat żywiła się tylko konsekrowaną hostią. I która co tydzień przeżywała w swoim ciele misterium męki – śmierci – zmartwychwstania Jezusa".

Hitler bał się tej kobiety panicznie. Nade wszystko bał się tego, co pojawiało się w jej mistycznych widzeniach, „zapowiadających dla niego dies irae". Ta pogodna i zażywna niewiasta, córka robotnicy rolnej i wiejskiego krawca, w latach 30. i 40. była bowiem wielką mistyczką. Po dwukrotnym uzdrowieniu jej, najpierw z paraliżu, potem ze ślepoty, za wstawiennictwem swej imienniczki, „małej" świętej Teresy z Lisieux (ojciec, żołnierz walczący w I wojnie, przywiózł chorej córce z Francji obrazek świętej), została obdarzona łaską stygmatów. Krew płynęła szerokimi strugami nie tylko z ran na rękach, nogach i głowie, lecz także z jej oczu, począwszy od piątku. W niedzielę rano budziła się w najlepszym zdrowiu i wracała do swoich codziennych zajęć.

W czasie mistycznego snu głośno powtarzała słowa towarzyszące wydarzeniom, które ukazywały w tak dramatyczny sposób jej ciało – były to słowa w języku aramejskim, greckim i łacińskim, których, jako osoba posługująca się jedynie lokalnym dialektem, nie mogła znać. Kościół niemiecki (diecezja ratyzbońska), zwłaszcza zaś ojcowie kapucyni z pobliskiego klasztoru, otoczył Teresę Neumann w tych latach dyskretną opieką i nadzorem. Biskup zezwolił też na przeprowadzenie badań, które miały wykluczyć przypadek oszustwa. Przeprowadzał je kilkakrotnie dziennikarz i działacz polityczny Fritz Gerlich, który pod wpływem stygmatyczki nawrócił się na katolicyzm i wziął ślub kościelny ze swoją żoną w kościele kapucynów Eichstatt. Napisał także dwutomową książkę, gdzie bronił wiarygodności Teresy Neumann przed próbami ośmieszania jej we własnej ojczyźnie. Swoje antyhitlerowskie nastawienie i czynną walkę z ideologią Hitlera przypłacił życiem. Został zastrzelony w obozie w Dachau w 1934 roku.

Przed wojną Teresa i jej rodzina, choć zdecydowanie i w sposób jawny odrzucająca ideologię nazistowską, tak jak prawie wszyscy katolicy bawarscy, nigdy nie ucierpiała z powodu represji policyjnych. Chronił je zabobonny lęk Führera i jest to jedno z najbardziej przekonujących świadectw, z jakimi siłami musiało zmagać się społeczeństwo niemieckie w czasie jego dyktatury – i przed czym siły tego rodzaju się cofają.

Teresa Neumann przepowiada wielkość Polski

Przy całej intensywności duchowego życia i fizycznych cierpień Teresa ujmowała i zadziwiała jednocześnie otoczenie pogodą ducha, skłonnością do żartów i dziecinnych, w swej prostocie, zabaw. Na zdjęciach widać ją często roześmianą, jej żywa ruchliwa twarz przypominała twarz dziecka. Vittorio Messori przytacza troskę, którą dzieliła się z bliskimi, że „nie potrafiła" w codziennym życiu zdobywać się nigdy na solenną powagę. Pisarz uznaje to za znak wiarygodności „w zestawieniu z głęboką powagą, jaka za-

eprasa.pl 27191359ba

wsze towarzyszy mistyfikatorom i maniakom religijnym". Teresa oprócz swojego zwykłego życia, skupionego na domu i ogrodzie, przyjmowała niezliczone ilości ludzi, przybywających do Konnersreuth, odpowiadała osobiście na listy, pocieszała, udzielała rad i – jak poświadczają świadkowie – wymadlała uzdrowienia. Zaprzyjaźniona z miejscowymi kapucynami była członkinią franciszkańskiego zakonu służebnic świeckich.

Przepowiednie bawarskiej mistyczki dotyczyły także przyszłej roli Polski w świecie. Teresa mówiła, że Polska nie stanie się nigdy ofiarą komunizmu, bo „Czarna Madonna będzie przemierzała jej drogi i odwiedzała wszystkie wsie i miasta". Przepowiedziała też, że w Polsce będą uchwalane najmądrzejsze prawa i najsprawiedliwsze ustawy, które będą drogowskazami dla świata. Polakom, którzy po wojnie znaleźli się na Zachodzie i którzy przybywali do Teresy (była wśród nich grupa żołnierzy Armii Andersa), pytając, czy mają wracać do kraju okupowanego przez Sowietów, doradzała powrót. Nie wahała się wypowiadać gorzkich słów o swoim narodzie. Zapamiętano jej typowo wiejskie obrazowe porównanie: nadejdą czasy, gdy Niemców zostanie tyle, ile może schronić się w czasie deszczu pod gruszą.

Niewielu pamięta o tej wielkiej mistyczce, która ofiarowała swe życie za młodego chłopca ze swojej wioski. Był na ostatnim roku seminarium duchownego, zachorował na raka krtani i był bliski śmierci. Przeżył i został kapłanem. Niewielu katolików w ogóle o niej słyszało; choć kilkanaście lat temu rozpoczął się jej proces beatyfikacyjny – po wieloletnich staraniach tysięcy osób świeckich. Mimo to wydaje się, że Teresa Neumann została zapominana przez Kościół niemiecki. Jest „przypadkiem" co najmniej kłopotliwym „dla niektórych naszych współczesnych sposobów pojmowania wiary", jak podsumowuje Messori. A przecież coraz częściej słyszy się opinie, że jej przepowiednie dotyczące losów Europy i Polski teraz właśnie zaczynają się spełniać. Tak jak spełniły się obietnice Maryi z Gietrzwałdu.

▶ Niemcy chcą podpalić Europę

Messori przypomina też, że to nie zamach stanu doprowadził w Niemczech Hitlera do władzy. Doprowadziło do tego zamieszanie w głowach ludzkich, pomylenie ładu materialnego, chęć zbudowania „idealnego" państwa – bez Żydów, bez chorych, upośledzonych, „czystego", sprawnego, niezawodnego... „Jest błędem wystawianie go na pośmiewisko, czynienie z niego karykatury jak w filmie »Dyktator« Charliego Chaplina. To właśnie idąc za domniemaną »kukłą«, za przemyślaną karykaturą, naród należący do najbardziej utalentowanych i wykształconych w świecie podpalił Europę i nie wahał się przed ostatecznymi ofiarami".

Bo to nie „wszystko jedno" jak i w co wierzymy. Dla błędu i kłamstwa nie może być miejsca ani w religii, ani w filozofii, ani w prawie, ani w życiu politycznym. A jeśli znajdą one tam miejsce, jeśli zostaną zaakceptowane, przyswojone, niepostrzeżenie chaos i przemoc ogarną cały świat. Takie są nieuchronne konsekwencje zaadaptowanego kłamstwa. Świat staje wtedy na głowie. Normalny człowiek w takim świecie gubi się i dusi albo staje się potworem.

Obrona prawdy religijnej i filozoficznej jest *de facto* także obroną ładu społecznego, narodowego, politycznego – jest obroną zarówno Kościoła, państwa, wspólnoty, rodziny, jak i języka. Języka opartego na odwiecznym Słowie, demaskującego i zwalczającego wszelką manipulację. Jest obroną cywilizacji i kultury. Obroną człowieka. To między innymi pokazuje z wielką jasnością wojna tocząca się na Ukrainie.

Matka Boża jest Pogromczynią całego chaosu i kłamstwa, jakie rozpanoszyło się w ostatnich stuleciach na ziemi. Rozproszonego w postaci tysięcy odmian, tysięcy błędów, obecnego pod setkami masek. Jest Ona bowiem Demaskatorką wszystkich herezji (czyli odmian kłamstwa o Bogu). Jest Ona Tą, która zmiażdży głowę biblijnego węża, ojca wszelkiego kłamstwa, jak zostało to zapowiedziane w Księdze Rodzaju. Trzeba zatem traktować z największą powagą Jej prośby i napomnienia.

Dziś w Gietrzwałdzie, zaledwie kilometr od sanktuarium, niemiecki koncern zaplanował postawienie na wielu hektarach magazynu, gigantycznego Centrum Dystrybucyjnego Lidla. Inwestycja ta przekształci zupełnie najbliższe sąsiedztwo miejsca objawień. Gietrzwałd jest jednym z dwunastu miejsc objawień Maryjnych na świecie, których prawdziwość Kościół potwierdził, i jedynym zarazem w Polsce miejscem objawień Maryjnych uznanych oficjalnie przez Kościół.

W stulecie objawień był w Gietrzwałdzie kard. Karol Wojtyła, tego dnia biskup warmiński Józef Drzazga zatwierdził uroczyście kult objawień. Nie sposób sobie wyobrazić, by podobna przemysłowa budowla wraz z całą infrastrukturą mogła znaleźć się w pobliżu sanktuariów w Lourdes czy Fatimie. Cóż, dla Niemców Polska to wciąż nie Europa, a objawienia to nie fakty, a legenda. ■

Vittorio Messori, „Przemyśleć historię", Kraków 1999; G.K. Chesterton, „The Well and the Shallows", tłum. Mariusz Krzewina; Kard. Henry Newman, „The Glories of Mary for the Sake of Her Son", „Discourses Addressed To Mixed Congregations", tłum. Paweł K. Długosz;
Ks. prof. Kazimierz Łatak, „Ksiądz Augustyn Weichsel. Proboszcz gietrzwałdzki czasu objawień w opinii parafian".

eprasa.pl 27191359ba

Wiedza, praktyka i idea, czyli Akademia Patriotyzmu po raz czwarty

Świat, w którym żyjemy, niesie mnóstwo wyzwań. Jednym z nich jest konfrontacja z redefiniowaniem takich pojęć jak ojczyzna, odpowiedzialność czy patriotyzm. Ostatnie wydarzenia za naszą wschodnią granicą, kryzys tożsamości oraz globalizm zmuszają młodych Polaków do stawiania czoła problemom, z jakimi do tej pory nie musieli się mierzyć. Zorganizowane w ramach Akademii Patriotyzmu spotkania z ekspertami pomagają młodym ludziom kształtować swoje postawy w oparciu o system ważnych dla nich wartości.

PATRONAT MEDIALNY



fot. mat. pras.

Projekt, którego organizatorem jest krakowska **fundacja Centrum im. Władysława Grabskiego, a partnerami Totalizator Sportowy (partner strategiczny) oraz Fundacja LOTTO im. Haliny Konopackiej**, zaprosił młodych ludzi z całej Polski do uczestnictwa w Akademii Patriotyzmu. W ramach 6 zaplanowanych zjazdów, pod okiem ekspertów i praktyków słuchacze wzbogacają swoją wiedzę w dziedzinach takich jak m.in. media, zarządzanie, ekonomia, kultura, historia czy prawo. Zajęcia odbywają się w formie wykładów, warsztatów i dyskusji.

Skąd myśl, aby organizować projekt, którego motywem przewodnim jest patriotyzm?

– W naszym społeczeństwie wciąż pokutuje stereotyp, który służbę publiczną traktuje nieco po macoszemu. Tymczasem dynamiczny rozwój, a przede wszystkim sytuacja geopolityczna, w jakiej przyszło nam funkcjonować, sprawiają, że nasz kraj potrzebuje świetnie wykształconych, ambitnych, zdeterminowanych kadr. Te powinny rekrutować się z osób, dla których praca dla państwa nie jest jedynie zawodem i obowiązkiem, lecz zaszczytem, służbą i powodem do dumy. Właśnie z myślą o takich, młodych i ambitnych osobach powstała Akademia Patriotyzmu. W ten sposób próbujemy wpisywać się w proces budowania i kształtowania świadomych, odpowiedzialnych i ideowych elit naszego narodu i państwa. W tym roku robimy to już po raz czwarty. Za nami edycje w latach 2019, 2021 i 2022. Tylko raz, w 2020 roku, przegraliśmy z pandemią – wyjaśnia cele inicjatywy prezes Centrum Grabskiego dr Krzysztof Tenerowicz, pomysłodawca cyklu.

– Myślę, że dużym atutem Akademii jest multidyscyplinarność. Osobiście, szczególnie cieszy mnie fakt, że poruszamy nie tylko tematy związane z ekonomią, historią, zarządzaniem czy mediami, ale analizujemy na przykład ich związki ze sportem czy popkulturą. Wpisuje się to w rozległe zainteresowania, jakie ma dzisiaj młode pokolenie. Sprawia też, że niemal każdy uczestnik podczas zajęć może trafić na tematy szczególnie mu bliskie – zauważa jeden ze słuchaczy, Wojciech Piech.

Organizatorzy projektu mocny akcent kładą na interakcję pomiędzy wykładowcami i uczestnikami. To wówczas dochodzi do najciekawszych dyskusji i polemik.: – Udział w Akademii pomaga mi się ośmielić, przełamać wewnętrzne opory w wygłaszaniu swoich poglądów i opinii, zwłaszcza publicznie. Do tej pory niezbyt to lubiłam, teraz zaczynam to traktować jako coś naturalnego – mówi Edyta Karaba, słuchaczka Akademii.

To właśnie połączenie teorii z praktyką oraz kontaktami, jakie nawiązują młodzi pomiędzy sobą, ma stanowić ich przepustkę do świata mediów, kultury, samorządu czy polityki. Wielu ze słuchaczy już dzisiaj deklaruje chęć włączenia się w życie społeczne. Przyszłość pokaże, czy im się to uda.

Warto nadmienić, że dzięki wsparciu projektu przez partnerów tj. **Totalizator Sportowy oraz Fundację LOTTO im. Haliny Konopackiej udział w projekcie jest całkowicie darmowy**. Zarówno koszty przejazdów, pobytu czy samego uczestnictwa w najmniejszym stopniu nie obciążają budżetów słuchaczy. Do tej pory odbyły się cztery spośród sześciu zaplanowanych zjazdów. Co dalej? Organizatorzy już na sierpień zaplanowali Szkołę letnią w formie V zjazdu, zwieńczenie Akademii odbędzie się we wrześniu br kiedy to odbędzie się VI zjazd a jednocześnie uroczyste zakończenie projektu. O jego szczegółach oraz przebiegu można przeczytać w mediach społecznościowych Akademii oraz jej organizatora czyli Centrum im. Władysława Grabskiego. ■

eprasa.pl 27191359ba



eprasa.pl 27191359ba

Choć filmy Felliniego nie są z założenia traktatem o kryzysie męskości, to dotykają kluczowej kwestii, która leży u podłoża tego zjawiska, a która z kolei zdaje się zupełnie umykać osobom otwarcie podejmującym ten temat. Jest nią utrata kontaktu z rzeczywistością i zamykanie się przez mężczyzn w świecie własnych myśli i wyobrażeń.

Józef Pałkiewicz

Mastroianni u Felliniego, czyli kryzys mężczyzny

FOT. WIKIPEDIA

Czego już nie powiedziano o kryzysie męskości? Ile to razy nie załamano rąk nad wykolejonymi współczesnymi mężczyznami? Gdzie są ci prawdziwi mężczyźni? – zapytują, po raz nie wiadomo już który zafrasowani autorzy książek, felietoniści, zawodowi mówcy. W swoich esejach, wystąpieniach, programach alarmują, że płeć męska jest dziś wyjątkowo zniewieściała, pełna lęków, nieodpowiedzialna, niezdolna do życiowych zmagań, brak jej charakteru, pewności siebie oraz chęci i przekonania do życia rodzinnego.

Na antypodach, tych mocno generalizujących i powierzchownych, ale i niepozbawionych słuszności ocen, trwa z kolei walka z „toksyczną męskością" – słyszymy więc, że trzeba przestać oczekiwać od mężczyzn, by byli mężczyznami, wyzwolić ich od pełnienia ról, które narzuca im opresyjne społeczeństwo. Mogą oni przecież równie dobrze zająć się tym, co do tej pory było domeną kobiet: wychowaniem dzieci, troską o dom, podczas gdy ich partnerki zatroszczą się, być może z o wiele lepszym skutkiem, o zapewnienie finansowego bytu. Wreszcie – jak dodają często te same osoby – nic nie stoi na przeszkodzie, by mężczyźni w ogóle poczuli się kobietami i żyli sobie szczęśliwie zgodnie z taką właśnie wizją samych siebie. Sugerowanie jakiegoś kryzysu męskości byłoby więc tylko bigoteryjną obsesją.

Z jednej strony zatem kryzys męskości, który niewątpliwie ma dziś miejsce – temu absolutnie zaprzeczyć się nie da – jest z powodów ideologicznych negowany albo lekceważony; z drugiej, przedstawia się go w sposób bardzo pobieżny, skupiając się na symptomach, bez próby dotarcia do jego prawdziwej – dogłębnej – treści. Zrozumienie jej wydaje się zaś niebagatelnie ważne, bo z kryzysem męskości w sposób nieunikniony związane są inne zjawiska – takie jak kryzys władzy, kryzys autorytetu, rodzicielstwa, kryzys kobiecości – które godzą w samo serce życia społeczeństwa.

Trzy filmy mistrza Felliniego

Istotny głos w tych rozważaniach zabiera dosyć nieoczekiwanie... sztuka filmowa, a konkretnie jeden z jej wybitnych przedstawicieli – Federico Fellini. Ten włoski reżyser, laureat kilku Oscarów, na trwałe zapadł w pamięci krytyków i publiczności (choć nie mas) jako autor dzieł składających się na osobny właściwie gatunek filmowy, w których realizm nieustannie przeplata się z obrazami sennych marzeń, wizjami pełnymi przepychu i niczym nieograniczonymi, jak na barokowym malowidle. Jednocześnie filmy Felliniego to pejzaż społeczno-psychologiczny, niejednokrotnie bardzo dosadny i gorzki, w którym widać całą plątaninę uczuć, żądz i tęsknot, jakich doświadcza przedstawiciel współczesnego świata. To także opowieść o duchowej pustce

Copyright © 2191359ba

rozszerzającej się jak rak wśród mieszkańców chrześcijańskiej niegdyś Europy.

Kilkukrotnie główną postacią w całym tym krajobrazie jest mężczyzna. Ma to miejsce szczególnie w trzech filmach: „Słodkie życie" (1960), „Osiem i pół" (1963), „Miasto kobiet" (1980), gdzie w rolę męskiego bohatera wciela się za każdym razem Marcello Mastroianni – uwielbiany przez kobiety gwiazdor dużego ekranu, a prywatnie przyjaciel reżysera. Polska badaczka twórczości Felliniego – Maria Kornatowska – wskazuje, że mimo iż chodzi o trzy filmy i trzy różne historie, można mówić tu o jednej postaci – jej postawy i zachowania, zwłaszcza te względem kobiet, są bowiem ze sobą tożsame.

W „Słodkim życiu" „boski Marcello", jak nazywano aktora, gra rzymskiego dziennikarza – Rubiniego – śledzącego skandale i afery, które opisuje potem w prasie brukowej – ma on jednak ambicje, by zostać autorem z prawdziwego zdarzenia. W tym zamiarze wspiera go, bezgranicznie w nim zakochana, narzeczona Emma – jednak jej zaangażowanie i miłość nie są docenione przez mężczyznę, który nieustannie ją zdradza, by wreszcie zupełnie pozostawić, a samemu stoczyć się do moralnego rynsztoka, nie zrealizowawszy przy tym swoich literackich marzeń.

„Osiem i pół" to z kolei opowieść o niemocy twórczej – główny bohater Guido jest reżyserem, który ma zrealizować film, nie jest jednak w stanie rozpocząć nad nim pracy, brakuje mu weny, inspiracji. Wydaje mu się, że w jej odnalezieniu pomoże mu przeżycie zakochania. Mimo iż ma żonę – Luisę, podejmuje relacje z innymi kobietami. Żadna z nich nie daje mu jednak tego, czego szuka, w żadnej z nich nie odkrywa płomiennego uczucia, na które tak bardzo liczy. Ostatecznie Guido tworzy swój film, ale jego tematem staje się właśnie to, czego bohater wciąż doświadcza: brak zaspokojenia i nieustanne uczuciowe wahanie.

W „Mieście kobiet" razem z posuniętym już w latach, choć wciąż czarującym Mastroiannim, widz przenosi się do sennego marzenia, które pojawia się w wyobraźni głównego bohatera – Snàporaza – gdy zasypia on podczas podróży pociągiem u boku swojej żony. W owym śnie mężczyzna odwiedza komunę wyzwolonych kobiet, którą te budują w leśnej kniei z zamiarem odseparowania się od znienawidzonej płci męskiej. Snàporaz, który bynajmniej nie jest feministą, zjawia się tam, wiedziony, jak zwykle, poszukiwaniami miłosnych przygód, dosyć szybko zostaje jednak zdemaskowany i zmuszony przez wojownicze feministki do ucieczki. Trafia następnie do pałacu doktora Katzone, erotomana, który w domu tworzy sobie muzeum swoich miłosnych podbojów – liczonych w tysiącach. W obu tych miejscach Snàporazowi ciągle objawiają się różne kobiece postaci, które bardzo go nęcą, ale pozostają nieuchwytne. Jedyną kobietą, do której w swoim śnie może się zbliżyć, jest jego żona, ta próbuje nawiązać z nim kontakt, którego nie mają w świecie rzeczywistym, mężczyzna jest nim jednak zupełnie niezainteresowany. W pełni pochłonięty mamiącymi go obrazami, zapuszcza się na wielką arenę, która okazuje się być trybunałem, gdzie zostaje wydany nad nim sąd przez zranione przez niego kobiety.

▶ Tęsknota do wszystkich wcieleń kobiecości

Cechą mężczyzny w filmach Felliniego, która wysuwa się na pierwszy plan i stanowi najbardziej widoczne spoiwo między jego trzema wcieleniami, jest niepokój. Niepokój związany z ciągłą potrzebą odbierania nowych bodźców, wrażeń, doznań, których bohater szuka w coraz nowszych znajomościach z płcią przeciwną. Przeżywane wówczas uniesienia nie trwają jednak długo, są przecież tylko uniesieniami – kończą się więc po chwili, a rozczarowany i wciąż niesyty bohater zamiast nabrać do nich dystansu i spróbować wyzwolić się spod ich narkotycznej mocy, rzuca się w wir kolejnych romansów. Żadna z tych relacji nie pozwala mu jednak zakosztować tego ostatecznego spełnienia, tej najwspanialszej miłości i najwyższego uczucia, których tak bardzo pragnie. W „Mieście kobiet" mężczyzna dostaje pewien znak-odpowiedź w poszukiwaniach, które ciągle prowadzi. Otóż ideał, pełne zaspokojenie nie istnieją naprawdę – okazują się być lalką-balonem o pięknym uśmiechu i pełnych kształtach, ale tylko lalką. Unosi ona koszyk, w którym znajduje się bohater ze swoją nienasyconą wyobraźnią ku górze – w obłoki, gdzie jednak nic oprócz obłoków nie ma.

U boku Mastroianniego za każdym razem widzimy kobietę, która znacząco różni się od jego pozostałych filmowych przyjaciółek, zazwyczaj lekko traktujących sprawy obyczajowe. Ona rzeczywiście daje mu swoje serce i chce być mu wierna – jest to narzeczona Emma, żona Luisa albo nawet kochanka Carla – ten dar spotyka się jednak ze strony mężczyzny ze wzgardą, zmęczeniem, znudzeniem. W „Słodkim życiu" Rubini nazywa jej miłość „agresywną, lepką i matczyną". „Nie chcę jej – mówi – nie jest mi potrzebna! To nie jest miłość, lecz upodlenie!". Po tej deklaracji wraca co prawda do Emmy, jednak później porzuca ją ostatecznie i całkowicie zatraca się pośród towarzystwa zepsutych celebrytów. W „Osiem i pół" tą kobietą jest między innymi żona Luisa – bohater, Guido, w pewnym momencie czuje, że jej potrzebuje, prosi więc, żeby przyjechała do niego. Być może dostrzega w niej właśnie pewien wzór matki, nieobecnej w jego życiu – opiekunki, piastunki. Przypływ uczuć szybko jednak mija i żona-matka, której był tak bardzo spragniony (inaczej niż w „Słodkim życiu"), przestaje mu być potrzebna. Obracając się nieustannie w świecie własnych wyobrażeń, doznań

eprasa.pl 27191359ba

i marzeń Guido, podobnie jak Snàporaz czy Rubini szuka wciąż tej idealnej, wyśnionej kobiety, ucieleśnienia wszelkich zalet i przymiotów. Tęskni, jak pisze Kornatowska, „do wszystkich możliwych wcieleń kobiecości, od Mae West do Marleny Dietrich".

Idealizm męskiego bohatera

Niemęska postawa bohatera Felliniego, kryzys jego męskiej natury polega zatem na ciągłej pogoni za wrażeniami i nieustannym przebywaniu w świecie chimer – w poszukiwaniu nieistniejącego ideału. Tymczasem po mężczyźnie spodziewać by się raczej należało postawy realistycznej: mocnego stąpania po ziemi, brania życia takim, jakie ono jest, a nie takim, jakie jawi się w marzeniach. Nie chodzi wcale o wyzbycie się wrażliwości czy uczuć, lecz o przyjęcie właściwej hierarchii rzeczy i akceptację rzeczywistości, również gdy jest ona związana z koniecznością cierpienia, zmęczenia i wiernego trwania u czyjegoś boku. Tymczasem bohater Felliniego oczekuje od życia tego, czego dać mu ono nie może. „A kto powiedział, że przyszliśmy na świat, żeby być szczęśliwi?" – pyta go retorycznie sędziwy kardynał w „Osiem i pół". I rzeczywiście całkowite spełnienie, zaspokojenie, osiągnięcie ideału nie jest po prostu w życiu ziemskim możliwe. Mężczyzna u Felliniego wydaje się jednak tego zupełnie nie rozumieć albo nawet umyślnie odsuwać od siebie tę prawdę.

Idealizm męskiego bohatera wiąże się również z tym, że nie poznaje on w istocie otaczającej go rzeczywistości – a zatem również ludzi wokół siebie. Bardzo dużo myśli, ale nie poznaje. To właśnie zarzuca mu żona w „Mieście kobiet": brak zainteresowania, brak wysłuchania. To samo zresztą wypominają całej płci męskiej feministki zgromadzone w tytułowym mieście. Przy czym one, pokazane przez Felliniego z ironicznym uśmieszkiem, postulują życie bez rodziny, bez wzajemnego oddania, a najchętniej w ogóle bez mężczyzn. Naprzeciw tej kobiecej utopii utworzonej w lesie wyrasta królestwo lubieżnego doktora Katzone. Darzy on kobiecość pewnym kultem i czcią, które jednak w istocie ją wynaturzają, bowiem sprowadzają wyłącznie do aspektu cielesnego. Oba te światy wyrzucając sobie nieustannie swoje winy, znajdują się w stanie permanentnej wojny: „Zerwanie autentycznej komunikacji między płciami przynosi w rezultacie zniszczenie pierwotnej harmonii. I tak złączona nienawiścią ludzkość tworzy szczególny rodzaj piekła – rozbitą rodzinę" – pisze Kornatowska, odnosząc się do obrazu przedstawionego w „Mieście kobiet".

Sedno choroby duszy

Mężczyzna u Felliniego wydaje się być ofiarą, ukazaną w szczególnie jaskrawym świetle, tego, o czym pisze w swoim eseju zatytułowanym „Miłość a świat kultury zachodniej" Denis de Rougemont – kultu namiętności (por. „W pułapce gorącego Wschodu", „Nowe Państwo", 2021, nr 176). Jest to, jak pisze ten szwajcarski filozof, badacz dziejów kultury i cywilizacji, choroba, która dotyka całe rzesze ludzi – zarówno mężczyzn, jak i kobiety, polegająca właśnie na idealizmie, zapamiętaniu się w miłosnej pasji i przeżywaniu jej dla niej samej. Drugi człowiek jest tak naprawdę tylko motywem do zapłonięcia, a jednocześnie z powodu swoich różnych wad i ułomności, których nie uwzględniają idealistyczne wizje, jest kresem tej miłosnej pasji, której czar nagle pryska, gdy dochodzi do rzeczywistego spotkania i poznania się nawzajem. Co ciekawe, de Rougemont uważa, że ten sposób przeżywania miłości, będący dziś bardzo powszechny, został zaszczepiony ludziom przez europejską literaturę, u której źródeł znajduje się prowansalska poezja trubadurów wysławiająca *amour courtois* – miłość dworną – namiętną i w pełni idealistyczną. To właśnie kult namiętności, mówi de Rougemont, odpowiedzialny jest za nieszczęścia i cierpienia, jakie ludzie przeżywają w swoich rozpadających się związkach i małżeństwach. Wolą oni lukrowaną nierzeczywistość niż ciężkie i męczące życie, ale właśnie przez to prawdziwe i piękne, z drugim człowiekiem. Wydaje się właśnie, że to jest główna przyczyna kryzysu męskości, ale i w sensie szerszym – choroby duszy, która dotyka bohatera Felliniego i bardzo mocno, choć pośrednio rani i niszczy najbliższe mu osoby.

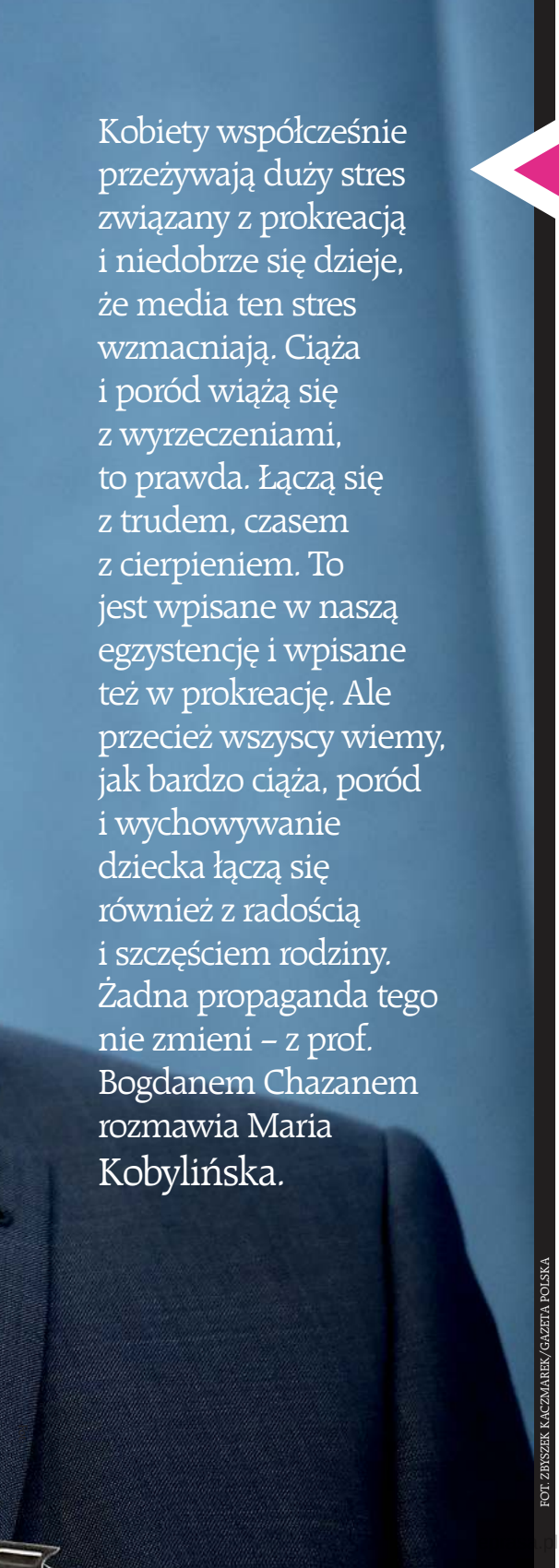
Choć filmy Felliniego nie są z założenia traktatem o kryzysie męskości, to dotykają kluczowej kwestii, która leży u podłoża tego zjawiska, a która z kolei zdaje się zupełnie umykać osobom otwarcie podejmującym ten temat. Jest nią utrata kontaktu z rzeczywistością i zamykanie się przez mężczyzn, choć wiadomo, że nie tylko o nich tutaj chodzi, w świecie własnych myśli i wyobrażeń. Postawa ta zawsze prowadzi do odrzucenia drugiego człowieka, a niejednokrotnie także do zanegowania własnego powołania i tożsamości. Stąd eksperymenty licznych mężczyzn oraz kobiet, którzy nie godzą się z rzeczywistością własnej płci, polegające na próbie jej zmiany czy korekty. Stąd próby odnalezienia się przez innych w tzw. miłości homoseksualnej. Przykład bohatera Felliniego pokazuje dobitnie, że wszelkie tym podobne usiłowania mające na celu ucieczkę od tego, co jest ku temu co nierealne – wymyślone czy zasugerowane – skazane są na gorzkie niepowodzenie. ■

Bibliografia: Maria Kornatowska, „Fellini, Słowo/ obraz/ terytoria", Gdańsk 2003.

eprasa.pl 27191359ba



ABORCJA niszczy zdrowie kobiet



Kobiety współcześnie przeżywają duży stres związany z prokreacją i niedobrze się dzieje, że media ten stres wzmacniają. Ciąża i poród wiążą się z wyrzeczeniami, to prawda. Łączą się z trudem, czasem z cierpieniem. To jest wpisane w naszą egzystencję i wpisane też w prokreację. Ale przecież wszyscy wiemy, jak bardzo ciąża, poród i wychowywanie dziecka łączą się również z radością i szczęściem rodziny. Żadna propaganda tego nie zmieni – z prof. Bogdanem Chazanem rozmawia Maria Kobylińska.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

▶ TVN i media o lewicowym charakterze szczególnie nagłaśniają narrację, że przez sam fakt usunięcia w 2020 roku tzw. przesłanki eugenicznej do aborcji, zdrowie i życie kobiet w ciąży w Polsce jest zagrożone. Co Pan Profesor o tym sądzi?

To jakieś nieporozumienie. Nie chciałbym myśleć, że ta narracja jest celową dezinformacją, której celem jest zmiana podejścia społeczeństwa do kwestii aborcji. Przechodząc do meritum sprawy, w medycynie znane są okoliczności powikłania ciąży i porodu, które mogą prowadzić do zgonu kobiet, matek podczas ciąży, porodu, połogu. Najczęstsze z tych powikłań to krwotoki, nadciśnienie tętnicze i zakażenie. Zarówno wśród tych, jak i innych przyczyn, które mogą również prowadzić do zgonu kobiety czy do zaburzenia jej stanu zdrowia, nie ma przypadków występowania wady rozwojowej lub choroby u dziecka. Obecność takiej wady u dziecka, nawet największego stopnia, nie prowadzi do zagrożenia dla życia lub zdrowia somatycznego jego matki. Mogą się pojawić pewne reakcje depresyjne u matki, zrozumiałe ze względu na wiadomość od lekarza, że dziecko jest chore. Znany jest natomiast fakt, że to właśnie aborcja może prowadzić do ciężkich zaburzeń psychicznych u kobiet, z depresją włącznie i z próbami samobójczymi. A więc może i można dyskutować, co bardziej szkodzi zdrowiu psychicznemu kobiet – czy wiadomość o chorobie dziecka, czy też wykonanie aborcji. Moim zdaniem to drugie.

▶ Czyli dokonanie aborcji ze względu na wadę rozwojową lub chorobę dziecka nie wpływa na poprawę stanu zdrowia matki, a jedynie może je pogorszyć?

Jak już wspomniałem, wykonanie aborcji w przypadku na przykład występowania wady rozwojowej u dziecka może doprowadzić do zaburzeń psychicznych, nawet do depresji i związanych z nią prób samobójczych u matki. Ponadto w podręcznikach położnictwa i ginekologii wyraźnie jest napisane, że aborcje zwłaszcza kilkukrotnie wykonane, niezależnie od przyczyny, mogą powodować trwałe, niekorzystne następstwa dla zdrowia prokreacyjnego kobiety. Mogą prowadzić do niepłodności, a także do porodów przedwczesnych i krwotoków okołoporodowych.

▶ TVN powołuje się przede wszystkim na przypadek śmierci ciężarnej 33-letniej pani Doroty, u której wkoło 20. tygodniu ciąży stwierdzono bezwodzie. Tu najprawdopodobniej

id 27191359ba

mamy do czynienia z błędem lekarzy, ma to zostać zbadane. Kolejna nagłaśniana przez TVN sprawa to przypadek 32-letniej pani Roksany, której wody odeszły w 24. tygodniu ciąży. Stwierdzono, że dziecko jest „nieodwracalnie uszkodzone". TVN grzmiał, iż kobieta boi się o swoje życie. Media podają, że pacjentce „usunięto martwy płód" przez cesarskie cięcie i na razie nic nie wiadomo, by z jej stanem zdrowia działo się coś niepokojącego. Jednak przy tej okazji przypomniano również przypadek pani Izabeli z Pszczyny z 2021 roku, 30-letniej kobiety, której we wczesnej ciąży zaczęły odchodzić wody płodowe, po czym zmarła na skutek wstrząsu septycznego. Rodzina oskarżyła lekarzy o zbyt długie „zwlekanie z zakończeniem ciąży". U dziecka stwierdzono wady rozwojowe. Śledztwo w sprawie trwa. Czy te przypadki zdaniem Pana Profesora świadczą o tym, że matki w ciąży są rzeczywiście w tym medialnie nagłaśnianym niebezpieczeństwie?

Nie każda ciąża przebiega prawidłowo, część ciąż kończy się niepowodzeniem położniczym, urodzeniem wcześniaka czy martwego dziecka, czasem zgonem noworodka, a bardzo rzadko, ale zdarza się to również, śmiercią matki. Tak jest na całym świecie. Do takich poważnych powikłań ciąży należy także odpłynięcie płynu owodniowego we wczesnej ciąży. To bardzo trudna sytuacja zarówno dla matki, jak i dla jej dziecka. Są opisane różne czynniki ryzyka wystąpienia tego powikłania. Należą do nich, oprócz zakażenia dróg rodnych, także aborcje, które taka kobieta miała w przeszłości przeprowadzane. Najpoważniejsze zagrożenie dla matki, jakie się wiąże z tym powikłaniem (z odpłynięciem płynu owodniowego we wczesnej ciąży) to zakażenie czasami całego organizmu, czyli sepsa. Dla dziecka natomiast wcześniactwo, jeżeli urodzi się żywe. Jeżeli ten stan przedwczesnego odpływania płynu owodniowego trwa dłuższy czas, może dojść do niedorozwoju płuc u tego dziecka i do zaburzenia jego wewnątrzmacicznego rozwoju oraz wzrastania. Jednak w większości przypadków po pęknięciu pęcherza płodowego dochodzi w krótkim czasie do porodu przedwczesnego. Jak już powiedziałem, dziecko albo przeżywa, albo rodzi się wcześniak z pewnymi nieprawidłowościami, albo nie, w zależności od stanu zaawansowania ciąży. Czasami jednak stan odpływania płynu owodniowego się przedłuża. Zasady postępowania medycznego w takich sytuacjach są znane. Niedawno konsultanci krajowi opublikowali szczegółowe wytyczne odnośnie do takiego postępowania diagnostycznego i leczniczego. To było na kanwie śmierci matki w Pszczynie. Jak jednak widać, te zasady nie są w szpitalach przestrzegane. Jeżeli podczas odpływania wód owodniowych dochodzi do zakażenia organizmu matki, jest to równoznaczne z poważnym zagrożeniem dla jej zdrowia i życia oraz dla zdrowia i życia dziecka. Wówczas trzeba wywołać poród niezależnie od wieku ciąży, by ratować matkę. Dziecko nie zawsze tę procedurę przeżywa. Takie postępowanie prawo określa jako realizację zasady wyższej konieczności, inni mówią o regule podwójnego skutku. Tak czy inaczej nie jest to aborcja. Aborcją określamy działanie wymierzone bezpośrednio w życie dziecka. Celem działania podejmowanego przy zagrożeniu matki sepsą nie jest zabicie dziecka, lecz urodzenie go i ratowanie życia matki. Znane są natomiast również sytuacje, gdy płyn owodniowy odpływa, ciąża przedłuża się, nie dochodzi do zakażenia, dziecko osiąga w międzyczasie zdolność do życia poza organizmem matki i rodzi się w późnej ciąży, czasami wręcz w terminie. Znam kilka przypadków donoszenia wówczas ciąży i urodzenia prawidłowo rozwijającego się dziecka.

▶ Na zlecenie „Faktów" TVN i TVN24 przeprowadzono sondaż, z którego ma wynikać, że kobiety, a przynajmniej mniej więcej połowa z nich, ocenia swoją sytuację w Polsce źle, boi się o swoje bezpieczeństwo związane z sytuacjami okołoporodowymi. A jaki wniosek na ten temat wynika z Pana wieloletniej pracy? Czy zauważył Pan Profesor pogorszenie nastrojów kobiet związanych z ciążą, porodem, z obawą przed ewentualną śmiercią?

Sądzę, że takie wyniki sondażu są właśnie następstwem tego nieuzasadnionego i nieodpowiedzialnego szerzenia przez niektóre media strachu przed ciążą i porodem. Muszę powiedzieć, że kobiety teraz bardziej niż kiedyś boją się prokreacji. Boją się po pierwsze tego, czy zajdą w ciążę, po drugie, co będzie, jeżeli nie zajdą w ciążę, potem boją się powikłań w ciąży, porodu, boją się, co zresztą jest zrozumiałe, czy dziecko będzie zdrowe, czy nie, z lękiem podchodzą do karmienia piersią. Z góry zakładają, że będą jakieś problemy. A więc kobiety współcześnie przeżywają duży stres związany z prokreacją i niedobrze się dzieje, że media ten stres wzmacniają. Z jednej strony ten stres się wywołuje, nasila, a z drugiej strony tym stresem motywuje się aborcję we wczesnej ciąży. Szerzenie takiej epidemii strachu jest czymś wręcz nieludzkim, nieuzasadnionym,

eprasa.pl 27191359ba

niepotrzebnym i nieodpowiedzialnym. Ciąża i poród wiążą się z wyrzeczeniami, to prawda. Łączą się z trudem, czasem z cierpieniem. To jest wpisane w naszą egzystencję i wpisane też w prokreację. Ale przecież wszyscy wiemy, jak bardzo ciąża, poród i wychowywanie dziecka łączą się również z radością i szczęściem rodziny. Żadna propaganda tego nie zmieni.

▶ Mnie jako mamę najbardziej w tym wszystkim zadziwia i boli jednocześnie fakt, że nikt nie myśli w tych sytuacjach o dziecku, które zmarło lub zostało zabite. Nikt nawet nie nazwie dziecka dzieckiem tylko płodem, jeśli nie samą ciążą, jakby to był tylko specyficzny stan organizmu, który stwarza problem. Dlaczego nie mówi się o cierpieniu dziecka? Dlaczego odbiera się tym dzieciom prawo do istnienia?

W medycynie na szczęście nie pytamy na oddziale patologii ciąży: „Czy pani płód się rozwija prawidłowo?". Tam mówimy już o dziecku. Jednak wciąż w lewicowych mediach to zawłaszczanie nazewnictwem w celu osiągnięcia pewnych celów trwa. Do zestawu pojęć, które próbuje się w ten sposób zmienić, należy również dodać mówienie o kobietach w ciąży jako o przyszłych matkach. One już są matkami, podobnie jak ich dzieci, które są w ich macicach, nie są przyszłymi dziećmi. Tak samo mówi się o prawidłowo czy nieprawidłowo rozwijającej się ciąży. To też jest błąd. Powinniśmy mówić o prawidłowo bądź nieprawidłowo rozwijającym się dziecku. Dziecko się przecież rozwija, a nie ciąża. Można natomiast mówić o prawidłowym lub nieprawidłowym przebiegu ciąży. Są to więc pewne próby odczłowieczenia nienarodzonego dziecka, odczłowieczenia go być może w celu potem znieczulenia wrażliwości społecznej na przykład na aborcję. Celem lekarzy i położnych było i jest zdrowie matki, ale też zdrowie i życie dziecka, dwojga niezależnych osób, dwóch istnień ludzkich, które istnieją niezależnie od tego, czy na przykład dziecko osiągnęło już zdolność do przeżycia poza organizmem matki, czy jeszcze nie. To są odrębne istoty ludzkie. Dlatego nie można minimalizować cierpienia dziecka. Nie można tracić z pola widzenia tego, że przy okolicznościach, o których mówiliśmy, cierpią nie tylko matki, lecz także ich dzieci. Powinniśmy jak tylko możliwe ratować zdrowie życia matki i dziecka. Do tego apelu o przestrzeganie człowieczeństwa również nienarodzonych dzieci dodałbym postulat zapewnienia dzieciom urodzonym przedwcześnie, niezdolnym do życia, godnych warunków do umierania, z szacunkiem dla ich ciała i dla bólu rodziców.

▶ Mówiąc więc o bezpieczeństwie zarówno matki, jak i dziecka, już w 2015 roku ONZ zakwalifikowała Polskę jako jeden z najbezpieczniejszych krajów dla kobiet w ciąży i tym samym ich dzieci z powodu m.in. właśnie niewielkiej liczby zgonów ciężarnych. Czy to możliwe, by od tamtego czasu sytuacja tak bardzo zmieniła się na niekorzyść pacjentek, jak próbują przedstawiać niektóre media?

Oczywiście że nie. Czasem kiedy rozmawiam z moimi kolegami lekarzami za granicą, oni wręcz podkreślają, że w Polsce macierzyństwo jest bardzo bezpieczne, że matki umierają bardzo rzadko w porównaniu z innymi krajami, również dzieci umierają rzadziej podczas porodu. Macierzyństwo w Polsce jest bezpieczne. Być może, a nawet na pewno łączy się to także z obowiązującym u nas prawem dotyczącym aborcji, które jednak ogranicza częstość wykonywania tych procedur z pożytkiem dla zdrowia matek i ich dzieci. Zdrowie matki i dziecka to najważniejsze cele opieki okołoporodowej, cele wysiłku całego personelu medycznego. Nie wszystko nam czasami wychodzi. Czasami pojawiają się błędy ludzkie, błędy organizacyjne. Trzeba dokładać starań, żeby liczba tych niepowodzeń, tych nieszczęść okołoporodowych jeszcze się zmniejszała.

▶ W zasadzie już w tych wypowiedziach odpowiedział Pan Profesor na moje kolejne pytanie: czy łatwiejszy dostęp do aborcji ma znaczenie w kwestii bezpieczeństwa ciężarnych matek? Chcę je jednak zadać wprost, bo to pytanie w formie stwierdzenia jest jednym z głównych postulatów protestów proaborcyjnych spod znaku tzw. strajku kobiet, które kolejny raz pojawiły się na ulicach. Tymczasem jeśli chodzi o matki, ONZ prognozowała w 2015 roku zmniejszenie się w przyszłości liczby śmierci kobiet w ciąży. Miało się tak stać dzięki – co podawał portal Medycyny Praktycznej – „poprawie higieny, częstszemu podawaniu oksytocyny po porodzie w celu zmniejszenia ryzyka występowania krwawień oraz wczesnemu wykrywaniu powikłań ciążowych, takich jak związane z ciążą nadciśnienie", a nie dzięki większemu czy mniejszemu dostępowi do aborcji.

Łatwy dostęp do aborcji nie poprawia zdrowotności społeczeństwa, nie poprawia stanu zdrowia matek. Dostępność aborcji i eutanazji, bo to często idzie ze sobą w parze, kiedy z zasady nie leczy się dzieci, ale je zabija, też zmniejsza i utrudnia postęp medyczny. Na Zachodzie kliniki chirurgii dziecięcej są puste, bo nie rodzą się dzieci z wadami wrodzonymi, które

eprasa.pl 27191359ba

w Polsce są leczone chirurgicznie, czasami nawet leczone jeszcze w łonie matki. Dane z literatury medycznej świadczą o tym, że szeroka dostępność aborcji pogarsza stan zdrowia kobiet, zwiększa częstość niektórych nowotworów, na przykład raka piersi. Zwiększa również ryzyko powikłań w następnej ciąży. Porównywano w literaturze stan prokreacyjnego zdrowia kobiet w niektórych krajach. W Azji, Afryce i Ameryce Południowej dobrano kraje, gdzie aborcja jest bardzo łatwo dostępna i gdzie jest dostępna w mniejszym stopniu. Porównując te kraje między sobą, wskazano, że zdrowie prokreacyjne kobiet jest lepsze tam, gdzie aborcja nie jest szeroko dostępna. Również zbadano to samo zagadnienie w poszczególnych stanach Meksyku, gdzie także prawo dotyczące aborcji jest różne. Wynik badania okazał się identyczny – im łatwiej dostępna jest aborcja, tym gorszy jest stan zdrowia społeczeństwa.

▶ W całej Europie, w tym w Polsce, wciąż rośnie średnia wieku rodzących kobiet. Według najnowszych danych GUS nastąpiło „przesunięcie najwyższej płodności kobiet z grupy wieku 20–24 lata [...] do grupy 30–34 lata". Obecnie (z danych na 2021 rok) mediana wieku rodzących kobiet wynosi 31 lat, a wieku pierworódek niemal 29 lat. Kobiety coraz później decydują się na pierwsze dziecko. Czy ma to również wpływ na ich stan zdrowia w czasie ciąży, a także ich dziecka?

Opóźnienie decyzji o urodzeniu pierwszego dziecka na lata bardziej zaawansowane, 30. rok i po 30. roku życia, stanowi jedną z głównych przyczyn zwiększonej częstości niepłodności w Polsce. Starzejący się organizm kobiety nie sprzyja zachodzeniu w ciążę. Nie sprzyja również prawidłowemu jej przebiegowi. U takich matek częściej mają miejsce nieprawidłowości genetyczne u dzieci, wady wrodzone, mała masa urodzeniowa dzieci, częściej także występują porody przedwczesne. Wiadomo, że ich potomstwo z małą masą urodzeniową częściej będzie miało w przyszłości nadciśnienie tętnicze, cukrzycę, otyłość. Kobieta, która rodzi dziecko w późniejszym okresie życia, również ma zwiększone ryzyko na przykład raka piersi. A więc przesunięcie wieku rodzenia pierwszego dziecka tak powszechnie występujące w naszym społeczeństwie pogarsza stan zdrowia obecnej populacji kobiet, ale także w dłuższej perspektywie ogólnie społeczeństwa. Na pewno także przyczynia się do pogłębienia kryzysu demograficznego i pogarsza wydolność systemu emerytalnego.

▶ Co w takim razie można byłoby poprawić w Polsce, by kobietom w ciąży i ich dzieciom zapewnić jeszcze lepszą opiekę oraz bezpieczeństwo?

Bardzo trudne pytanie, bardzo ogólne, ale w skrócie mówiąc, zależy to od każdego z nas. Każdy człowiek jest odpowiedzialny za siebie. To nieprawda, że medycyna, szpitale, przychodnie są najważniejsze, żebyśmy byli zdrowi. Nasze indywidualne decyzje są tu najważniejsze. Decyzje dotyczące stylu życia, odżywiania i można by było tak długo wymieniać. Czynnikiem ryzyka nieprawidłowego przebiegu ciąży jest również przewlekły stres. Tymczasem obecnie ten lęk jest w sposób, jak już mówiłem, świadomy i nieludzki wywoływany. Tak pogarsza się, zwiększa się ryzyko nieodpowiedniego przebiegu ciąż. Trzeba podkreślić, że nie większa dostępność aborcji, lecz opieka medyczna na wysokim poziomie jest potrzebna. Trzeba wzmocnić nadzór specjalistyczny krajowy, wojewódzki. Trzeba kłaść nacisk na prawidłowe wyposażenie szpitali, na prawidłowe wykształcenie i umiejętności personelu. Chodzi o to, by w miarę możliwości zmniejszać ryzyko powikłań. Należy również powiedzieć, co się dzieje u nas w kraju w kwestii aborcji. Aborcję farmakologiczną we wczesnej fazie ciąży, która przecież jest czynem kryminalnym, wykonuje się bez żadnej reakcji służb mających przecież czuwać nad przestrzeganiem prawa. W Polsce aborcja eugeniczna ze względu na wady rozwojowe dziecka nie jest możliwa. Jak ostatnio słyszymy, matka, u której dziecka jeszcze w trakcie ciąży wykryje się wady rozwojowe, ma być poddawana aborcji ze względu na zagrożenie dla jej zdrowia psychicznego. Podążając tym torem, w przyszłości może dojść do sytuacji, gdy każda ciąża, również z dzieckiem prawidłowo rozwijającym się, związana ze stresem mamy będzie uzasadnieniem do aborcji ze wskazań psychologicznych, co w końcu doprowadzi do aborcji na żądanie. Tego domagają się lewicowe media. Pamiętamy o wydarzeniach w Irlandii, gdzie miał miejsce zgon matki w ciąży w wyniku sepsy. Nagłośnienie tej sprawy doprowadziło do zmiany poglądów irlandzkiego społeczeństwa i do szerszego dopuszczenia aborcji w tym kraju niż miało to miejsce do tej pory. Mam nadzieję, a nawet jestem pewny, że Polska nie pójdzie w ślady Irlandii i że u nas jednak przywiązanie do tej wartości, jaką jest życie ludzkie, i nasze poglądy na temat prokreacji zwyciężą. Posłużenie się tragedią kobiet, zgonami matek w ciąży i ich dzieci jest okrutne i mam nadzieję, że nie przyczyni się do zmiany spojrzenia na problem aborcji. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. ■

eprasa.pl 27191359ba



Małgorzata Matuszak

Homeschooling – dobra alternatywa dla szkoły czy tylko pozór edukacji?

Co sprawiło, że coraz więcej uczniów zmienia tryb kształceni na domowy? Wydaje się, że wiele w tym względzie zmieniła pandemia. Pokazała, że nauka w domu nie jest niemożliwa, a niekiedy nawet przynosi lepsze efekty.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 27191359ba

Nauczanie domowe przeżywa obecnie renesans. Z jednej strony można uznać, że jest to powrót do tego, co miało miejsce kiedyś, w zamożnych rodzinach zatrudniano przecież guwernantki i guwernerów, którzy wspierali potrzeby edukacyjne młodych ludzi i *de facto* byli ich nauczycielami w trybie indywidualnym. Z drugiej jednak strony przez bardzo długi czas tylko znikomy odsetek uczniów korzystał z tej formy kształcenia i z jakiegoś powodu w ostatnich latach zyskało ono bardzo na popularności. Polska szkoła nie zmieniła się aż tak bardzo na przestrzeni kilkunastu lat, by tłumaczyć to zjawisko tylko kondycją naszego szkolnictwa.

Podstawy prawne edukacji domowej

Prawo w różnych krajach rozmaicie reguluje kwestię edukacji indywidualnej dziecka oraz nauczania domowego. W Niemczech czy Hiszpanii możliwe jest ono tylko w ściśle określonych przypadkach. Większość państw jednak uważa nauczanie domowe za równo cenny sposób edukacji. W procentowym udziale tego typu kształcenia prym wiodą Stany Zjednoczone. W Polsce tę kwestię reguluje ustawa o systemie oświaty z dnia 7 września 1991 roku z późniejszymi zmianami (Dz.U. 2004 r. nr 256, poz. 2572), mówiąca o „realizacji obowiązku szkolnego poza szkołą". Każdy rodzic ma bowiem prawo decydowania o formie edukacji swojego dziecka, zgodnie z tym, co mówi polska Konstytucja (artykuł 70, punkt 30): „Rodzice mają wolność wyboru dla swoich dzieci szkół innych niż publiczne".

Edukacja domowa nie oznacza całkowitego „wypisania się" ze szkoły. Zgodnie z art. 37. Prawa oświatowego: „7. Uczeń spełniający obowiązek szkolny lub obowiązek nauki poza szkołą, a także rodzic takiego ucznia, może korzystać ze wsparcia szkoły, której dyrektor wydał zezwolenie, o którym mowa w ust. 1, obejmującego: (1) prawo uczestniczenia w szkole w zajęciach, o których mowa w art. 109 podstawowe formy działalności dydaktyczno-wychowawczej szkoły ust. 1 pkt 2, 3 i 5–7; (2) zapewnienie dostępu do: podręczników, materiałów edukacyjnych i materiałów ćwiczeniowych, o którym mowa w art. 54 ust. 1 ustawy o finansowaniu zadań oświatowych, oraz pomocy dydaktycznych służących realizacji podstawy programowej znajdujących się w zasobach szkoły – w porozumieniu z dyrektorem tej szkoły; (3) udział w konsultacjach umożliwiających przygotowanie do rocznych egzaminów klasyfikacyjnych, o których mowa w ust. 4.".

Tak więc w naszym systemie oświatowym pojęcie edukacji domowej jest na mocy ustawy przewidziane oraz równoprawne pod warunkiem jednakże takim, że uczeń spełnia standardy wyznaczone przez ministerstwo, a więc opanowuje podstawę programową i jest w stanie zdać z wymaganej wiedzy obowiązujące egzaminy. I taki sposób realizacji obowiązku szkolnego dzieci jest coraz częściej wybierany przez ich rodziców. Na pewno wiele dzieci jej potrzebuje z różnych powodów. Zgodnie z danymi statystycznymi Ministerstwa Edukacji i Nauki w 2021 roku korzystało z edukacji domowej 19 947 dzieci, zaś w roku 2022 już 30 770 dzieci. W 2023 roku już 42 329 dzieci realizuje obowiązek szkolny w tym trybie edukacji. Jest to więc 38-proc. wzrost w ciągu ostatniego roku i aż ponaddwukrotny (o 112 proc.) w ciągu dwóch lat. Warto więc zastanowić się nad tym zjawiskiem, skąd wziął się ten trend oraz jakie może przyjmować formy.

Typy i specyfika edukacji domowej

Wyróżniamy trzy formy indywidualnej edukacji. Należą do nich: najbardziej powszechny homeschooling, unschooling i worldschooling. Każda ta forma edukacji ma swoją własną specyfikę i najbliższa nauczaniu domowemu jest homeschooling. Pozostałe formy wyrastają z kontestacji tego, co nazywamy edukacją szkolną.

Homeschooling, czyli „szkolenie domowe," polega właśnie na realizacji obowiązku edukacyjnego młodych ludzi w warunkach domowych. Unschooling to dosłownie „odszkalnianie", polegające na rezygnacji w typowo szkolnego uczenia się na rzecz tzw. uczenia się naturalnego, odrzuceniu szkoły, włącznie z podstawą programową. W Polsce nie ma możliwości pełnego unschoolingu, można jednak być unschoolerem w sensie mentalnym – samemu zatem wyznaczać sobie priorytety i skupiać się na tym, co uznajemy za ważne, ograniczając podstawę programową do wymaganego minimum. Worldschooling ma miejsce wtedy, gdy „cały świat staje się twoją szkołą, a nie szkoła twoim światem", jak głosi założenie tego typu kształcenia. Worldschoolersi wiele podróżują po całym świecie, praktykując tzw. slow travel, a ich nauka polega na uczeniu się przez doświadczenie, poznawanie nowych miejsc, kultur czy tradycji. Trudno realizować ten sposób nauczania dosłownie, jednak wiele jego elementów – w postaci tak zwanych projektów – wprowadzanych jest do homeschoolingu.

Cała odpowiedzialność za rozwój edukacyjny młodego dziecka spoczywa w nauczaniu domowym na rodzicach. Pytanie brzmi, czy nie jest to za duża odpowiedzialność? Domowa edukacja to wyzwanie, przede wszystkim dla rodziców. Jeśli ma być w pełni skuteczna, wiąże się z kosztami. Oznacza najczęściej rezygnację jednego z rodziców z pracy zawodowej i wymaga ogromnej dyscypliny. Nie każdy rodzic zatem i nie każde dziecko gotowi są na to, by podjąć takie wyzwanie, i nie w każdym przypadku efekt takiego nauczania będzie satysfakcjonujący dla obydwu stron.

eprasa.pl 27191359ba

Za i przeciw

Możemy uznać, że mimo innej formy realizacji zadań edukacyjnych, nauczanie domowe jest nadal edukacją o tyle, o ile zrealizowana jest w nim podstawa programowa edukacji szkolnej oraz uczeń jest w stanie zdać poprawnie obowiązujące go egzaminy. Pod tym warunkiem, który przecież jest określony ustawowo, dziecko może przejść na tryb edukacji domowej. Natomiast istotnym problemem, którego rozwiązanie leży po stronie rodziców, jest to, aby edukacja domowa spełniała wymogi ją obowiązujące. Niewątpliwe dużym atutem tak określonej edukacji jest to, że uczeń może uczyć się w swoim tempie oraz że edukacja jest dopasowana do jego możliwości. Rodzic jest świadomy tego, czego uczy dziecko, ma kontrolę nad procesem nauczania i – co najważniejsze – zna dobrze swoje dziecko, wie zatem, jak najlepiej do niego dotrzeć, dzięki czemu nauka ma charakter indywidualny i może przebiegać w formie najlepiej trafiającej do dziecka.

Ponadto rodzic może na bieżąco monitorować przebieg edukacji swojego dziecka oraz jego postępy poprzez to, że dziecko nie może ukryć przed nim swoich zaniedbań. W sytuacji dobrego kontaktu między rodzicem a dzieckiem nauka z rodzicem i możliwość spędzania z nim czasu podczas zadań edukacyjnych stanowią dla dziecka dodatkową motywację w nauce, gdyż nie uczy się jedynie dla siebie, lecz także dla wspólnej radości z rodzicem z jego osiągnięć. Kwestią problematyczną jest natomiast to, na ile rodzice mogą pozwolić sobie na nauczanie domowe dziecka w praktyce i czy taka sytuacja nie może być również konfliktogenna, gdyż nauczyciel, którym jest rodzic, musi ocenić osiągnięcia ucznia, co może rodzić wzajemne frustracje.

Edukacja domowa sprawdza się wtedy, gdy rodzice starają się jak najlepiej i są otwarci na możliwości, jakie niesie z sobą ten rodzaj nauczania. Ale może nieść ze sobą również ryzyko. Nie zapominajmy, że są w naszym społeczeństwie ludzie pałający nienawiścią, szerzący krzywdzące stereotypy czy przeczący nauce, ewangelicy „prawd" szerzonych przez różne sekty. Stąd też rodzice, którzy mogą wpajać dzieciom wzorce negatywne, odcinać od pewnych treści, stosować różnego rodzaju przemoc i tak naprawdę niszczyć życie dziecka, a nie uczyć je tego, czego młody człowiek winien się nauczyć.

Edukacja domowa może być dla wielu uczniów korzystna, choć niekoniecznie dla wszystkich z nich. Pamiętać należy o tym, aby spełniała ona wymogi określone przez ramy programowe i wymagania egzaminacyjne i nie zmieniła się w jedynie pozorną edukację. W celu realizacji potrzeb edukacyjnych młodych ludzi kształcących się w trybie domowym powstały w Polsce instytucje weryfikujące ich poziom wiedzy na egzaminach. Specjalizuje się w tym głośna od niedawna „Szkoła w Chmurze" nastawiona właśnie na egzaminowanie uczniów uczących się w warunkach domowych.

Czy dom może zastąpić szkołę?

Kwestią, którą należy przy tej okazji również rozważyć, jest problem związany z socjalizacją dziecka z grupą rówieśniczą w ramach szkoły, która odgrywa ważną rolę w jego rozwoju i możliwości odnajdywania się w społeczeństwie. Warto o tej roli szkoły również pamiętać. Dziecko, uczestnicząc w grupie rówieśniczej, uczy się rozpoznawać i stosować się do zasad obowiązujących w społeczności, do której należy na tych samych prawach. W grupie innych dzieci zawiązuje sojusze, wchodzi w opozycje oraz rozwiązuje konflikty w ramach tych samych praw, które obowiązują jego społeczność. Ponadto będąc członkiem społeczności, może też czerpać profity wypływające z należenia do niej, czuć się ważnym i pomocnym dla społeczności. Porównuje swoje możliwości z innymi dziećmi, motywują go jego osiągnięcia, zyskuje uznanie w społeczności oraz buduje swoją pozycję wśród rówieśników. Wiele dzieci niemających z różnych powodów możliwości udziału w takim treningu społecznym, czuje się zagubiona w dorosłym życiu i trudno im się odnaleźć w ramach ściśle określonych struktur społecznych. Jeden z internautów krytykujących edukację domową, napisał dobitnie: „Współczuję dzieciom, których rodzice fundują im ED. Mam na myśli taką, gdzie rodzice sami uczą dziecko w domu. Nie dość, że o wielu rzeczach nie mają pojęcia, to jeszcze dziecko nie uczy się życia. Nie żyje z rówieśnikami, nie wie, że na świecie nie ma tylko dobrych ludzi. Potem taki delikwent ma 18 lat (załóżmy) i bez mamy i taty ani rusz. Szkoła, choć z okropnym systemem, to naprawdę super miejsce dla dzieci".

Kwestią problematyczną jest bilans zysków i strat w przypadku szukania alternatywnych rodzajów edukacji. Można mieć wiele zastrzeżeń do naszego systemu oświaty. Przede wszystkim należy dążyć do jego ulepszania, by dawać dzieciom lepsze i równe szanse na rozwój. Warto zastanowić się nad tym, jak naukę w szkole uczynić łatwiejszą, bardziej zindywidualizowaną i nastawioną na rozwój każdego ucznia. By nie było tak, że rodzic wybiera edukację domową tylko dlatego, że neguje szkołę. Z pewnością wzrostu popularności edukacji domowej nie należy traktować tylko jako ciekawostki i przejawu nowej mody, lecz powinna być ona przyczynkiem do pogłębionego namysłu nad kondycją polskiego szkolnictwa. ■

eprasa.pl 27191359ba

Awantura w „Szkle kontaktowym". Rewolucja pożera własne dzieci

Grzegorz Wszołek



W najnowszej odsłonie kłótni w „rodzinie", czyli w starciu Piotra Jaconia i Krzysztofa Daukszewicza oraz ich fanów – zaangażowanych odbiorców TVN, nie ma wygranych. Wszyscy aktorzy w tym spektaklu odgrywają żenujące role. Z pozoru niewinna wpadka, głupi żart prowadzącego „Szkło kontaktowe" urósł do rangi awantury. Ale jest o czym rozmawiać – można dokładnie spostrzec, z kogo nie można, a z kogo wręcz należy się wyśmiewać, kim jest tak naprawdę ktoś nietolerancyjny i czy aby największa stacja komercyjna nie stosuje podwójnych standardów. To wszystko uwypukliła afera, która wybuchła na Wiertniczej.

Szkło kontaktowe" chyba nigdy nie było zabawne. Obliczone na liberalno-lewicowego widza, zatwardziałego antykaczystę, który nienawidzi PiS i już. Dlatego nic dziwnego, że profil programu w mediach społecznościowych prowadzi nadpobudliwy redaktor, ciągle wyśmiewający się z nielubianych polityków – dalece bardziej niż to jest nawet w satyrycznym (sic!) programie. Pewien etap w TVN24 po 18 latach ewidentnie dobiega końca. Kto wie, czy Krzysztof Daukszewicz, żartując w połowie maja na wizji w stronę Piotra Jaconia, nie zgasił tam światła. „Szkło kontaktowe" stanowi obecnie ogromne obciążenie wizerunkowe – kojarzone jest nie z czerstwymi żartami dla osób pozbawionych poczucia humoru i dystansu do polityki, jak to bywało przez lata, a z piekielną awanturą, która dzieli również samych pracowników TVN. A zaczęło się niewinnie.

W trakcie wejścia na żywo Jaconia, który ma transpłciową córkę i napisał książkę „My, Trans" o problemach życiowych z nią związanych, Daukszewicz wypalił: „A jakiej on jest płci teraz?". Biorąc pod uwagę sytuację rodzinną aktywisty, który od lat stopniowo porzucał rolę dziennikarza na rzecz rzecznika środowisk LGBT, była to uwaga nie na miejscu. Głupi, niepotrzebny żart, niepasujący w ogóle do kontekstu sytuacji i miejsca. To tak, jakby na imieninach lub weselu podchmielony wujek sypnął z rękawa niestosownym żartem, nie bacząc ani na towarzystwo, ani na podniosły moment. Pewnych rzeczy w telewizji się nie robi. Sprawa powinna rozejść się po kościach – panowie mogli się przeprosić i zamknąć nieporozumienie, tym bardziej, że po dowcipie Daukszewicz dodał, będąc przekonanym, że zniknął z wizji: „Chyba pier...em głupotę!". Ale nie. Jacoń postanowił opisać w mediach społecznościowych, co czuje. Zaatakował też Daukszewicza, wskazując internautom palcem, że tak oto wygląda twarz transfoba. Zabrakło dopowiedzenia w stylu: „wiecie, co z nim zrobić", które lata temu w charakterze żartu padło od ówczesnego premiera Donalda Tuska pod adresem słabego sędziego piłkarskiego Howarda Webba.

Nieprzyjemny dysonans widzów TVN24

„Zbiorowe oburzenie na słowa pana Krzysztofa właściwie mogą mnie cieszyć. Nawet polska prawica zorientowała się, że tak zwany żart z transpłciowości żartem nie

eprasa.pl 27191359ba

jest. Zapamiętajcie moją twarz. To twarz wk... i bezradności. A także dylematu: jak wytłumaczyć rodzinie, która rechocze w najlepsze z kolejnego kawału wąsatego wuja, skąd mam w oczach łzy? Jak to zrobić, żeby nie usłyszeć, że jak zwykle psuję dobrą zabawę i że przesadzam?" – oburzał się prezenter TVN24. To właśnie ten moment zdecydował o eskalacji napięcia. Wymiana uprzejmości trwała tygodniami – Jacoń rzucił satyryka na pożarcie progresywnej lewicy. Jego zranione poczucie własnej wartości – do czego miał prawo z racji faktu wychowywania transpłciowej córki – popchało do zainaugurowania linczu na Daukszewiczu. W dodatku Jacoń pomylił pojęcia: szeroko pojęta prawica nigdy nie wyśmiewa się z osób o zaburzeniach na tle płci, bo to chamskie, tylko *en masse* nie zgadza się na tranzycję bez ograniczeń wiekowych, a także ma dość nowomowy w postaci zaimków dla osób niebinarnych czy transpłciowych, które na lewicy tak się upowszechniły, że obejmują nawet osoby tylko homoseksualne.

Po wpisie Jaconia zawleczka od granatu została wyciągnięta. Liberalna strona internetu podzieliła się na dwie strony – obrońców dziennikarza TVN i satyryka. Daukszewicz nie dał za wygraną – opublikował treść wiadomości od adwersarza, twierdził, że ten dorabia mu gębę „homofoba". Głos zabrała nawet żona prowadzącego „Szkło kontaktowe", Violetta Ozminkowski-Daukszewicz, która żaliła się na niespotykany w życiu hejt i podkreśliła, że wyrazy wsparcia przesyłają rodzinie nawet... prawicowi dziennikarze. Atmosfera stała się tak gęsta, iż – jak donoszą branżowe portale – dzieli pracowników TVN24 dokładnie tak, jak internautów – na dwa obozy. Kierownictwo telewizji zaproponowało powrót po przymusowym urlopie satyrykowi, ale ten odmówił. „Zarzucano mi, że zażartowałem z Piotra Jaconia, mówiąc, »jaką on ma dzisiaj płeć«, a ja trawestowałem słowa Kaczyńskiego. To była gafa, za którą od razu przeprosiłem. Nie miałem złych intencji. Piotr Jacoń nie uznał, jak mówił »pokątnych« przeprosin, ale jak miałem to zrobić? Poszedłem po programie i przeprosiłem. Później, gdy dzwonił do mnie, szybko okazało się, że nie dzwoni, by zażegnać konflikt, tylko napisać na internecie następny manifest. I mam niestety nieodparte wrażenie, że sam się na swój krzyż wdrapał, bo nikt go tam nie powiesił" – krytykował Jaconia Daukszewicz. „A już na pewno nie ja ani moja rodzina, która nie może się pozbierać po hejcie, na który nas skazał. I mam także nieodparte wrażenie, że z ofiary zamienił się dość szybko w kata, i że ma to gdzieś. Jeśli tak ma przebiegać nauka tolerancji, to ja w czymś takim nie zamierzam uczestniczyć" – podsumował.

W geście solidarności z Daukszewiczem, „Szkło kontaktowe" opuścili Artur Andrus i Robert Górski, a to zapewne nie koniec. Zwolennicy najostrzejszego kursu opozycji piszą w sieci z pretensjami, że Daukszewicz i Jacoń zajmują się tylko sobą, podczas gdy jedynym wrogiem jest Jarosław Kaczyński, a do wyborów potrzebna jest mobilizacja wszystkich na lewo od PiS. Zresztą nie ma się co dziwić, że w tym elektoracie Daukszewicz nawet ma przewagę, skoro od lat zabawiał go antypisowskimi dowcipami, natomiast Jacoń to stosunkowo nowa gwiazda, która dopiero niedawno rozpoczęła polityczną krucjatę w walce o postęp.

Ta awantura pokazuje coś więcej

Czego uczy ta historia? Ano tego, że – po pierwsze – „warszawka" co innego mówi, a co innego myśli. Daukszewiczowi przypadkiem wymsknęło się to, co wielu z pozoru sojuszników LGBT sądzi, tylko nie wyraża tego na głos. Oni mają to środowisko za „dziwaków", zmiany płci są dla nich niewytłumaczalne, a walka o szerszy wachlarz praw stanowi tylko strategię dla osiągnięcia wyższego poparcia wyborczego dla ulubionej partii.

Po drugie – Daukszewicz na własnej skórze doświadcza tego, czym jest wykluczenie u postępowców. Coś, co dotyka każdego, kto inaczej myśli niż w głównym nurcie lewicy – steku wyzwisk, odczłowieczenia, zniszczenia dorobku. Wie o tym dr Magdalena Grzyb z Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdy progresywni studenci starali się wyrzucić ją z pracy na uczelni, bo wyraziła odmienne zdanie na temat transpłciowości od nich. Sędzia Szymon Marciniak mógł stracić finał Ligi Mistrzów tylko dlatego, że jednej z fanatycznych organizacji nie spodobał się kilkuminutowy występ arbitra na wydarzeniu biznesowym, organizowanym przez Sławomira Mentzena. Teraz Daukszewicz wie, jak to jest podpaść wulgarnej i radykalnej lewicy, która ma dość „dziadersów", „pisowców", „klech" i „zaściankowego" stylu życia, a chce przy tym narzucić swój system wartości i reguły życia społecznego.

Po trzecie – można drwić z pisowców, traktować ich jak ludzi gorszej kategorii, obrażać bez wyjątku, ale ze społeczności trans już nie. Zastanówmy się przez chwilę: zastąpmy w absurdalnym pytaniu Daukszewicza słowo „płci" wyrażeniem „pisowiec". Czy po stwierdzeniu: „A on dzisiaj to jakiś pisowiec jest?", nastąpiłoby wielkie oburzenie? Oczywiście że nie. Niegdyś inny satyryk, Szymon Majewski, musiał odejść z TVN, bo ówczesnemu dyrektorowi stacji Edwardowi Miszczakowi nie podobały się żarty z PO i Donalda Tuska. „On się sprawdzał, kiedy emocje leżały na ulicach. A lemingi nie chcą, żeby się specjalnie śmiano z Platformy Obywatelskiej" – tłumaczył dekadę temu powody wyrzucenia celebryty z ramówki. „Wyborcy PO to są jednocześnie wyborcy TVN. A Szymon komentował, ośmieszał, był też reflektorem politycznym" – dodał Miszczak. Nic dodać, nic ująć. Kto zatem będzie tęsknił po „Szkle kontaktowym"? ■

eprasa.pl 27191359ba

Piotr Lisiewicz



Król Kaszub mocny człowiek Polski

Gdy niemieccy żandarmi aresztowali go, wkraczając na nielegalne polskie zebranie, dzięki swej niezwykłej sile rozerwał ich kajdanki, a potem brutalnie potraktował żandarmów kołkiem wyrwanym z płotu. Antoni Abraham dostał za to 6 miesięcy więzienia, a była to jedna z 40 jego spraw sądowych. Gdy w 1918 roku w czasie konferencji pokojowej w Paryżu negocjowano kształt polskich granic, Abraham pojechał do stolicy Francji i w czasie rozmów na temat traktatu wersalskiego zagroził brytyjskiemu premierowi Lloydowi George'owi, że Kaszubi wzniecą bunt, jeżeli ich ziemia zostanie wcielona do Niemiec. Wygrał. Legendarny Król Kaszubów był nieprzejednanym orędownikiem polskości kaszubskiej ziemi.

eprasa.pl 27191359ba



FOT. WIKIPEDIA

Jest to chłop mocny i silny, do 2 metrów wysoki, dłoń ma jak lew, plecy jak niedźwiedź, a głos piorunujący! Zaś tabakierka jego jest tak wielka, że tabaka z niej starczyłaby dla nas na cały rok. Na głowie ma polską czapkę (maciejówkę) i kij dębowy jak drąg. Wędrując po naszych kaszubskich okolicach, agituje, naucza, pisze i rozdaje »Gazetę Gdańską« i książki. A wszędzie, gdzie przyjdzie, jest jak w domu, każdy go lubi, każdy rad słucha i chętnie go widzi" – tak opisywała go „Gazeta Gdańska" z 27 września 1913 roku.

Antek znad Bałtyku, Antek z Tucholskich Borów, Antek spod kościelnych murów – to były niektóre z jego pseudonimów, pod którymi publikował artykuły, wzywające do zachowania kaszubskiej, polskiej tożsamości. Doktor Władysław Pniewski w publikacji „Antoni Abraham (1869–1923). Wielki patriota z ludu kaszubskiego" z roku 1936 pisał o nim: „Abraham odznaczał się na wskroś prawym, czystym i szlachetnym charakterem. Był prawdziwym i idealnym typem Polaka z charakteru i oblicza, pozbawionym niemal zupełnie pierwiastków egoistycznych. Nigdy nie ubiegał się o żaden urząd, o żadne stanowisko, nigdy nie szukał ni chwały, ni zaszczytów".

Mimo to odegrał ogromną rolę w walce o polskość Pomorza. Pniewski wyliczał: „Jemu zawdzięczamy głównie, że nad Bałtykiem rozbrzmiewał mimo groźnego ucisku pruskiego język polski i język kaszubski. On to wygrał walną bitwę z Bismarckiem, Gosslerem, Jagowem, Winterem i całym legjonem germańskim na Kaszubach północnych o polskość ludu kaszubskiego. On to stoczył w r. 1919 drugą zwycięską walną rozprawę pod Paryżem z Lloyd Georgem o przyłączenie ziemi pomorskiej do Polski. On to wreszcie w kraju ubiegał się o port gdyński – i port ten stanął u stóp śmiertelnych szczątków na Oksywiu".

Kaszubi strażnikami morza polskiego. Przeciw dzielnicowości!

O patriotyzmie Antoniego Abrahama pisał zaś dr Pniewski: „Kochał swój szczep, ale z myślą o całej Ojczyźnie. Nie uznawał tzw. dzielnicowości, zwalczał ją stanowczo, żądał jednak sprawiedliwego i równego traktowania swych ziomków najbliższych z wszystkimi Polakami. Zwalczał też wszystkich szkodników społecznych i narodowych".

Historia Antoniego Abrahama pokazuje, jak bardzo mylą się ci, którzy chcieliby utożsamiać historię i tradycje Kaszubów z tym, co wygaduje na ten temat Donald Tusk. Doktor Pniewski pisał o królu Kaszubów: „Miał serce czułe, a gorące, dwoma ożywione ideałami życiowymi: miłością Boga i miłością Ojczyzny. Płomiennem pałał ukochaniem wszystkiego, co ojczyste, co nasze. Szczególnie zaś przypadł mu do serca własny ród kaszubski, który przecież uważał za nierozerwalną cząstkę wielkiej Ojczyzny – Polski. Zrósł się z każdą piędzią ziemi nadmorskiej i zżył z każdym jej mieszkańcem, krwią tej ziemi od prawieków wykarmionych. Swoich Kaszubów nazywał strażnikami morza polskiego".

Nauka czytania na książce do nabożeństwa

Antoni Abraham urodził się 19 grudnia 1869 roku w osadzie Zdrada koło Mechowa w biednej rodzinie bezrolnego komornika Jana Abrahama i jego żony Franciszki z domu Czap. Uczęszczał do pruskiej szkoły powszechnej w Mechowie i Leśniewie. Gdy miał dwa latka, stracił ojca. „Najpierw matka uczyła go czytać na książce do nabożeństwa; śpiewała mu też polskie pieśni nabożne. Wspomina później o tych pieśniach swojej »kochanej matki«, a zwłaszcza o jednej, zaczynającej się rzewnem wołaniem: »Ach, mój Jezu, jak Ty klęczysz...«. Wspomnienia matki »rzewne i słowa pieśni oraz cudna jej melodja wzruszyła mnie tak bardzo, że aż łzy zrosiły moje powieki«" – odnotowuje dr Pniewski.

Świadomość narodowo-religijną Abrahama kształtował także ks. Teofil Bączkowski, proboszcz mechowskiej parafii. Od dzieciństwa Antoni brał udział w pielgrzymkach na Kalwarię Wejherowską. „Niewygasłe wrażenie pozostawiła w sercu Antoniego pierwsza pielgrzymka do Kalwarii wejherowskiej, dokąd schodził się lud z całych Kaszub, dalekich stron Pomorza i Warmji. Tutaj wśród westchnień i łez pątników, spieszących zewsząd pod skrzydła opiekuńcze kapłanów, zrozumiał, jak udręczony i nieszczęśliwy jest lud polski" – pisze Pniewski.

A w wieku 16 lat rozpoczął wędrówkę po Kaszubach, szukając dorywczych prac w gospodarstwach rolnych, leśnych, rybnych i przemysłowych. Pracował jako pomocnik rybacki w Pucku i u leśniczego Wichty w Bolszewie. Około 1889 roku Antoni mieszkał w Pryśniewie, gdzie ożenił się z Matyldą Paszke z Pryśniewa. Mieli dwóch synów i trzy córki.

Państwo Abrahamowie początkowo mieszkali w Orlu, a potem w okolicach Sopotu. Antoni pracował jako tragarz i woźnica, m.in. w browarze „Bergschlösschen Brauerei Zoppot" (Browar Zameczek Górski), w którym rozwoził piwo. Dorabiał też jako rzemieślnik. Za zarobione pieniądze kupił działkę i wybudował piętrowy dom przy Elisabethstrasse 15.

Polska konspiracja

„Czytywał chętnie gazety i książki polskie. Zajmowały go dzieje i baśnie ludu kaszubskiego, zajmowały jego wyobraźnię każde spotykane miasteczko, każda wioska, każdy kościółek wiejski, każde szczególne

eprasa.pl 27191359ba

miejsce na tej ukochanej ziemi kaszubskiej. Umiał też o wszystkiem, co czytał, opowiadać z zapałem i bez końca" – pisze dr Pniewski.

Wiadomo, że po osiedleniu się w Sopocie Antoni nawiązał kontakty z miejscowymi czołowymi działaczami pomorskiego środowiska. Wśród nich byli m.in. współzałożyciele Towarzystwa Ludowego „Jedność" Józef Czyżewski oraz wydawca i pierwszy redaktor naczelny „Gazety Gdańskiej" Bernard Milski. Jak czytamy, Abraham spotykał się także ze znanymi działaczami kaszubskimi – Aleksandrem Majkowskim czy Antonim Miotkiem: „Znajomości z takimi ludźmi poszerzyły horyzonty umysłowe Antoniego Abrahama i pogłębiły jego uczucia patriotyczne, wyniesione z domu rodzinnego".

Nie była to bezpieczna działalność. Jak pisała „Gazeta Gdańska": „Podczas jednego z zebrań tego samego roku w Redzie, legalnie zresztą zwołanego, policja wraz z wójtem wyrąbuje drzwi do salki, aresztuje przewodniczącego Abrahama i osadza go na cztery tygodnie w areszcie, dręcząc zimnem i pragnieniem".

Krzyżyki i słone śledzie

Ścigano go jeszcze po dwu latach, żądając zapłacenia kosztów procesu. Antoni Miotk pisał o tej akcji w 1911 roku:

Spojrzy, oczy zapłakane
Na ręku kajdany,
Wszędzie skargi jakieś ciężkie
A na sercu rany...

Choć wichry i pioruny wokoło,
Wesoło żeglujmy, wesoło!

Wiwat! Wiwat! Polonia!!!
niech nam żyje męczennik
za polskość, p. Abraham.

Nigde do zgube
Nieprzydą Kaszube.
Marsz, marsz za wrogę
Me trzemąme z Bogę.

O pobycie w gdańskim więzieniu wspominał autor tekstu o Abrahamie w „Rodzinie Kaszubskiej" nr 28 z 14 lipca 1923 roku: „Przyłapany na zebraniu Towarzystwa Ludowego w Redzie, skuty w kajdany, poszedł do więzienia w Gdańsku, gdzie go chłodem i głodem morzono w nieopalonej w mroźną zimę celce więzienia, chcąc męką wymusić zeznania i zdradę ruchu narodowego wśród Kaszubów. Z głodu i zimna wył, jak mi sam mówił, pragnienie, wzmożone słonemi śledziami, któremi go karmiono, paliło mu wnętrzności, ale nic i nikogo nie wydał, a wypuszczony z tego piekła ziemskiego, z nową werwą wziął się do pracy narodowej".

Nie zginiemy, gdy nie upadniemy na duchu

Takich starć z pruskimi żandarmami było wiele. Jak wyliczała „Gazeta Gdańska", „były zajścia z policją w Chylonji, Wielkim Kacku i innych miejscowościach. Szczególnie jednak na Redę zawzięli się Prusacy, i to do tego stopnia, że w okresie jednego roku wytoczono przewodniczącemu osiem procesów". „Nam nie płakać i rozpaczać, ale bronić mężnie praw swoich potrzeba" – pisała „Gazeta Gdańska" (20 marca 1914).

W kolejnym tekście czytamy: „Lud nasz w dalszym ciągu doznaje upośledzenia strasznego. Pozbawiają go gwałtem mowy ojczystej, docierając w tym kierunku aż do domów Bożych, które za dawnych czasów nawet chroniących się doń zbrodniarzy czyniły nietykalnymi. Zabraniają nam wystawiać nad głowami schronisko, wskutek czego rodacy nasi niejednokrotnie zniewoleni są mieszkać jak cygani w wozach lub jak króliki w norach ziemnych. Nie pozwalają nam łączyć się w towarzystwa, śledząc na każdym kroku, jakobyśmy byli największymi złoczyńcami, a w dodatku wywłaszczają nas z zagonów ojczystych. Wszystkie te poniżenia i uciski znosimy jednak cierpliwie, ciesząc się nadzieją, że nadejdzie kiedyś czas, w którym wyswobodzeni zostaniemy z pod jarzma okrutnego („Gazeta Gdańska" nr 56 z 1914 roku).

Ale w korespondencjach nie było pesymizmu, lecz zagrzewanie do walki: „Tak! Nie zginiemy! Ale nie zginiemy tylko wtedy, gdy nie upadniemy na duchu, gdy zachowamy wszystko, co nasze i cośmy po ojcach naszych odziedziczyli. Zachowajmy to wszystko za przykładem naszych bohaterów narodowych i mężów światłych, którzy nam ciągle wskazują na potrzebę oświaty, pracy i oszczędności. Idźmy za ich przykładem i nie dajmy się zniemczyć, nigdy, przenigdy! Powiedzmy sobie, że chcemy umrzeć Polakami i katolikami tak, jakeśmy się nimi urodzili!" („Gazeta Gdańska" nr 34 z 19 marca 1914 roku).

Wielki wiec w Oliwie

W czasie wielkiej wojny, która wybuchła w roku 1914, Abraham, podobnie jak jego synowie i zięć, został wcielony do pruskiego wojska. Służył jako artylerzysta na froncie we Francji. W czasie walk został ranny. Po pobycie w szpitalu wrócił na Kaszuby.

Jego społeczna działalność z poprzednich lat spowodowała, że w 1918 roku został członkiem Podkomisariatu Naczelnej Rady Ludowej w Gdańsku. Założył też Radę Ludową w Oliwie. „Nie był przecież demago-

eprasa.pl 27191359ba

giem, nie posługiwał się nigdy kłamstwem, nieuczciwością lub samolubnemi celami, a demagogów egoistycznych odkrywał, jak odkrywał wszystkich tych, którzy na patriotyzmie zbijać chcieli majątki" – pisał o jego roli Pniewski.

A potem Abraham, jako członek delegacji kaszubskiej, udał się na konferencję pokojową do Paryża. Na początku Antoni, aby przedostać się przez granicę i dotrzeć do Warszawy, wmieszał się w grupę robotników rolnych, którzy szli do pracy. Według innej wersji, Abraham dotarł do okopów powstańców wielkopolskich, a ci pomogli mu dostać się do Poznania. Tam spotkał się z Ignacym Paderewskim.

Trwała walka o polskość Gdańska. Jak pisze Pniewski, „Abraham zwołuje wielki wiec w Oliwie. Za pierwszym razem Niemcy unicestwiają odbycie się wiecu. Zgromadzenie, powtórnie zwołane, odbywa się wreszcie dnia 23 lutego 1919 r. w refektarzu poklasztornym. Przewodniczy na niem Abraham. Sprawa dotyczy głównie nauki polskiej w szkołach gdańskich. W toku narad przewodniczący stwierdza, że dotychczas zgłoszono na naukę w polskim języku wykładowym 400 dzieci, ale liczba ta wydaje mu się małą, jak na 3 tysiące Polaków zamieszkałych w Oliwie".

My, Kaszubi, nie jesteśmy Niemcami

Po powrocie na Pomorze Abraham rozpoczął współpracę z międzynarodową komisją wyznaczającą granicę polsko-niemiecką. Z kim mierzył się Abraham? „Duchowni niemieccy wytężali wszystkie siły, żeby lud kaszubski odwieść od propagandy polskiej, głośni politycy niemieccy poczęli zwoływać manifestacyjne wiece, szczególnie w Gdańsku, zapewniając uroczyście o praniemieckości ziemi pomorskiej, wreszcie jęli się ohydnego sposobu agitacyjnego: poczęli urbi et orbi głosić, że Kaszubi to nie Polacy, że pragną pozostać przy Rzeszy Niemieckiej" – pisze Pniewski.

W odpowiedzi Abraham zwołał 30 marca 1919 roku wiec do Miszewa pod Żukowem. Tam przyjęta została następująca rezolucja: „My, Kaszubi, zebrani w Miszewie na wiecu, oświadczamy, że nie jesteśmy Niemcami, tylko czujemy się dziś tak jak i dawniej Polakami. Krętactwa gazet hakatystycznych, że jesteśmy Niemcami, uważamy sobie za ciężką zniewagę i stanowczo przeciw temu protestujemy".

Jeszcze dalej szła uchwała oliwska z dnia 6 kwietnia:„My, zebrani na wiecu polscy parafianie Oliwy, żądamy i domagamy się, aby Polskie Pomorze z Gdańskiem do Polski przyłączone zostało. Ucisku narodowego, jak dotychczas, znieść nie możemy i wszystkiemi siłami tak ducha, jak ciała, dążenie nasze serdecznie poprzeć gotowiśmy. Niema Polski bez Kaszubów, bez Kaszubów Polski. Rada Ludowa. Oliwa, dnia 6 kwietnia 1919".

Zaślubiny, Haller i tabakiera

Polskie wojsko dotarło do Wejherowa. Pisze Pniewski o roli Abrahama w tych wydarzeniach: „W zniemczonem tem mieście poczynić było trzeba przygotowania. Chodził więc od domu do domu z apelem, ażeby wszyscy jak jeden mąż stanęli na rynku dla uroczystego powitania przybywającej do Kaszubów Polski. W chwili, gdy wojska polskie stanęły w mieście, wygłosił gorące przemówienie powitalne, a wzruszenie głos mu odbierało. Spełniły się przecież jego najświętsze marzenia, zwycięstwo odniosły trud życia, męki serdeczne i cierpienia. Triumf Polski był i jego triumfem".

Abraham uczestniczył w zaślubinach Polski z morzem 10 lutego 1920 roku w Pucku. „Kiedy odbyły się już zaślubiny Polski z morzem, stanął z rozpłomienionem obliczem, z swą nieodstępną tabakierą, rożkiem kaszubskim, między oficerami i, przystąpiwszy do gen. Hallera, zawołał w serdecznej poufałości, przypominającej nam żywo scenę z »Pana Tadeusza« z generałem Dąbrowskim: »Kiedy Pan Generał na Kaszubach, to musi z Kaszubą zażyć tabaki z tej oto tabakiery«. Generał zawahał się przez chwilę, poczem sięgnął po szczyptę, zażył i wokół częstował oficerów. Skutki jednak były ku wielkiej uciesze Abrahama takie, że żaden z oficerów na oczy już nie chciał widzieć niebezpiecznej kaszubskiej tabaki" – czytamy relację.

W tym samym roku Abraham przeniósł się z Oliwy do Gdyni, gdzie pracował w wędzarni ryb. Mieszkał na ul. Starowiejskiej 30, w domu bogatych kaszubskich gospodarzy, Skwierczów. Agitował także za udziałem w wojnie polsko-bolszewickiej.

Traktat wersalski i atak olbrzymów

Doktor Pniewski tak opisuje udział Abrahama w negocjacjach nad traktatem wersalskim: „Kiedy w rozmowie z Lloyd Georgem i Wilsonem zapytano ich podstępnie: »Czego wy chcecie, kiedy wasz rząd Pomorza się zrzekł?« – wtedy w pewnym momencie odpowiedzi Abraham uderzył pięścią w stół, wołając groźnie: »Pomorza nom ani kusi purtok zabrac ni może«. Zapewniał też, że on nigdy nie dopuści, żeby Pomorze pozostać miało przy Rzeszy. W takim razie na jego apel stanie 4000 Kaszubów, olbrzymów, jak on sam, i bez niczyjego poparcia, sami siłą zagarną Pomorze wraz z Gdańskiem dla Polski".

Zajęcie tak zdecydowanej postawy przez delegację kaszubską ułatwiło dyplomacji polskiej ostre domaganie się dostępu Polski do morza. Ostateczny skutek był pozytywny. Jedynie Gdańskowi wyznaczono rolę inną, niż tego wymagał interes Polski.

W wolnej Polsce, do której wygranej ogromnie się przyczynił, Abraham był rzecznikiem budowy portu

eprasa.pl 27191359ba

morskiego w Gdyni i jej rozwoju. Miał okazję wówczas spotykać się ze Stefanem Żeromskim i omawiać z nim problemy społeczne.

2 maja 1922 roku Antonii Abraham został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi położone dla Rzeczypospolitej Polskiej na polu pracy obywatelskiej. Latem 1922 roku po raz ostatni uczestniczył w pielgrzymce z Oliwy do Wejherowa.

Prezydent u Abrahama

29 kwietnia 1923 roku Abraham witał na Pomorzu najwyższe władze Polski – prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, premiera Władysława Sikorskiego, prymasa Polski kardynała Edmunda Dalbora, marszałka Senatu Wojciecha Trąmpczyńskiego, marszałka Sejmu Macieja Rataja i ministra wojny generała Kazimierza Sosnkowskiego, którzy przyjechali na uroczyste oddanie do użytku Tymczasowego Portu Wojennego i Schroniska dla Rybaków w Gdyni.

Już w czasie wizyty prezydenta w Gdyni, Abraham źle się poczuł. Chory na raka żołądka, ostatnie tygodnie życia spędził w Gdyni w domu, nazwanym później Domkiem Abrahama.

Zmarł w sobotę 23 czerwca 1923 roku. Został uroczyście pochowany 27 czerwca 1923 roku na cmentarzu oksywskim. Odprowadzany był przez ogromne tłumy z całego kraju, przy wtórze gwizdów parowozów i buczenia syren statków. Na jego grobie położono 1,5-tonowy głaz.

„Tu chciałbym spoczywać i strzec nawet po śmierci tej bramy Polski na szeroki świat" – te słowa wypowiedział na dwa miesiące przed śmiercią, pnąc się po zboczu wzgórza oksywskiego. O pogrzebie legendy Kaszubów tak pisał dr Pniewski: „Wspaniały pogrzeb zmarłego działacza przerodził się w niezwykle podniosłą manifestację narodową (27 czerwca 1923 r.). Wzięły w nim udział delegacje z całych Kaszub, a i z dalszych stron Polski przybyli przedstawiciele rozmaitych instytucyj i towarzystw. Konduktowi, idącemu pieszo z Gdyni do Oksywia, towarzyszyli na czele harcerze lubelscy, orkiestra marynarki wojennej z Pucka, 27 przedstawicieli duchowieństwa, z całego Pomorza delegowanych, chór męski z Wejherowa »Harmonja«, dziatwa szkolna, przeróżne miejscowe i pozamiejscowe organizacje, razem około 40 sztandarów. W porcie wstrzymano prace".

O niego rozbił się „Drang nach Osten"

Ksiądz Łowicki mówił w kazaniu: „Bracia! W tej chwili, gdy Was widzę tak szczelnie wypełniających ten kościółek nadmorski, Was, zebranych ze wszystkich zakątków Polski u trumny tego cichego pieśniarza idei polskiej, tu daleko u zachodniej rubieży Polski, u tej ściany germańskiej, u trumny tego architekta, wznoszącego niezłomną granitową twierdzę serc i dusz ludu kaszubskiego, o której boki rozbija się nawała germańska z swem odwiecznym »Drang nach Osten«, w tej chwili podniosłej widzę coś więcej niż chęć uczczenia szczątków tego bojownika polskości, bo chwilę tę uważam za przełom duchowy do zjednoczenia rozdartej przed wiekiem, a dziś cudem Opatrzności Bożej zrośniętej Ojczyzny, gdyż skoro umiemy zbiorowo uczcić zasługę, zbiorowo, bośmy synowie tej samej, jednej matki Polski, to dajemy tem rękojmię, że w miejsce dotychczasowej zawiści zapanuje zgoda, jedność i miłość twórcza, która słowem Roty Konopnickiej »Nie rzucim ziemi« da czynów stal!".

„Płomiennem pałał ukochaniem wszystkiego, co ojczyste, co nasze. Szczególnie zaś przypadł mu do serca własny ród kaszubski, który przecież uważał za nierozerwalną cząstkę wielkiej Ojczyzny – Polski".

W 1930 roku pojawił się w Gdyni pomysł postawienia mu pomnika. 28 czerwca 1936 roku wmurowano na Domku Abrahama tablicę pamiątkową z jego medalionową podobizną. Władze PRL w ramach walki ze złymi Niemcami z RFN, w przeciwieństwie do dobrych Niemców z NRD, uznawały zasługi zmarłego w 1923 roku Abrahama, rzecz jasna przemilczając jego wsparcie dla wojny z 1920 roku. Dlatego jego imię mogły otrzymać ulice czy szkoły.

No nikt nie odważyłby się wtedy zacytować opinii dr Pniewskiego o Abrahamie: „Był z przekonania demokratą, bo jakże inaczej, ale zwalczał wszelkiego rodzaju walkę klasową, dla prawdziwej inteligencji zaś był pełen uszanowania (...). Z miłością Ojczyzny związana była w nim ściśle wiara katolicka, wiara żywa, wyznawana nie tyle ceremoniałem, ile uczynkami. »Pluskiew« kościelnych nie cierpiał". ■

eprasa.pl 27191359ba

Pisarz z polskiego gniazda

Dariusz Jarosiński



eprasa.pl 27191359ba

Sześćdziesiąt lat temu, 10 września 1963 roku, w stolicy Urugwaju, w Montevideo, zmarł Czesław Straszewicz – pisarz, eseista, krytyk literacki, radiowiec. Jerzy Giedroyc wspominał: „[...] miał zasady moralne, którym dawał wyraz w swym postępowaniu: poszedł do wojska i zawsze uważał, że musi poświęcić swoje sprawy osobiste, gdy wymagają tego przyzwoitość czy patriotyzm. Pod tym względem wyróżniał się na tle naszych pisarzy”.



FOT. NAC

Należał do grona najważniejszych, najbardziej cenionych pisarzy średniego pokolenia okresu międzywojennego. Jego dorobek literacki tego okresu stanowiły dwa tomy opowiadań i dwie powieści oraz liczne teksty krytycznoliterackie. Debiutował w roku 1928 opowiadaniem „Obłąkani dobrze wiedzą, obłąkani mówią prawdę”, zamieszczonym w piśmie „Kwadryga”. Przed wojną był niezwykle aktywny i twórczy, publikował w pismach konserwatywnych, prawicowych, w „Gazecie Polskiej”, „Prosto z Mostu”, „Buncie Młodych”, „Polityce”.

Kiedy latem 1939 roku 35-letni Czesław wypływał z portu w Gdyni w dziewiczy rejs statkiem MS „Chrobry” do Ameryki Południowej do Buenos Aires, nie przypuszczał, że już więcej Polski nie zobaczy. Rejs zmienił całkowicie jego życie. Na wiadomość o napaści Niemiec na Polskę, Straszewicz powrócił do Europy i wstąpił we Francji do wojska polskiego, w przeciwieństwie do współpasażera ze statku (nawet z tej samej kajuty) – Witolda Gombrowicza, autora głośnej w owym czasie powieści „Ferdydurke”, który uznał, że ważniejsze od obrony ojczyzny jest rozwijanie własnego talentu literackiego, i pozostał w Argentynie. Gombrowicz w „Trans-Atlantyku” dowodził, że jego decyzja o pozostaniu w Argentynie była słuszna, a z postawy patriotycznej Straszewicza pokpiwał w swoim błazeńskim stylu. Gombrowicz jednak cenił Straszewicza jako pisarza, jego groteskowe poczucie humoru.

W latach 1939–1944 Straszewicz służył w polskim wojsku, m.in. w Anglii jako żołnierz w 10. Brygadzie Kawalerii Pancernej generała Stanisława Maczka, a później, po wypadku w czasie ćwiczeń wojskowych, działał jako redaktor w radiostacji „Świt”, która z miasteczka pod Londynem nadawała wiadomości do okupowanej Polski.

Pod koniec 1944 roku został skierowany przez rząd RP na emigracji do pracy w Montevideo w Urugwaju w konsulacie polskim jako attaché prasowy. Funkcję pełnił krótko, bo niebawem konsulat przejęty został przez komunistycznych dyplomatów. Na emigracji pozostał już do końca życia. W roku 1953 wydał w Instytucie Literackim w Paryżu powieść „Turyści z bocianich gniazd”, która przyniosła mu duże uznanie. W latach 1956–1962 pracował w Radiu Wolna Europa.

Po wojnie przywrócił Czesława Straszewicza polskiej literaturze Jerzy Giedroyc, redaktor „Kultury”. To dzięki jego uporowi, niebywałej cierpliwości powstała perełka polskiej literatury, powieść „Turyści z bocianich gniazd”.

▶ Książkowy debiut o Chińczyku Wan Ho

Czesław Straszewicz herbu Odrowąż urodził się w roku 1904 w Białymstoku. Pochodził z zamożnej, in-

eprasa.pl 2191359ba

teligenckiej rodziny – jego ojciec, Tadeusz Straszewicz, był adwokatem, a po odzyskaniu przez Polskę niepodległości sędzią Sądu Najwyższego w Warszawie. Matka, Maria z Szaniawskich, była osobą świetnie wykształconą, prowadziła dom, zajmowała się wychowaniem dzieci. Po serii niemieckich bombardowań przez Niemców Białegostoku w roku 1915, na początku I wojny światowej rodzice Czesława zdecydowali się na opuszczenie miasta i wyjazd w głąb Rosji. Przez kilka lat rodzina tułała się po Rosji, zatrzymując się m.in. w Moskwie, Petersburgu, Kijowie, Białej Cerkwi, na Krymie. W dzieciństwie Czesław doświadczył, czym są: wojna, rewolucja, bolszewia, komunizm, Rosja, polskość. To wówczas, na wschodnich rubieżach Europy, narodził się jako pisarz. Już jako kilkunastolatek podjął pierwsze próby literackie. Same tytuły dziecięcych utworów literackich świadczą o jego stosunku do rzeczywistości: „Tęsknota za krajem", „Orzeł Biały", „W drodze na Sybir". W jednym z wierszy pisał: „O!... Ty nie wiesz jak cierpię/ Ty nie wiesz ile łez wylałem/ Nie wiesz jak kraj swój kocham i kochałem". W rodzinie Czesława szczególnie żywe były wspomnienia związane z powstaniem styczniowym, jego dziadek, Hieronim Odrowąż-Straszewicz, za udział w zrywie utracił majątek ziemski na Kielecczyźnie i został przesiedlony przymusowo do Tykocina na Białostocczyznę.

W roku 1918 rodzina państwa Straszewiczów zamieszkała w Warszawie. W czasie wojny polsko-bolszewickiej 16-letni gimnazjalista Czesław zgłosił się na ochotnika do wojska do obrony Warszawy przed czerwoną zarazą. W dowód uznania za dzielną postawę otrzymał odznaczenie od Obywatelskiego Komitetu Obrony Państwa. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim – początkowo filologię polską, a później przeniósł się na filozofię. Słuchał wykładów profesorów: Władysława Tatarkiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego, Władysława Witwickiego. Dużo podróżował po Europie, poznał Niemcy, Włochy, Hiszpanię, Francję. Interesował się nowymi prądami filozoficznymi, kulturą.

Jeszcze w czasie studiów, w roku 1928, debiutował na łamach pisma „Kwadryga", publikując opowiadanie pt. „Obłąkani dobrze wiedzą, obłąkani mówią prawdę". Środowisko grupy literackiej Kwadryga to była grupa kolegów z warszawskiej polonistyki, m.in. Konstanty Ildefons Gałczyński, Aleksander Maliszewski, Stefan Flukowski, Władysław Sebyła, którą opisał Zbigniew Uniłowski w skandalizującej powieści „Wspólny pokój".

Książkowy debiut Straszewicza stanowił wydany w roku 1933 zbiór pięciu niezależnych opowieści pt. „Wystawa bogów", które łączy wspólny bohater, Chińczyk Wan Ho, występujący w każdej z opowieści w innej roli. Podróżuje on po świecie, zderza z losami ludzi różnych kultur, którzy żyją w Europie oraz w miejscach orientalnych, egzotycznych – w Azji, Afryce.

Profesor Violetta Wejs-Milewska, autorka biografii Straszewicza, edytorka jego dzieł, nazywa „Wystawę bogów" „nowelową powieścią" – „to niejako pięć aktów dramatu, pięć obrazów i odsłon tragedii świata, które konsekwentnie zmierzają do kulminacyjnej dominanty, do katastrofalnego rozstrzygnięcia. [...] »Wystawa bogów« jest [...] epickim dramatem w pięciu aktach, podejmującym udaną próbę opisu świata i człowieka w stanie kryzysu, w momencie przełomu". W książce tej ujawnia się wyjątkowy zmysł obserwacji zjawisk społecznych zachodzących w okresie międzywojennym zwiastujących koniec starego świata, koniec epoki liberalnej, kryzys kulturowy, tożsamości, niebezpieczne ruchy ideologiczne.

„Pisarz przyszłości"

Lata 1928–1939 to najbardziej twórczy okres Straszewicza. Publikował w pismach konserwatywnych, prawicowych, poczynając od prosanacyjnej „Gazety Polskiej". Współpracował z tygodnikiem literacko-artystycznym „Prosto z Mostu", związanym z obozem narodowym. Straszewicz nie był czynnym politykiem, nie należał do żadnej partii, jednak był on przeświadczony, podobnie jak niemal całe jego pokolenie, o społecznej roli kultury, a zwłaszcza literatury.

Pismo „Prosto z Mostu", będące największym konkurentem „Wiadomości Literackich", redagował Stanisław Piasecki, a publikowali w nim najzdolniejsi pisarze młodego pokolenia – Jerzy Andrzejewski, Bolesław Miciński, Jan Bielatowicz, Konstanty Ildefons Gałczyński, Wojciech Bąk, Karol Zbyszewski. W tygodniku Piaseckiego Straszewicz publikował fragmenty swojej prozy, uprawiał krytykę literacką, a w roku 1936 wydał w Bibliotece „Prosto z Mostu" – „Gromy z jasnego nieba". Są to trzy długie opowiadania poruszające problematykę tożsamości narodowej, psychologiczną, etyczną: „Wzgórze Księżyca", „Mojżesz" i „Chór Gładkowa". Bohaterem opowiadania „Mojżesz" jest Joachim Kepler, antysemita, który odkrywa pewnego dnia, że ma żydowskie korzenie, a jego ojciec jest rabinem. Próbuje wstąpić do gminy żydowskiej, na co jednak nie wyrażają zgody Żydzi. Kepler dostaje obłędu, ucieka z miasteczka w świat jak biblijny Mojżesz. Prasa żydowska ostro zaatakowała Straszewicza za to opowiadanie będące tragifarsą, oskarżając go o antysemityzm.

Proza Straszewicza cieszyła się dużym uznaniem K.I. Gałczyńskiego, Bolesława Micińskiego, szefa działu krytyki literackiej „Prosto z Mostu". Piasecki, redaktor tygodnika, uważał Straszewicza za jednego z najważniejszych pisarzy debiutujących w latach 30. Nazywał go „pisarzem przyszłości", „pisarzem serio" – w przeciwieństwie do Witolda Gombrowicza czy Bruno Schulza, którzy uprawiali zabawę w formę.

eprasa.pl 27191359ba

Straszewicz współpracował też z „Buntem Młodych", pismem młodych konserwatystów redagowanym przez Jerzego Giedroycia. W roku 1937 dwutygodnik ten zmienił tytuł na „Polityka". W „Polityce" Straszewicz zajmował się krytyką literacką. Giedroyc zebrał nieprzeciętnych, wybitnych publicystów, pisali tam oprócz Straszewicza bracia Bocheńscy – Adolf, Aleksander i Józef Maria, Mieczysław Pruszyński, Stanisław Swianiewicz, Piotr Dunin Borkowski, Jerzy Niezbrzycki, Stefan Kisielewski.

Przed wojną ukazały się jeszcze dwie powieści Straszewicza – „Przeklęta Wenecja" (1938) i „Litość" (1939). Obie mówią o niemieckiej duszy, psychopatycznej mentalności niemieckiej. „Przeklęta Wenecja" opowiada o małżeństwie polskiego dyplomaty z pruską ziemianką Elzą Fryze. Niestety, małżeństwo, najdelikatniej mówiąc, jest nieudane ze względu na różnice narodowe, kulturowe, rasowe, mentalne. Powieść „Litość" opowiada historię Paula Knappe, niemieckiego uczonego, profesora patologii, nazisty, który udaje się do Hiszpanii, do Barcelony, z tajną misją szpiegowską. Za powieść „Litość" Straszewicz znalazł się na czarnej liście gestapo.

Mówi Rozgłośnia Polska „Świt"

„Rejs" statkiem MS „Chrobry" do Ameryki Południowej latem 1939 roku odmienił życie Straszewicza. Właściwie to wojna odmieniła życie pisarza, podobnie jak milionów Polaków. Współpasażer z kajuty, Witold Gombrowicz, pozostał w Argentynie, Straszewicz nie mogąc wrócić do Polski, dotarł do Francji, do tworzącego się tam polskiego wojska. Po kapitulacji Francji, przez Szwajcarię i Włochy, trafił do Anglii. Tutaj jako porucznik rezerwy szkolił żołnierzy w 10. Brygadzie Pancernej generała Stanisława Maczka.

Niestety w czasie ćwiczeń uległ poważnemu wypadkowi, prawie rok kurował się w szpitalu. Zwolniony z wojska, otrzymał nowe zadania. Został skierowany do pracy w rozgłośni radiowej „Świt", nadającej z miasteczka pod Londynem do Polski. Rozgłośnia udawała, że jest podziemną stacją działającą w Polsce. Sygnałem rozpoznawczym stacji była melodia wygrywana na fujarce tzw. Krakowiaka Kościuszki, a po niej szły słowa spikera: „Mówi Rozgłośnia Polska »Świt«". Audycje były przygotowywane na podstawie depesz dostarczanych z Polski przez wywiad, kurierów Armii Krajowej. Działalność „Świtu" zaczęła się wczesną wiosną 1943 roku, a zakończyła u schyłku roku 1944.

Wedle idei Anglików, stacja „Świt" miała jedynie podsycać polski opór przeciwko Niemcom, jednak z uwagi na presję wewnątrz zespołu redakcyjnego, stacja stała się par excellance polityczną. Mimo iż audycje były cenzurowane przez Anglików, którzy szczególnie pilnowali, by nie atakować Sowietów, to jak mówił Straszewicz w Radiu Wolna Europa w roku 1957: „Szczególnie często zahaczaliśmy audycjami o Wschód: o Berlinga, o Wasilewską, przypominaliśmy los dzieci polskich wymierających na Sybirze i oficerów polskich wygrzebanych właśnie w Katyniu". „Świt" prowadził też walkę w eterze z ulokowaną w Związku Sowieckim komunistyczną radiostacją „Kościuszko". Najtrudniejszy okres pracy w radiu „Świt" to był czas Powstania Warszawskiego. „Depesze napływały co pół godziny – wspominał w RWE Straszewicz. Wymagało to dużej wytrzymałości, żeby je na gorąco przerabiać na tekst. Całe piekło warszawskie na małych zwitkach papieru przeszło przez nasze ręce. [...] Jedną z ostatnich depesz pamiętam jak dziś: »Powiedzcie Zachodowi, że jeśli nie ma dla nas broni i amunicji, ani żywności, ani nie możecie dać Warszawie osłony lotniczej, zrzućcie nam przynajmniej lekarstwa dla dzieci. Wymierają z czerwonki i tyfusu«".

Uparte milczenie pisarza

Pod koniec roku 1944 Czesław Straszewicz został wysłany z Wielkiej Brytanii przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych RP do Montevideo w Urugwaju jako attaché prasowy przy poselstwie polskim. Po kilku miesiącach zrezygnował z funkcji – z kraju dotarli dyplomaci namaszczeni przez komunistów, a z nimi nie widział możliwości współpracy. Do Polski rządzonej przez komunistów nie chciał wracać, zresztą nie stać go było na opłacenie biletu za rejs statkiem.

Już w roku 1946 Jerzy Giedroyc, tworząc nowe pismo na emigracji, „Kulturę", rozpoczął listowne poszukiwania cenionego przez siebie pisarza, publicysty, Czesława Straszewicza. Jak już wspomniałem, panowie znali się z okresu przedwojennego, Straszewicz współpracował z wydawanym przez redaktora dwutygodnikiem „Bunt Młodych" i „Polityka".

To dzięki Jerzemu Giedroyciowi Gombrowicz i Straszewicz popłynęli w dziewiczy rejs statkiem MS „Chrobry". Giedroyc wspominał: „[...] w 1939 roku została uruchomiona linia okrętowa łącząca Gdynię z Ameryką Południową. Było zwyczajem, że w inauguracyjną podróż – która miała miejsce przed samym wybuchem wojny – zapraszało się przedstawicieli literatury i publicystyki. W tym okresie byłem naczelnikiem Wydziału Prezydialnego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu i zaproponowałem podróż właśnie Gombrowiczowi, Czesławowi Straszewiczowi i Janowi Rembielińskiemu. Wszyscy propozycję przyjęli. Gombrowicz po wybuchu wojny został w Argentynie, Straszewicz i Rembieliński powrócili do Europy".

Straszewicz boleśnie przeżył zdradę Polski przez aliantów, okupację kraju przez Sowietów. Przeżycia wo-

eprasa.pl 27191359ba

jenne, gorzkie rozczarowania spowodowały zapewne uraz psychiczny, gdyż zarzucił literaturę. W połowie lat 50. wyznawał nawet, że znienawidził literaturę i swoje przedwojenne książki. Uważał, że dotychczasowe formy literackie nie są w stanie opisać dramatycznych zdarzeń. „[...] po tym, co się stało, po tym, co się przeżyło – trzeba pisać inaczej, trzeba samemu sobie skręcić kręgosłup, trzeba się przenieść na jakiś inny punkt obserwacyjny" („Życie", Londyn 1954). Dotkliwie odczuwał samotność w Ameryce Południowej, „o jakiej się w Europie nie ma pojęcia". Po tych wyznaniach należy jeszcze bardziej docenić pracę i cierpliwość Giedroycia w dziele wybudzania z twórczego kryzysu Straszewicza.

Pisarz skazany na los emigranta klepał w Montevideo biedę. Znajdował jednak energię i czas, by, poczynając od roku 1944, przez dziesięć lat, prowadzić społecznie raz w tygodniu audycję w Radiu Montevideo dla urugwajskiej Polonii.

Za pożyczone pieniądze od znajomych Polaków oraz zastawiony zegarek kupił w porcie kiosk. Nie osiągnął jednak w biznesie takiego sukcesu jak przed wojną w literaturze – po kilku miesiącach prowadzenia kiosku splajtował. Pracował jako urzędnik w przędzalni wełny Sadil należącej do Edwarda Berenbaua, przedwojennego przedsiębiorcy pochodzenia żydowskiego z Bielska-Białej.

„Wstaję codziennie o 6. Robię herbatę (mieszkam sam) i maszeruję do autobusu, który odchodzi o 7" – opowiadał w liście Giedroyciowi, jak wygląda jego życie. „Jest blisko godzina drogi do mojej fabryki. Tam siedzę uczciwie do godziny 12, potem mam dwie i pół godziny przerwy na obiad. Dwie godziny jazdy i pół godziny, żeby coś przegryźć. W fabryce jestem do godziny 18.30. Prawdziwą katastrofą jest powrót, bo w autobusach nie ma miejsca, szczęśliwie, jeśli zdążę do domu na godzinę 20. Idę coś kupić do jedzenia (stołować się na mieście nie mam za co), gotuję sobie na dziś i na jutrzejszy obiad – tak mija godzina 21.30. Gazeta, książka, jeśli jest – uprać coś trzeba, sprzątnąć, śmiecie wynieść – i nie zmęczenie, ale znużenie zbija mnie z nóg. Zdrów będąc – zasypiam nie wiem kiedy i jak. I znowu jest godzina 6... Zostają popołudniowe soboty i cała niedziela. Tu wchodzi w paradę radio i niekończące się nigdy sprawy kolonijne. Zbieranie materiałów, pisanie tekstów, tłumaczenie na hiszpański – niedziela jest zagwożdżona od rana do późnej godziny, kiedy się powiedziało słuchaczom dobranoc".

Rozmowy z „matkami strachu"

Jerzy Giedroyc napisał do Straszewicza dziesiątki listów, zachęcając wszelkimi sposobami do pisania. Ten niechętnie i rzadko odpowiadał, mając chyba nadzieję, że redaktor „Kultury" wreszcie zrezygnuje z nagabywania go. W liście z 14 maja 1951 roku, ciągle z nadzieją, Giedroyc pisał: „Drogi Panie. Nie zniechęcony Pana upartym milczeniem, znów ponawiam prośbę o przerwanie milczenia i danie coś do druku »Kulturze«. Jak się było najwybitniejszym prozaikiem średniego pokolenia w Polsce, to to do czegoś zobowiązuje i nie uwierzę, że od czasów wojny nie ma Pan nic napisanego, choć orientuję się, że warunki, w jakich Pan jest zmuszony żyć, nie ułatwiają pracy pisarskiej".

W końcu Straszewicz dał się namówić i po pięciu latach, we wrześniu 1951 roku, zapowiedział Giedroyciowi przesłanie eseju pt. „Pióra w ukropie albo strach nami rządzi", który w roku następnym ukazał się w „Kulturze", wywołując dyskusję w środowisku emigracyjnych pisarzy. W tekście tym Straszewicz zajął się między innymi rozważaniami na temat powinności pisarza w sytuacji zagrożenia ojczyzny. Rozważania te przedstawił w formie groteski – rozmów z „matkami strachu", aczkolwiek temat był śmiertelnie (i to dosłownie) poważny. Straszewicza „matka strachu" mówi mu: „Wojny się lękaj i śmierci się bój – ale więcej się lękaj i więcej się bój aury tchórzostwa i wyrzutów sumienia, bo według polskich odwiecznych praw – każdy za życia wart tyle, ile pożytku z niego ojczyźnie". „Matka ferdydurkowskiego strachu", czyli Gombrowicza: „Geniu, Gieńku, Geniuszku, Geniuszu – świata cudzie – ty! Taki jak ty, Geniu, urodzić się potrafi raz na sto lat – i dobrze ci radzę, kiedy mówię: oszczędzaj siebie! Pilnuj siebie! [...]". Gombrowicz odebrał początkowo ten tekst jako obrazę, odpowiedział jednak polemiką w „Kulturze" w miarę przyjaźnie, pisząc, że Straszewicz nie szanuje swego talentu.

Śmiech przez łzy

Upór Giedroycia opłacił się, bo w lipcu 1952 roku Straszewicz posłał do „Kultury" obszerne opowiadanie pt. „Katedra Sandwiczów", a w roku następnym kolejne – „Kociołek na Ziemowita", które utworzyły dyptyk pt. „Turyści z bocianich gniazd", wydany w ekspresowym tempie w roku 1953 w Instytucie Literackim. Książka, będąca niestety ostatnim dziełem pisarza, odniosła niebywały sukces, została uznana za najlepszą polską powieść ostatnich lat. Był to niewątpliwie też sukces Jerzego Giedroycia.

Opowieść „Katedra Sandwiczów" rozgrywa się pod koniec lat 40. w południowoamerykańskim porcie. Jej bohaterami są polscy marynarze, tytułowi „turyści z bocianich gniazd", którzy nie chcą wracać do komunistycznej, okupowanej przez Sowietów Polski i wybierają wolność w egzotycznym kraju. Ich nowe życie jest pełne perypetii, przygód, awantur. Opowieść naszpikowana jest dowcipnymi, zabawnymi anegdotami, jednak po przeczytaniu ostatniej strony, po głębszej refleksji, nie mamy dobrego nastroju – uświadamiamy sobie, że jest to śmiech przez łzy. Marynarze, owi „turyści", chociaż doskonale się bawią w barach, tawernach por-

eprasa.pl 27191359ba

towych, to widać, że chcą w ten sposób zagłuszyć tęsknotę za krajem. Nie takiej wolności pragnęli, oczekiwali po wojnie, a już na pewno nie z daleka od rodzinnego domu. Relikwią stała się stara polska książka kucharska, z którą nie rozstaje się główny bohater, prosty marynarz, Kostek Napierski. Maria Danilewicz-Zielińska, emigracyjna krytyk literacki, nazwała ową książkę kucharską „ironicznym symbolem polskości", „esencją tęsknoty, osobliwym symbolem tradycji kulturalnych i obrony przed obcością świata".

Straszewicz wprowadził do opowieści „Panią z Kiosku", bierną, aczkolwiek życzliwą uczestniczkę owych zdarzeń – nietrudno zgadnąć, że jest to poniekąd *alter ego* pisarza. To wówczas, kiedy prowadził w porcie kiosk, poznał bliżej środowisko polskich marynarzy. Akcję opowiadania „Kociołek na Ziemowita" umieścił Straszewicz w stalinowskiej Polsce, a dokładniej w Gdańsku, w środowisku żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza i funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Jest to satyra na bierutowski reżim, tępotę funkcjonariuszy pilnujących porządku w porcie, ukazał m.in. ich szpiegomanię, nadmierną podejrzliwość. Straszewicz napisał opowieść o gdańskich ubekach i wopistach, nie znając ich z autopsji, a jedynie z opowiadań polskich marynarzy. Zdaniem wielu fachowców nie popełnił najmniejszych uchybień.

Za powieść „Turyści z bocianich gniazd" Straszewicz otrzymał m.in. nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

▶ Sowiecka dyskobolka i pięć kapeluszy

W roku 1954, po raz pierwszy po latach, odbył podróż do Europy. Podróż sfinansował mu Edward Berenbau, właściciel fabryki, w której pisarz pracował. Berenbau okazał się szczodrym mecenasem polskiej kultury, wspierał finansowo Straszewicza oraz paryską „Kulturę". W czasie trzymiesięcznego pobytu w Europie Straszewicz odwiedził Maison-Laffitte, Londyn, jednak gros czasu spędził w Monachium w redakcji Radia Wolna Europa. Tutaj nagrał kilkanaście audycji.

W maju 1955 roku dyrektor RWE, Jan Nowak Jeziorański, złożył Straszewiczowi propozycję stałej pracy. Pisarz przyjął propozycję. Ponownie pojawił się w Europie, w Monachium, jesienią 1956 roku. Akurat w dość gorącym okresie w Polsce. Podczas pracy w RWE dał się namówić do nagrania audycji autobiograficznej. Przygotował około dwustu audycji, były to komentarze z cyklu „Odwrotna strona medalu", słuchowiska, wywiady. Prowadził też codzienne audycje: „Panoramę dnia", „Fakty, wydarzenia, opinie". Na szczególną uwagę zasługują błyskotliwe komentarze „Odwrotna strona medalu", odnoszące się do aktualnych wydarzeń politycznych, kulturalnych w Polsce czy w Sowietach. Kapitalny jest m.in. tekst „O Ninie dyskobolce i o pięciu kapeluszach", opowiadający o tym, jak to Nina Ponomariowa, sowiecka dyskobolka, światowej sławy mistrzyni olimpijska, została przyłapana na kradzieży w sklepie w Londynie pięciu kapeluszy. Oczywiście Sowieci natychmiast ogłosili, że stali się ofiarą brudnej prowokacji. Sowiecka dyplomacja uczyniła z Niny punkt numer jeden zimnej wojny.

Bez wątpienia praca w radiu była wyczerpująca. O pracy pisarskiej, literackiej nie było już mowy – i z tego powodu bardzo się irytował Jerzy Giedroyc. Między redaktorem „Kultury" a pisarzem doszło nawet do ostrych zgrzytów.

W roku 1961 pojawiły się symptomy śmiertelnej choroby u Straszewicza – raka płuc, z czego pisarz nie zdawał sobie sprawy, bo nie informował go o tym lekarz. Na początku 1962 roku powrócił do Montevideo. Ciągle miał nadzieję na wyzdrowienie. Opiekowała się nim do końca Ewa Roman-Straszewicz, wdowa po konsulu w Montevideo, z którą ożenił się u schyłku życia. Pisarz zmarł 10 września 1963 roku.

O okolicznościach śmierci pisała Ewa Roman-Straszewicz: „Czesiu te dwa lata choroby był tak cudowny, tak idealnie cierpliwy, zawsze ze swoim pięknym poczuciem humoru. [...] Do ostatniej chwili lubił piękne rzeczy i uśmiechnięte twarze. [...] Pogorszenie przyszło w niedzielę, stało się to, o co doktor się bał. Krwotok wewnętrzny. [...] O 10 w nocy spytał się »czy ja czasem nie umieram« i nad ranem umarł. Byłam przy Czesiu cały czas, aż do końca, przez dobrą godzinę nie zorientowałam się, myślałam, że nareszcie spokojnie zasnął".

Czesław Straszewicz zmarł bezpotomnie. Jego grób na cmentarzu w Montevideo został po jakimś czasie zlikwidowany, bo nie był opłacany.

***

Czesław Straszewicz jawi się we wspomnieniach jako osoba wyjątkowej dobroci. Niezwykle czuła, wrażliwa, skromna. Józef Czapski napisał po śmierci Straszewicza, że był człowiekiem „mądrej, uśmiechniętej dobroci, w czasach kiedy dobroć nie jest modna, kiedy jesteśmy drapieżni, subtelnie perwersyjni, apokaliptycznie ponurzy, a przynajmniej zjadliwi ironicznie. [...] Niech Bóg najbardziej ludzkiemu z naszych pisarzy da Światło wieczne".

Jerzy Giedroyc cenił Straszewicza nie tylko jako ważnego pisarza: „[...] miał zasady moralne, którym dawał wyraz w swym postępowaniu: poszedł do wojska i zawsze uważał, że musi poświęcić swoje sprawy osobiste, gdy wymagają tego przyzwoitość czy patriotyzm. Pod tym względem wyróżniał się na tle naszych pisarzy".

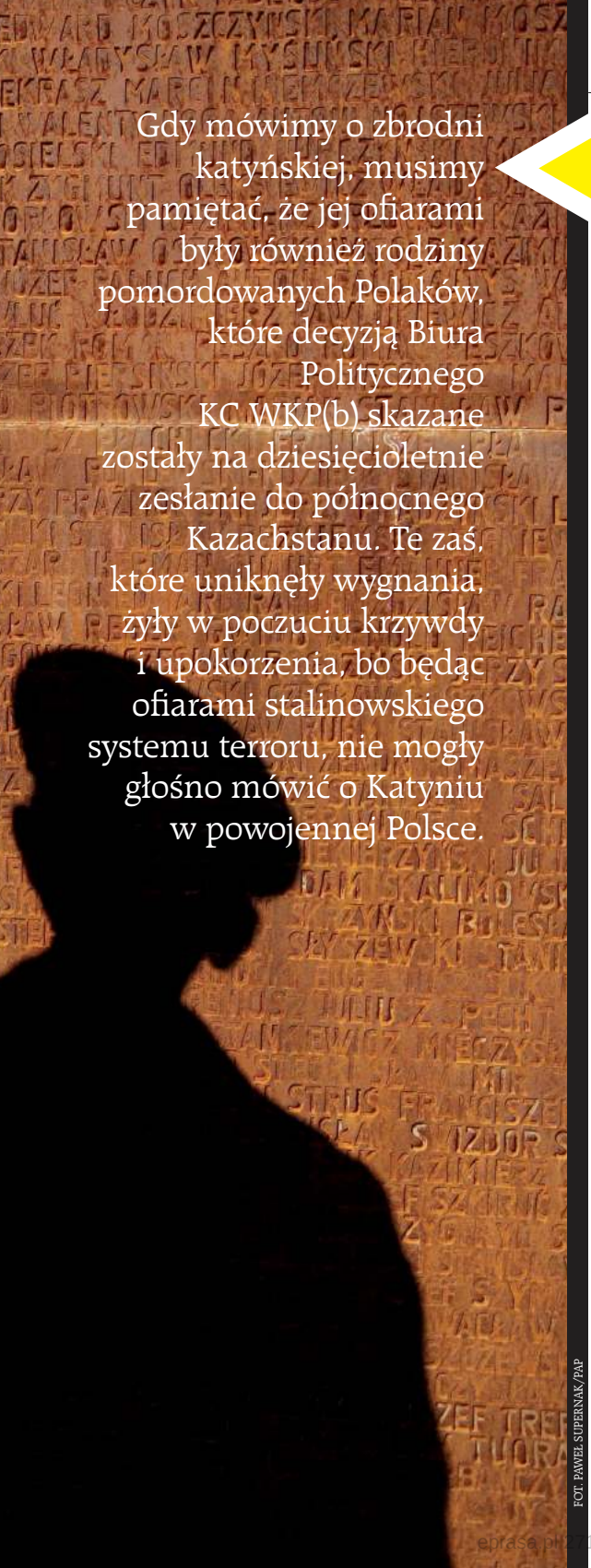
Dzięki Bogu, że Czesław Straszewicz wrócił do polskiej literatury w świetnie wydanych przez krakowskie „ARCANA" trzech tomach „Pism". Chwała za to pani prof. Violetcie Wejs-Milewskiej i panu prof. Maciejowi Urbanowskiemu. Czesław Straszewicz na pewno zasłużył sobie na tak piękne wydanie. ■

eprasa.pl 27191359ba



Agnieszka Kowalczyk

DZIECI KATYNIA – strażnicy pamięci



Gdy mówimy o zbrodni katyńskiej, musimy pamiętać, że jej ofiarami były również rodziny pomordowanych Polaków, które decyzją Biura Politycznego KC WKP(b) skazane zostały na dziesięcioletnie zesłanie do północnego Kazachstanu. Te zaś, które uniknęły wygnania, żyły w poczuciu krzywdy i upokorzenia, bo będąc ofiarami stalinowskiego systemu terroru, nie mogły głośno mówić o Katyniu w powojennej Polsce.

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

Po wybuchu II wojny światowej, 5 marca 1940 roku, najwyższe władze Związku Sowieckiego wydały wyrok śmierci na 25 700 Polaków przetrzymywanych w obozach dla jeńców wojennych oraz więzieniach zachodnich obwodów Ukrainy i Białorusi. Zostali straceni przez NKWD w Katyniu, Charkowie, Kalininie, Mińsku i Kijowie. Musieli zginąć, bo stanowili elitę polskiego narodu, która nie godziła się na podział Rzeczypospolitej między Hitlera i Stalina i za najwyższy cel przyjęła odrodzenie państwa polskiego.

Ofiarami zbrodni katyńskiej padli też bliscy pomordowanych. Straszny los wygnańców, tułaczy i niewolników sowieckiego systemu zgotowano żonom, dzieciom, rodzicom i rodzeństwu uwięzionych polskich oficerów, policjantów, więzienników, żandarmów, właścicieli ziemskich, fabrykantów i wysokich urzędników. Wyznaczona na 13 kwietnia 1940 roku deportacja do północnego Kazachstanu objęła około 61 tys. członków „rodzin katyńskich". W wielu wypadkach, jak zaznacza badacz tej zbrodni Andrzej Przewoźnik, „żony oficerów i policjantów słyszały od wdzierających się do ich domów NKWD-zistów, iż »jadą do mężów« (sobirajsia k mużu). Dla tysięcy deportowanych był to w istocie również wyrok śmierci".

Wiele spośród dzieci straconych oficerów wybrało los emigrantów próbujących odnaleźć własne miejsce w wielkim świecie, poza granicami ojczyzny. Katyń bez wątpienia wpłynął na ich życie, zmusił do walki o przetrwanie i własną przyszłość, ale też uczynił strażnikami pamięci domagającymi się sprawiedliwości dziejowej.

To im właśnie swą książkę „Dzieci Katynia" poświęciła Teresa Kaczorowska, która oddała w niej głos dwudziestu synom i córkom polskich oficerów zamordowanych w 1940 roku – „są wśród nich deportowani w głąb Rosji, wywiezieni do obozów zagłady i na przymusowe roboty, zarówno do Niemiec, jak i Rosji Sowieckiej. Są członkowie ruchu oporu: Szarych Szeregów, Związku Walki Zbrojnej, Armii Krajowej. Są uczestnicy zrywu narodowego, jakim było Powstanie Warszawskie. Dziś to wykonawcy różnych zawodów, z bogatym bagażem przeżyć, ale zawsze ze skazą Katynia".

▶ Polski chłopiec na perskiej pustyni

„Zgubiłem swój kraj, dom, rodziców. Czy człowiek może stracić więcej?" – zastanawia się Wiesław Adamczyk, Polak na amerykańskiej ziemi, chemik z wykształcenia, jeden z najlepszych brydżystów w Stanach Zjednoczonych. Gdy dotarła do niego Teresa Kaczorowska, mieszkał w dużym apartamencie w Chicago, niedaleko jeziora Michigan. Gdziekolwiek spojrzeć – książki, dokumenty, mapy, archiwa-

eprasa.pl/2191359ba

lia, zbiory kaset, płyt i filmów, z których większość opowiada o Katyniu.

Ojciec Wiesława, Jan Franciszek Adamczyk, był zawodowym oficerem. Podczas I wojny światowej służył w wojsku austriacko-węgierskim. W listopadzie 1918 roku wstąpił ochotniczo do Legionów Piłsudskiego, a w 1920 roku stawiał odważnie czoło bolszewikom. Gdy nastał pokój, wysłany został do miejscowości Sarny pod Łuckiem jako przedstawiciel Małopolskiego Sztabu Wojskowego do spraw osad żołnierskich. Tam też, na Wołyniu, poznał swą przyszłą żonę Annę, z którą doczekał się trójki dzieci – Jerzego, Zofii i Wiesława.

Kiedy Wiesław przypomina sobie dziecięce lata, chętnie opowiada o dawnych wigiliach i choinkach, o wielkanocnym stole, o pobliskich lasach i ojcowskich polowaniach, o oglądanych w gabinecie taty mundurach, szablach i karabinach oraz o wiszących na ścianach portretach Piłsudskiego, Kościuszki i Pułaskiego.

Ten jego piękny, dziecięcy świat zniszczyła wojna. „Wiesiu, kocham cię. Ale muszę jechać do wojska. Zajmuj się matką..." – tak brzmiały ostatnie słowa ojca. Nigdy więcej go już nie zobaczył. Potem przychodziły jeszcze listy z obozu jenieckiego w Starobielsku. W połowie maja 1940 roku w środku nocy do domu Adamczyków wtargnęło NKWD. Zostali aresztowani i załadowani na ciężarówkę jako „polska burżuazja i wrogowie ludu". A wszystko to działo się „pod osłoną nocy, bagnetów i karabinów, w blasku płonących polskich książek". Trafili do więzienia w Równem, gdzie po trzech tygodniach spędzonych na gołej podłodze zostali załadowani do bydlęcych wagonów i wysłani na wysiedlenie do północno-wschodniego Kazachstanu, w okolice miasta Kustanaj, przy granicy z Syberią. Ziemia ta była zasiedlona głównie przez Kazachów, którzy zamieszkiwali w nędznych lepiankach bez okien i podłóg. Panował tam zabójczy dla Polaków klimat – upalne lata, mroźne zimy, podczas których można było paść ofiarą burany, czyli syberyjskiej burzy śnieżnej „zmieniającej ludzi w białe, martwe bałwany".

Od razu też zaprzęgnięto przybyszy do ciężkich robót – Jerzy pracował przy prymitywnym wyrobie cegły, Anna z córką – w sowchozie, a mały Wiesław zbierał „kiziaki", czyli bydlęce odchody przeznaczone na opał. Szansa na wydostanie się z „nieludzkiej ziemi" pojawiła się wraz z atakiem Niemców na Sowiety w czerwcu 1941 roku. Wtedy to 114 tys. Polaków (w tym 25 tys. cywili) opuściło ZSRS wraz z wojskiem generała Władysława Andersa, które wymaszerowało ku Persji. Wśród uciekinierów była Anna Adamczyk z dwójką dzieci, pokonująca dwutygodniową morderczą drogę przez Kirgizję, Uzbekistan i Turkmenistan. „Jeszcze czuję ten ścisk w pociągu, straszliwy upał i smród – wspominał Wiesław. – Widzę chorych ludzi. Niektórzy pasażerowie mieli dyzenterię i załatwiali się pod siebie. Na mijanych peronach stacji kolejowych widziałem wiele schorowanych, leżących pokotem dzieci, mniej więcej w moim wieku. Wygłodzonych, z cieknącą z oczu ropą, z zapadniętymi klatkami piersiowymi. Ogolonych. Po ich nogach łaziło robactwo".

I tak dotarli w końcu do turkmeńskiego portu Krasnowodsk, gdzie w szpitalu odnaleźli umierającego z głodu Jurka. Matka uratowała go, pojąc rosołem ze zdobytej nadludzkim sposobem kury. W dalszą podróż do Persji musieli wyruszyć bez Jerzego, którego nie było na liście pasażerów okrętu „Kaganowicz". Na perskim brzegu wszyscy ciężko się rozchorowali. Wiesław stracił przytomność i został zabrany do szpitala. Gdy się ocknął, okazało się, że obóz przeniesiony został do Teheranu! Dziewięcioletni chłopiec został więc w Persji zupełnie sam. Wkrótce jednak szczęśliwie odnalazł siostrę Zofię, a ta z kolei matkę, ale... w godzinę po jej śmierci. Zostały po niej buty, złote kolczyki i ślubna obrączka. Osierocone dzieci pogrzebały ją na cmentarzu w Teheranie 18 października 1942 roku.

W tym egzotycznym zakątku świata z „tysiącem nietoperzy i skorpionów" zbłąkane rodzeństwo doznało uczucia wielkiej radości, gdy na ich drodze stanęła niespodziewanie siostrzenica ojca – Janka, która pracowała jako pielęgniarka w generalnym amerykańskim szpitalu wojennym pod Ahwaz, i odnalazła sieroty przez Czerwony Krzyż, czyniąc wszystko, by trafiły do Ameryki. Tymczasem nieustająca w poszukiwaniach ojca Zofia usłyszała od polskich oficerów w brytyjskiej ambasadzie w Teheranie, że Jan Adamczyk został zamordowany przez Sowietów, a jego nazwisko figuruje na liście śmierci.

Po dziesięciu latach tułaczki, podczas której Wiesław przebył dwanaście krajów i trzy kontynenty, w listopadzie 1949 roku wyruszył do Nowego Świata. Swoje miejsce na ziemi odnalazł ostatecznie w Chicago, w domu siostry ojca, Marii. W Ameryce otworzyły się przed nim nowe perspektywy. Ukończył gimnazjum w Wisconsin, zdobył uniwersyteckie dyplomy z dziedziny chemii i filozofii, przeszedł nawet kurs oficerski, uzyskując stopień porucznika. Pracował przez 38 lat jako chemik w znanej firmie w Hammond, otworzył własne biuro podatkowe i został mistrzem brydża.

O swojej przeszłości i o zbrodni katyńskiej nigdy jednak nie zapomniał. Został członkiem Rodziny Katyńskiej w Chicago. W 1998 roku wraz z synem Georgem udał się na pielgrzymkę do Katynia i wziął udział w realizacji filmu dokumentalnego BBC w reżyserii londyńskiej dziennikarki Olenki Frenkiel jako jego główny bohater. Sam zaś napisał książkę autobiograficzną „Kiedy Bóg odwrócił wzrok" z dedykacją dla ojca i matki oraz dla „wszystkich dumnych Polaków, którzy przeżyli nieludzką ziemię, z nadzieją, że ich dzieci mogą żyć w wolności".

eprasa.pl 27191359ba

„Jesteśmy jak ostatni Mohikanie”

W Chicago znalazł się także pochodzący z Torunia Edward Kamiński, którego ojciec Marcin walczył z bolszewikami w 1920 roku, a za swoje czyny bojowe odznaczony został orderem Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych. Cały dziecięcy świat Edwarda zachwiał się w posadach w 1939 roku, gdy ojciec przywdział żołnierski mundur i rozpoczął służbę w polskim kontrwywiadzie oraz gdy chora na raka matka zmarła zaraz po poważnej operacji. Przed świętami Bożego Narodzenia do trzynastoletniego Edwarda i jego starszego rodzeństwa przyszedł list od ojca – jeńca obozu w Kozielsku, który w ZSRS przebywał od 18 września. W 1943 roku natomiast dotarła do niego wstrząsająca wiadomość o odkryciu przez Niemców grobów w Katyniu. Wśród ekshumowanych było ciało kapitana Marcina Kamińskiego. Znaleziono przy nim legitymację i toruński bilet tramwajowy.

Edward musiał być dzielny, zwłaszcza wtedy, gdy w 1944 roku Niemcy wcielili go siłą do swojej jednostki wojskowej i wysłali na front, a także potem, gdy wzięty został do amerykańskiej niewoli. Odzyskawszy wolność, trafił do północnej Szkocji i wstąpił tam do Wojska Polskiego, służąc w 1. Korpusie pod dowództwem gen. Kopańskiego. Jako pierwszy Polak w 1951 roku zdobył dyplom Instytutu Laboratoriów Medycznych przy uniwersytecie w Edynburgu. Ostatecznie swą życiową przystań odnalazł w Chicago, gdzie został wykładowcą w Northwestern University Medical and Dental Schools of Chicago. Pracował dzień i noc, by utrzymać rodzinę. W 1979 roku uzyskał tytuł profesora w dziedzinie nauk chemicznych. Przez 41 lat wykładał patologię, toksykologię i naukę o żywieniu.

Zawsze jednak pamiętał o swych polskich korzeniach i o tym, co wydarzyło się w Katyniu. W Chicago założył organizację Rodzina Katyńska, upamiętniającą ofiary sowieckiego ludobójstwa. „Jesteśmy jak ostatni Mohikanie – mówił Teresie Kaczorowskiej – ale chcemy jeszcze pouczyć tutejszych Polaków oraz Amerykanów o sprawie katyńskiej. To nasz główny cel”. Do miejsca kaźni swojego ojca udał się w 1989 roku. Po lesie katyńskim błądził przez cztery dni, wskrzeszając w pamięci postać swego rodzica – „człowieka sumiennego, kochającego, oddanego rodzinie i pracy”. Owocem tej peregrynacji było stworzenie dokumentalnego filmu o zbrodni katyńskiej z muzyką Józefa Czajkowskiego „Dla syberyjskich zesłańców” – dzieła opowiadającego historię „intelektualnego Holocaustu elit młodego kraju”. Profesor Kamiński twierdził, że „przez całe wieki Rosja i Niemcy starały się nie dopuścić do intelektualnego rozwoju narodu polskiego. A ten pomimo to trwa i nie da się nigdy wymazać z mapy świata”.

Poetka pamięta

Już jako mała dziewczynka Alicja Grabowska pisała wiersze, a swemu młodszemu bratu opowiadała piękne baśnie. W 1961 roku zadebiutowała jako poetka w „Almanachu młodych”, a osiem lat później wydała swój pierwszy autorski tomik „Z kręgu”. Była już wtedy absolwentką filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Spod jej pióra wyszło dziesięć zbiorków poetyckich, a jej utwory doczekały się tłumaczenia na wiele języków.

Szczególne znaczenie miał dla niej wiersz „Pamięci ojca” (1968), który krążył po kraju anonimowo w odpisach. Poetka pyta w nim: „Jak ciebie wskrzesić ojcze / gdy plaster zbyt opasuje wargi / Można tylko liczyć na łaskawość historii i / Czas, który obróci się kołem”. Tekst, w którym przywoływała zamordowanego w lesie katyńskim Kazimierza Romana Grabowskiego, zamieszczony został później w antologii poezji o Katyniu „Krzyk o świcie”.

Twarzy ojca nie zapamiętała. Gdy szedł na wojnę, miała niecałe dwa lata. Kazimierz Grabowski z wykształcenia był psychologiem i pedagogiem, także pisał wiersze. Pracował w warszawskim Instytucie Głuchoniemych i Ociemniałych. Wyruszając we wrześniu 1939 roku w bój o Polskę, miał 38 lat i powołany został do 21. Pułku Piechoty pod dowództwem płk. Sosabowskiego. Walczył dzielnie w obronie Warszawy i Siedlec, aż w końcu trafił do sowieckiej niewoli i wywieziony został do obozu w Kozielsku.

Do rodziny Grabowskich dotarł tylko jeden jego list, pisany 26 listopada 1939 roku. Donosił, że żyje, jest zdrów, tęskni i martwi się o najbliższych, wierząc, że znów będą wszyscy razem. List ten towarzyszył Alicji w najtrudniejszych momentach życia – także w czasie Powstania Warszawskiego, gdy ich kamienica została zbombardowana, a ona uniknęła śmierci pod gruzami, oraz wtedy, gdy Niemcy gnali ją wraz z mamą i bratem przez płonącą stolicę do stacji Warszawa Zachodnia. „Cudem nie wywieziono nas wtedy z Pruszkowa do Oświęcimia. Niemiecka pielęgniarka chyba zlitowała się nad małymi dziećmi i skierowała nas do innego transportu” – wspominała po latach.

Aby otrzymać rentę po mężu, pani Grabowska musiała oddać komunistycznym władzom najdroższe pamiątki, jakie po nim pozostały. Kiedy to z bólem serca uczyniła, otrzymała pismo, że renta się jej nie należy, gdyż mąż zmarł śmiercią naturalną 9 maja 1946 roku, co było wierutnym kłamstwem. Dopiero z końcem lat 80., po długich poszukiwaniach w piwnicznych archiwach sądu grodzieńskiego, Alicja dostała teczkę z aktami Kazimierza Grabowskiego. „Wśród innych dokumentów znalazłam w teczce ojcowski list z Katynia i jego pożółkłą fotografię – wyznawała. – Zobaczyłam

eprasa.pl 27191359ba

ją po raz pierwszy i miałam wrażenie, że ojciec nagle ożył, jest obok mnie".

Po ujawnieniu listy katyńskiej dowiedziała się, że został on wywieziony na śmierć pierwszym transportem i rozstrzelany 3 kwietnia 1940 roku. Na miejsce kaźni polskich oficerów pojechała po raz pierwszy z ekipą Andrzeja Wajdy. Najpierw zobaczyła Kozielsk z największą cerkwią monastyru, w której był więziony. Wchodząc do środka, zemdlała. Pomocy udzielił jej Jerzy, syn zamordowanego przez Sowietów gen. Smorawińskiego. Podczas tej katyńskiej pielgrzymki z inspiracji Andrzeja Wajdy młody reżyser Marcel Łoziński stworzył film dokumentalny „Las katyński". Alicja zaś, chłonąc atmosferę tego miejsca, oparta o pień sosny okaleczonej przez kule, myślała o śmierci swego ojca. Zastanawiała się, co czuł, zanim padł ostatni strzał. Pod wpływem doznanych przeżyć zrodziły się jej „Impresje katyńskie", które poświęciła zamordowanemu. „Drzewa długo szumiały / by wykrzyczeć tę zbrodnię / Słońce / raną zachodzi / ku pamięci / POTOMNYCH".

Między Katyniem a Ponarami

Ród Wasilewskich, z którego wywodził się urodzony w Wilnie 1938 roku Józef, osiadł w XVI stuleciu na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej, by strzec ich przed najeźdźcami. Ojciec Józefa, noszący to samo imię co syn, powędrował z rodzinnej wsi Wisztoki (dzisiejsza Białoruś) do Wilna, by tam studiować prawo na Uniwersytecie Stefana Batorego i jako instruktor uczyć sztuki strzeleckiej młodych ludzi należących do „Strzelca", którzy niebawem u boku Józefa Piłsudskiego wyruszyć mieli do walki o Niepodległą. Gdy jego syn miał zaledwie rok, podporucznik Wasilewski poszedł na wojnę, z której nie dane mu było już nigdy powrócić. Schwytany do niewoli przez Sowietów, trafił do obozu jenieckiego w Starobielsku. Rodzina otrzymała od niego tyko jeden jedyny list, w którym przesyłał żonie Helenie i synkowi najserdeczniejsze pozdrowienia. 18 marca 1940 roku Helena otrzymała informację z Genewy, że „adresat z obozu ujechał".

Gdy na Litwie zaczął szaleć sowiecki terror i coraz większym przerażeniem napawały wywózki wileńskich inteligentów i właścicieli ziemskich na Syberię, Helena uciekła z Wilna z małym Józefem i zaszyła się u rodziny swej siostry w Ponarach, które choć nad wyraz urokliwe, stały się jednak miejscem przeklętym dla zgładzonych tam blisko 100 tys. ludzi.

Okazało się, że gdy Sowieci zajęli Litwę, postanowili zbudować na wzgórzach ponarskich podziemne magazyny paliwa lotniczego. Kopali więc gigantyczne doły wysadzane kamieniem, mające od 15 do 20 metrów średnicy, o głębokości 8 metrów. Cały teren opasali dwumetrowym płotem i drutem kolczastym, a okolicznych mieszkańców zapędzili do pracy przy budowie drogi prowadzącej do tych potwornie wielkich jam. Plany pokrzyżowali im Niemcy, którzy opanowali Wileńszczyznę w czerwcu 1941 roku. „Hitlerowcy wykorzystali robotę bolszewików – opowiadał Józef Wasilewski. – Wybrali bazę na miejsce masowych egzekucji. W ciągu trzech lat, od 1941 do 1944 roku, zamordowano tam ponad sto tysięcy osób, w tym około siedemdziesięciu tysięcy Żydów dowożonych z całej Litwy, a nawet z Francji, a także żołnierzy AK, wileńską inteligencję, Cyganów, litewskich komunistów".

Z relacji Józefa Wasilewskiego wynika, że w Ponarach jednego dnia zabijano od 2 do 3 tys. ludzi. Dziennie taki „strzelec ponarski" był gotów zgładzić około 100 przeznaczonych do stracenia. Ofiary zwożono nocami i mordowano w ciągu dnia. Aby ukryć dowody zbrodni przed nadejściem Sowietów, Niemcy w grudniu 1943 roku rozpoczęli palenie ciał wyciąganych z dołów śmierci. Do wykonania tego zadania wyznaczyli 82 młodych Żydów. Kilku spośród nich uciekło, ujawniając prawdę o przerażającej zbrodni.

Dom wujostwa położony był dość blisko miejsca egzekucji. Każdego niemal dnia dochodziły stamtąd strzały. Niekiedy łuski nabojów dziurawiły dach. Zdarzało się, że przeznaczeni do stracenia próbowali od śmierci ratować się ucieczką. Józef doskonale pamięta krakanie wron i kruków, krążących całymi chmarami nad zakazaną bazą. W końcu jego rodzina została przez Niemców wyrzucona z domu. Okupanci uczynili z niego siedzibę dla swoich katów-oficerów nadzorujących masowe mordy. Wypędzeni przebrali się za kolejarzy i znaleźli bezpieczny przytułek u sąsiada, gościnnego Polaka Ciesiula, mieszkającego w pobliżu, po przeciwnej stronie torów kolejowych. Schronienie u niego miał również wileński dziennikarz Kazimierz Sakowicz z żoną. Potajemnie pisał o wszystkim, co działo się w Ponarach, a swoje notatki ukrywał w butelkach i zakopywał w pobliskim lesie. Zapiski przetrwały wojnę i ujrzały światło dzienne jako żywe świadectwo wielkiej zbrodni. Sam zaś Sakowicz, niedługo po wyzwoleniu, zginął w tajemniczych okolicznościach w Puszczy Rudnickiej.

Do domu siostry Helena powróciła z Józefem dopiero w 1944 roku. Wkrótce potem do Ponar zaczęły przybywać międzynarodowe komisje w celu zbadania niemieckich zbrodni. Dramat rozgrywający się na Wileńszczyźnie nie miał jednak końca. W latach 1945–1947 w wyniku nasilających się represji NKWD i postanowień jałtańskich tysiące mieszkańców tej ziemi postanowiło wyjechać do Polski i osiedlić się na odzyskanych, poniemieckich terenach. Na przełomie lat 40. i 50. Ponary przeistoczone zostały w wojenne miasteczko, a ową naznaczoną śmiercią tysięcy bazę prze-

eprasa.pl 27191359ba

robiono na koszary dla lotników. „Reflektory myśliwców – wspomina Wasilewski – wykorzystywało też NKWD podczas zsyłek na Sybir [...]. Oświetlały naszą stację kolejową, kiedy nocami ładowano ludzi do bydlęcych wagonów. Znowu my i ponarski las musieliśmy patrzeć na wielką krzywdę, wysłuchiwać krzyków rozpaczy. To była tragedia! Kogo wywożono w głąb Rosji? A wszystkich! Kto był mądrzejszy, bogatszy, większy gospodarz albo był w AK, piastował jakiś urząd. Centralne władze Związku Radzieckiego zrzucały nawet ulotki z nakazem, ile trzeba jeszcze zesłać na Sybir. To były czasy! Zgroza!".

Helena Wasilewska planowała wraz z synem wyjechać na Ziemie Odzyskane i tam rozpocząć nowe życie. Spakowała już nawet walizki, ale w ostatniej chwili zrezygnowała. Nie potrafiła rozstać się z rodzinną ziemią. W Ponarach przetrwała z Józefem tylko dlatego, że nikt nie odkrył ich prawdziwej tożsamości. „Ponary – piękne miejsce [...] wyjątkowo strasznego dzieciństwa – są dziś wielkim cmentarzyskiem. Miejscem zbrodni i ludzkiej krzywdy".

▶ Katyńska córka w grobach śmierci

„Warunki pracy były nieprawdopodobnie ciężkie. Trudno je sobie wyobrazić, a cóż dopiero opisać. W głębokich wykopach, często wypełnionych trupią cieczą, która lała się na nas, spadały kawałki ciał..." – wspominała Ewa Gruner-Żarnoch, lekarka ze Szczecina, która wzięła udział w pracach ekshumacyjnych w Piatichatkach pod Charkowem w latach 1995–1996. Po ponad pół wieku od dokonania zbrodni katyńskiej wydobywała z dołów śmierci szczątki polskich oficerów zamordowanych przez NKWD w charkowskim więzieniu. Także jej ojcu – Julianowi Grunerowi – Sowieci odebrali życie w bestialski sposób. A był on przecież wszechstronnym i pełnym pasji człowiekiem, cenionym lekarzem, twórcą oddziału pediatrycznego szpitala w Kaliszu, pierwszym wykładowcą wychowania fizycznego na Uniwersytecie Warszawskim. Do tego wybitnym sportowcem, który zasłynął jako mistrz i wicemistrz w skoku wzwyż i rzucie oszczepem. Nade wszystko kochał swoją żonę Marię i jedyną córeczkę, z którymi musiał się rozstać w chwili wybuchu wojny. Ewa miała wtedy pięć lat. Przez całe życie tęskniła za nim i nigdy nie straciła wiary, że go w końcu odnajdzie.

W czasie wojennej apokalipsy schroniła się z matką u jej brata w Tomaszowie Mazowieckim, potem obie uciekły do Warszawy, po czym wróciły do Kalisza, gdzie dowiedziały się, że są na liście wywozowej na roboty do Niemiec. „Już wtedy były spisy! – wyjaśnia Ewa. – Niemcy wymieniali się z Sowietami informacjami o tym, kogo należy zniszczyć. [...] Niemcy i Sowieci współpracowali ze sobą, przekazywali dane, nazwiska".

Na tułaczym szlaku matki i córki kolejnym miejscem schronienia była Częstochowa, gdzie razem przetrwały w biedzie całą wojnę. Jednak i tu przypomniał sobie o nich wróg. „Pewnego dnia mamę zabrało gestapo – wspominała Ewa. – Wróciła po kilku dniach w stanie ostrej depresji, z urojeniami prześladowczymi. Normalną do tej pory młodą kobietę musiano przywiązać do łóżka, bo chciała skakać przez okno. Pamiętam, że potem przychodził do niej lekarz psychiatra. Mama już nigdy nie wróciła do zdrowia". Ewa nie poddała się jednak losowi. Ukończyła Akademię Medyczną w Szczecinie, uzyskując w 1955 roku dyplom lekarski.

Nigdy nie ustała w poszukiwaniach ojca, ale całą prawdę o nim poznała dopiero w 1990 roku, odnajdując jego nazwisko na listach śmierci. Po wielu latach przyszło jej stanąć w miejscu kaźni Juliana, na ziemi, która pochłonęła szczątki tysięcy zgładzonych Polaków. „Aby dotrzeć do szczątków – tłumaczyła – trzeba było przelać trzysta, czterysta wiader trupiej, gęstej, o straszliwym zapachu cieczy. Dopiero potem wyjąć szczątki, podać je z wykopu na górę; tam były dokładnie myte, czyszczone, liczone, opisywane i pakowane. Fetor był taki, że tamtejszy sanepid chciał przerwać ekshumację". Mimo iż była chirurgiem i anestezjologiem, i dobrze wiedziała, czym jest śmierć, na miejscu zbrodni pod Charkowem przeżyła głębokie załamanie psychiczne. Nie mogła pozostać tam ani chwili dłużej. „Nigdy nie byłam z ojcem tak blisko, jak podczas tej zaciekłej pracy ekshumacyjnej – wyznawała. – Cały czas miałam wrażenie, że dotykam jego ciała, ziemi zmieszanej właśnie z jego krwią. Przy wydobywaniu kolejnych zwłok myślałam: może to on! A przy oczyszczaniu przedmiotów czułam, że wraz z gliną oblepiającą każdy drobiazg spłukuję jego prochy".

Ewa Gruner nigdy nie uwolniła się od piętna zbrodni katyńskiej. Przez wiele lat stała na czele Szczecińskiego Stowarzyszenia Rodzina Katyńska jako strażniczka pamięci o pomordowanych. Rosyjskie i niemieckie zbrodnie miały dla niej tylko jedno wytłumaczenie – dążenie do zniszczenia polskiego narodu poprzez eksterminację jego elit: „Obydwa sąsiadujące z Rzeczpospolitą kraje pragnęły tego samego: pozbawienia polskiego narodu przywódców, ludzi oświeconych i inteligentnych. Sąsiedzi chcieli nasz kraj »odgłowić« i »odmóżdżyć«, aby Polska już nigdy się nie odrodziła". Dzieci Katynia nie dały się jednak unicestwić swym wrogom. Do tej pory walczą o prawdę historyczną, będąc jej orędownikami we współczesnym świecie, który stanął przed nowym widmem totalitaryzmu. ■

eprasa.pl 27191359ba

Piotr Lisiewicz

Gdy analizujemy dziś przyczyny, dla których obecna opozycja najchętniej podzieliłaby Polskę na landy i od początków III RP działa przeciwko interesom narodowym, warto przypomnieć fragmenty broszury Romana Dmowskiego „Nasz patriotyzm". „Polityka narodowa w głównych swoich zasadach nie może być ani poznańską, ani galicyjską, ani warszawską – musi ona być ogólnopolską" – pisał Dmowski. A przy okazji ci, którzy powtarzają nieprawdziwie, jakoby Dmowski był prorosyjski, mogą poznać jego bardzo trafne i w niemałej części aktualne dziś oceny polityki Moskwy.

Roman Dmowski

Nasz patriotyzm

Polityka narodowa w głównych swoich zasadach nie może być ani poznańską, ani galicyjską, ani warszawską – musi ona być ogólnopolską. Odpowiednio do położenia politycznego każdej dzielnicy, musimy uznawać rozmaity stosunek do rządów zaborczych, musimy się godzić na rozmaite odpowiadające warunkom miejscowym środki działania, ale nie zmienia to w niczym tej ogólnej zasady, według której każdy czyn polityczny Polaka, bez względu na to, gdzie jest dokonywany i przeciw komu skierowany, musi mieć na widoku interesy całego narodu.

Zgodnie z tą zasadą deputowany jakiegoś okręgu wyborczego do parlamentu przede wszystkim winien reprezentować interesy całego narodu, nie zaś swego powiatu. Jeżeli posłowie nasi w ciałach prawodawczych niemieckich i austriackich za mało dają dowodów, że uważają się za posłów całej Polski, że mają na względzie zawsze interesy całego narodu polskiego, nie świadczy to, iż zasada nasza jest niewłaściwa, ale że sami owi posłowie są raczej patriotami galicyjskimi i poznańskimi, niż polskimi, o ile w ogóle zasługują na miano patriotów.

Taż sama zasada obowiązuje wszelką organizację polityczną, wszelką partię, wszelkie stronnictwo, bez względu na pole ich działalności. [...]

Tłumaczenia rosyjskiego rządu

W praktyce politycznej rzetelne stanowisko narodowe sprowadza się do obrony interesów tych klas, których podniesienie i dobrobyt leży w interesie narodu, a których nędza i ciemnota zgubę społeczeństwu gotują. Patriotyzm nie nakazuje jedynie konserwowania narodu, ale czuwanie nad możliwie szybkim i prawidłowym sił jego rozwojem. Równomierne popieranie interesów wszystkich klas – to pusty frazes, którym wojują ci, co tworzą programy patriotyczne przy biurku lub przy kądzieli, a nie biorą się do czynu. [...]

Mówimy tu naturalnie tylko o interesach klasowych. Obok nich istnieje cała sfera interesów ogólnonarodowych, o które chodzi wszystkim członkom społeczeństwa, bez względu na ich klasowe stanowisko. Ucisk językowy, religijny, brak elementarnych swobód obywatelskich itp., dotyka interesów każdego obywatela bez wyjątku. [...]

Rząd rosyjski rozmaitymi czasy rozmaicie usprawiedliwiał swoje gwałty na Polsce. Dowodząc, że ziemie litewskie i ruskie stanowią odwieczną jedność z moskiewskim rdzeniem państwa carów, dziką działalność swą w tych ziemiach nazywał wyzwalaniem swego ludu z pod jarzma polskiego. Gnębiąc szlachtę w etnograficznej Polsce, podawał się za obrońcę uciśnionych ekonomicznie i politycznie włościan. Wieszanie i masowe wysyłanie na Sybir najlepszych sił społeczeństwa nazywało się uzdrawianiem narodu z chorobliwych marzeń, gwałty na unitach – przyjmowaniem na łono swego kościoła braci, których niegdyś przemocą oderwano i którzy teraz dobrowolnie powracają. [...]

Przy bezczelności, którą się rząd carski zawsze odznaczał, podobne wykręty nie były rzeczą trudną, musiała jednak nadejść chwila, kiedy nawet ta oficjalna logika przestała wystarczać. Ta chwila już nadeszła, dziś bowiem gospodarka rosyjska w Polsce wolna jest prawie od wszelkiego wysiłku utrzymania usprawiedliwiających pozorów. Dziś rząd przestaje się kryć, że celem jego usiłowań jest zlanie Polaków z Rosją pod każdym względem, czyli, inaczej mówiąc, wytępienie narodowości polskiej. [...]

eprasa.pl 27191359ba

Wynaradawianie

Na pierwszym planie zwrócimy uwagę na walkę z językiem polskim. Usunięcie tego języka ze wszystkich urzędów; całkowite niemal wyparcie go ze szkół; zakazy mówienia po polsku uczniom w szkołach, służbie na kolejach, nawet w bufetach kolejowych; dzisiejsza dążność do narzucenia języka rosyjskiego nawet siostrom miłosierdzia i lekarzom w szpitalach, wprowadzenie stopniowe języka państwowego do administracji przedsiębiorstw prywatnych; forsowanie teatru rosyjskiego w Warszawie; prześladowanie prywatnego nauczania w języku polskim; zakaz wydawania na Litwie i Rusi pism, urządzania przedstawień teatralnych w języku nierosyjskim, a nawet znane powszechnie na Litwie zakazy mówienia w sklepach i na ulicach po polsku – wszystko to świadczy, że rząd rosyjski nie cofa się przed żadnymi środkami w swej dążności do całkowitego wytępienia mowy polskiej.

W parze z tą dążnością idzie walka z katolicyzmem, posiłkująca się rozmaitymi środkami, poczynając od przymusowego chrzczenia na prawosławie dzieci małżeństw mieszanych, a kończąc na zabudowywaniu Polski cerkwiami prawosławnymi, bez względu na szczupłą ilość mieszkańców tego wyznania. [...]

Walka z kulturą polską, czyli wynaradawianie, to jedna tylko strona rosyjskiej względem nas polityki. Na niej polityka ta się nie kończy. Wynaradawiana Polska nie byłaby jeszcze całkiem podobną do Rosji – pozostałaby różnica stopy ogólno–cywilizacyjnej. Naród nasz, który ma za sobą tysiąc lat kultury, który jest narodem europejskim – wyprzedza na wielką odległość Rosję, co zresztą sami Rosjanie powszechnie przyznają. Wobec tego występuje druga strona polityki rosyjskiej, mianowicie dążenie do powstrzymania nas w rozwoju cywilizacyjnym, do zatamowania u nas wszelkiego postępu. [...]

Kara za samodzielność polityczną

Naród, który przed stu laty tworzył takie konstytucje jak Ustawa Trzeciego Maja, ma za całe prawo bagnet i nahajkę [...]. Jednym słowem naród dojrzały politycznie żyje w warunkach, w których wszechwładnym panem jest policjant lub żołdak. Nikt nie zaprzeczy, że w bezprawiu takim człowiek zatraca najcenniejsze zdobycze cywilizacji – poczucie godności ludzkiej i praw obywatelskich, tym samem zaś zbliża się do ogólnego typu poddanych cara rosyjskiego.

Najważniejsze czynniki cywilizacyjne – stowarzyszenia, prasa i literatura, coraz bardziej krępowane są u nas w swym działaniu. W granicach ziem polskich rząd obecny nie zatwierdził ustawy ani jednego towarzystwa naukowego, z wyjątkiem tych, które, założone przez Rosjan, służą do celów rusyfikacyjnych. Nie dozwolono nawet założyć towarzystwa gimnastycznego. Na jedne pisma rząd nie udziela koncesji, innym daje ją z wielkim trudem i przy ogromnych kosztach, inne wreszcie zamyka bez żadnego widocznego powodu (ostatni środek stosowany jest szczególnie do pism prowincjonalnych). Ażeby powstrzymać rozwój czytelnictwa, nie pozwala ustanawiać niskiej ceny prenumeracyjnej. Zakres przedmiotów, o których wolno pisać, coraz się zmniejsza: pisma nasze doszły już do tego, że poza okrojoną należycie polityką zagraniczną, wolno im pisać tylko o balach, koncertach i o wypadkach na ulicy, nb. nie o wszystkich – kiedy bowiem oficer strzela do przechodnia z rewolweru, to można się dowiedzieć o tym tylko od świadków, kiedy zaś kozak morduje rodzinę sklepikarzy dla rabunku, to w pismach kozak nazywa się „jakąś osobą". Gdy przyjeżdża do Warszawy teatr rosyjski, cenzura wskazuje, jak długie mają być w gazetach recenzje i co w nich ma być napisane. Jednym słowem, prasa nasza i literatura, krępowana z dnia na dzień, doszła do tego, że może się obracać jedynie w sferze zjawisk najmniejszej wagi, i to z ograniczoną nader swobodą. Wszelki objaw samodzielności politycznej spotyka okrutna kara. Odbija się to szczególnie na klasie robotniczej, która nader szybko wzrasta u nas liczebnie i podnosi się umysłowo. Robotnicy nasi, porównując swe położenie z położeniem robotników w całej Europie, widzą, jak wielu warunków brak im do normalnego rozwoju społecznego. Domagają się więc praw, które by im ten rozwój umożliwiły. Co otrzymują, mogą nam opowiedzieć zbryzgane ich krwią ulice Żyrardowa i Łodzi...

WALKA Z KULTURĄ POLSKĄ, CZYLI WYNARADAWIANIE, TO JEDNA TYLKO STRONA ROSYJSKIEJ WZGLĘDEM NAS POLITYKI. NA NIEJ POLITYKA TA SIĘ NIE KOŃCZY.

Oto ogólne rysy działalności cywilizacyjnej rządu rosyjskiego w naszym kraju. ■

_____

Broszura wydana bezimiennie w cyklu wydawnictw „Z dzisiejszej doby", w kwietniu 1893 roku.
Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl 27191359ba

REWA, CZYLI POCZUĆ SIĘ JAK MOJŻESZ



FOT. STEFAN CZERNIECKI



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Niewielu wie, że dzięki nietypowym prądom ukształtowała się w tym miejscu najprawdziwsza podwodna mielizna. Wąskie piaszczyste pasmo, przez które co bardziej odważni mogą dziś niczym Mojżesz przeprawiać się na drugą stronę. Idąc przez sam środek Zatoki Puckiej. Mając wodę po prawej, jak i po lewej swej stronie.



W zależności o poziomu wód, pływów i układu wiatrów Cypel Rewski odsłania nam coraz to inny fragment nadbrzeża.

Mężczyzna w czarnym kostiumie przypominającym strój płetwonurka mocuje się z dwoma linkami. Są napięte do granic możliwości. Na ich końcu widać kolorowy żagiel, który nadymany wiejącym mocno wiatrem ciągnie mężczyznę za sobą. Trudno oszacować, kto tu nad kim panuje: mężczyzna nad swoim przerośniętym „latawcem" czy raczej ów żagiel nad biegnącym za nim małym ludzikiem. Wiatr jest już na tyle silny, że mężczyzna co rusz musi się poddać i podbiec kolejne kilka metrów w stronę uciekającego mu latawca. Przesuwając się w ten sposób o kolejne kilka kroków w stronę unoszącego się wysoko nad ziemią pędnika za kilka metrów niechybnie wpadnie do wody. „Spuszczaj go, spuszczaj! Niżej!" – instruuje go mocniej opalony mężczyzna w słonecznych okularach i drobną siwą bródką zdobiącą sam koniuszek twarzy.

Zawodowy strój z licznymi wyszywkami i logami sponsorów wskazywałby, że to jakiś instruktor. Mężczyzna z niepokojem spogląda na walczącego z latawcem kursanta. Jeszcze chwila i wpadnie do wody. Problem w tym, że mężczyzna nie zdążył jeszcze założyć deski, a to chyba między innym na tym polega ten sport.

W tej chwili na cyplu znajduje się kilkadziesiąt innych osób. Wszyscy w podobnych strojach, wszyscy z podobnie napiętymi linkami, na których końcach unoszą się pstrokate latawce. Widać ich już z daleka. Jeszcze zanim miniemy pierwsze zabudowania niewielkiej Rewy. Z tej perspektywy przypominają bardziej stado kolorowych mew dryfujących wspólnie gdzieś nad jakąś bliżej nieokreśloną padliną, położoną najpewniej gdzieś blisko nadbrzeża. Wszak żadna z nich nie wypływa póki co nigdzie dalej w morze.

Mówią, że jeśli zaczynać przygodę z kitesurfingiem, to właśnie tutaj. W Rewie. Na niewielkim cyplu. Łatwo tu trafić, prowadzą do niego wszystkie znaki w miasteczku, począwszy od wielkiego krzyża znajdującego się na jego początku.

Po zaślubinach

Przed dwudziestoma laty wznieśli go mieszkańcy okolicznej gminy Kosakowo. Chcieli upamiętnić w ten sposób ofiary morza. W przeszłości w tym miejscu chowano zmarłych, którzy umierali na wszelakie zarazy. W 1922 roku u stóp stojącego w tym miejscu krzyża miała miejsce msza, w której uczestniczył sam gen. Józef Haller. Dwa lata wcześniej, 10 lutego 1920 roku, dokonywał on w oddalonym stąd 10 kilometrów na północ Pucku symbolicznych zaślubin Polski z morzem. W samej zaś Rewie biało-czerwoną banderę na swoich statkach pod-

FOT. ANDRZEJ KOCIUBA

eprasa.pl 27191359ba



Według historyków to właśnie Rewa stała się zalążkiem polskiej floty odrodzonej Rzeczypospolitej.

nieśli ich armatorzy. I chociaż żegluga kaszubska istniała w rejonie Zatoki Puckiej już w okresie przedrozbiorowym, tych dziesięć żaglowych jednostek towarowych stało się wtenczas zalążkiem polskiej floty odrodzonej Rzeczypospolitej. Rewskie szkuty odegrały więc role pierwszych statków handlowych II RP, tuż po tym, jak jej północne granice oparły się wreszcie o tak upragniony brzeg Bałtyku. A wszystko to działo się na tej właśnie lagunie, na którą dziś z taką estymą spogląda potężny mosiężny krzyż.

Dziś do krzyża, którego ramiona stanowią okrętowe kotwice, prowadzi Aleja Zasłużonych Ludzi Morza. Stanowią ją wmurowywane co roku w chodniku kolejne, upodobnione do róży wiatrów, tablice upamiętniające daną postać. Pierwszymi uhonorowanymi byli wspomniany już gen. Józef Haller, Klemens Długi, tutejszy armator rybacki, oraz Jan Leszczyński, wybitny wychowawca kadr morskich. Od tamtej pory każdego roku mieszkańcy umieszczają w Alei kolejne trzy tablice upamiętniające osoby związane z morzem.

▶ Cypel Rewski

Mężczyźnie wreszcie udaje się okiełznać latawcowego potwora. Zdusza go, ściągając linkami na piaszczysty cypel. Za chwilkę usłyszy od instruktora litanię błędów, jakie zdążył popełnić podczas kolejnej próby zwodowania się. Starszy instruktor symuluje przy tym rękami kolejne ruchy, jakie powinny pomóc adeptowi w następnych próbach. Uczący się kitesurfingu mężczyzna z delikatną zazdrością spogląda przez chwilę na wodę. Właśnie blisko brzegu tuż obok przepływa jeden z uczestników kitesurfingowej zabawy. Deska, na której stoi, zdaje się momentami unosić pół metra nad wodę. Potężne podmuchy wiatru napędzają jego latawiec, który wyciąga go coraz odważniej w górę. Mężczyzna, gdy jest w powietrzu, pozwala sobie nawet na kilka popisowych figur. Po chwili ponownie ląduje na wodzie. Obserwujący to wszystko kursant niemo zwiesza głowę. Doskonale zdaje sobie sprawę, jak daleko mu jeszcze do takiej pewności i swobody ruchów. Nie daje jednak za wygraną. Otrzepuje się z piachu, na którym przysiadł przez ostatnich kilka chwil, słuchając instrukcji nauczyciela. I rusza ponownie na brzeg.

Ten jest dziś zupełnie obły. Pomimo silnego wiatru przybój nie jest zanadto agresywny, woda zatoki delikatnie obmywa kolejne łachy piasku. Jakby obawiając się, czy nie uczyni mu w ten sposób jakiejś krzywdy. Jakby chciała tylko pomasować. Pogilgotać. Popieścić. I zaraz wrócić z powrotem na otwarte wody.

To Cypel Rewski. Jedno z najbardziej charakterystycznych miejsc polskiego wybrzeża. Długa wąska ła-

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 27191359ba



Jeśli ktoś chce zacząć swoją przygodę z kitesurfingiem, nie znajdzie lepszego miejsca. Tu wieje prawie zawsze.

cha piachu wbijająca się niczym klin pomiędzy chłodne wody zatoki. Plaża robiąca wrażenie na każdym, kto choćby na chwilę postawił na niej stopę.

Polskie Malediwy

Mówią, że tu zawsze mocno wieje. Dzisiejsza wizyta tylko potwierdza ten pogląd, wieje rzeczywiście solidnie. Można odnieść wrażenie, że podmuchy wiatru przekształcają w tym miejscu spokojne w pozostałej części zatoki wody w spienione grzywacze, które i tak lada moment znowu się wypłaszczą, by nie nadwątlić i tak kruchego wąskiego pasemka cypla.

To właśnie tutaj Zatoka Pucka zmienia swoją nazwę. Z ulokowanej na wschodzie od cypla zatoki przekształci się teraz w Zalew Pucki. Oba zbiorniki stanowią już według geografów część Morza Bałtyckiego, nie zaś Zatoki Gdańskiej. Zatem oficjalnie możemy w tym miejscu orzec, że znajdujemy się nad morzem. Choć od otwartych wód Bałtyku dzieli nas jeszcze dobre 12 kilometrów w linii prostej.

Niektórzy mówią, że to „polskie Malediwy". Owszem, pewnie trzeba mieć w sobie nieco dziecięcej wyobraźni, aby zobaczyć w tym miejscu charakterystyczne – miejscami wąskie na 50 metrów szerokości – rajskie wyspy Hankede czy Gauken'di, co w niczym nie zmienia faktu, że cały odcinek Rybitwiej Mielizny, w którego skład wchodzi Cypel Rewski, zasługuje na naszą uwagę jak mało który fragment polskiego wybrzeża.

Ukształtowała go sama natura. Naukowcy i historycy twierdzą, że człowiek nie maczał w tym palców. Długi na 600 metrów i szeroki na około 30 metrów cypel jest bez wątpienia najsłynniejszą częścią Rybitwiej Mielizny. Najsłynniejszą, bo najdłużej będąca ponad wodą. Pozostała

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 27191359ba



część mielizny będzie już raczej ukryta pod falami, ale nie za głęboko, zwykle nie dalej jak półtora metra. Przy pomyślnych warunkach wodnych w okolicach zatopionego wraku ORP Kujawiak na nowo wyjrzy na powierzchnię i poprowadzi chętnych aż na Półwysep Helski.

Marsz Śledzia

Wielbiciele sportów nietypowych co roku biorą udział w niebanalnym, trwającym cyklicznie już od 2002 roku, evencie pod tytułem „Marsz Śledzia". Cała impreza polega na przejściu z Kuźnicy (Półwysep Helski) do znajdującej się po drugie stronie zatoki Rewy. Po wodzie. W pierwszych imprezach brało udział nie więcej jak pięć osób. Od kilku lat liczba ta oscyluje w okolicach setki. Chętnych zwykle jest więcej, nie każdy jednak zostanie dopuszczony.

Organizatorzy bardzo dbają o kwestie bezpieczeństwa. Zgłoszeni muszą dobrze pływać. Zdać podstawowe testy: choćby próby wyjścia z wody na podstawioną szalupę ratunkową. Na morzu nie ma żartów. Każdy z uczestników musi podczas pokonywania trasy posiadać piankę i kapok. Niektórym zalecane jest zabranie ze sobą boi ratunkowej. Dla lepszej komunikacji i zachowania pełniejszych warunków kontroli nad uczestnikami, wszyscy biorący udział w marszu dzieleni są na 10 grup. Dzięki temu jeden ratownik ma pod opieką nie więcej jak 10 osób. Tenże ratownik całą trasę będzie płynął łódką bądź motorówką zaraz obok uczestników Marszu Śledzia. Dodatkowo każdy z uczestników ma przy sobie gwizdek, którym szybko może zakomunikować problem i wezwać pomoc.

Idea Marszu Śledzia jest bardzo prosta. Chodzi o pokonanie wpław – w znakomitej większości brodząc po piaszczystym dnie – trzynastokilometrowego odcinka między wsią Chałupy na Mierzei Helskiej a wspominanym Cyplem Rewskim.

Od wiary, przez Mojżesza, po walkę o życie

Organizatorzy nadali nawet nazwy konkretnym etapom Marszu. Pierwszy z nich to etap „Wiary". Jak tłumaczą sami organizatorzy: „wchodzimy do wody i stopniowo oddalamy się od brzegu Półwyspu Helskiego. Jest coraz głębiej. Po około 700 metrach zaczynamy płynąć – przed nami widać tylko wodę.... Wierzymy, że zaraz znowu będziemy mieli grunt pod stopami, choć nic na to nie wskazuje.". Po ukończeniu etapu „Wiara" przychodzi pora na drugi, jednocześnie jeden z najbardziej ekscytujących na całej trasie marszu: to etap „Syndromu Mojżesza". Oddajmy ponownie głos organizatorom. „Idziemy w wodzie po kolana, a potem po wąskim pasku suchej ziemi na przez środek Zatoki, jak biblijny Mojżesz, »mając mur z wody po prawej i lewej stronie«. Na tym etapie podziwiamy osobliwości natury oraz możemy zobaczyć wystające na tym odcinku wraki, w tym wrak okrętu podwodnego ORP Kujawiak". Po dwóch pierwszych etapach przychodzi pora na krótką przerwę. Ten etap nazywany jest „Próbą". Dlaczego? Słuchajmy dalej wyjaśnień organizatora: „Każdy uczestnik Marszu Śledzia na trasie zjada specjalnie przyrządzonego śledzia (dla pokrzepienia) oraz wypija typowo marynarski napój. Wszystko po to, aby móc stawić czoła ostatniemu trudnemu etapowi marszu". Tym ostatnim etapem jest najciekawiej brzmiący etap czwarty. Zatytułowany „Byle do brzegu". Jak tłumaczą organizatorzy marszu, „ten etap to walka o życie, tu uczestnicy muszą pokonać sztuczny przekop w mieliznach tzw. głębinkę o szerokości od 700 m do 1400 m (w zależności od stanu wody i układu płycizn w danym roku). Pokona-

eprasa.pl 27191359ba



Kiteserferów w końcowej części cypla jakoś nie widać. Zamiast nich jest tu pewna młoda para. Przyszła na swoją sesję zdjęciową. Widać też pewnego jegomościa prowadzącego rower.

my ten odcinek w wodzie ciągnieni na linie za kutrem rybackim (po 10 os. na każdy kuter) lub na pokładach łodzi. W edycjach extreme (jesień, zima i wiosna), gdzie uczestnikami są osoby zawodowo związane z morzem, ten odcinek jest pokonywany wpław".

Widok rosnących w oczach domków Rewy będzie dla uczestników balsamem kojącym zmęczenie. I przywracającym nadzieję. Po około 5 godzinach wyjdą na piaszczysty wąski wał: Cypel Rewski. Na szczęście, by dostać się akurat na niego, nie trzeba przechodzić etapu „Byle do brzegu". Tu wystarczą zdrowe nogi. I troszkę chęci, aby wybrać się na północ Polski. Na polskie Malediwy.

▶ Czekając aż inni odejdą

Gdy docieram na cypel do Marszu Śledzi jest jeszcze cały tydzień. Póki co nie widać więc jeszcze żadnych uczestników. Nie ma też najmniejszych śladów świadczących o przygotowaniach do imprezy. Są za to kursanci kitesurfingu, zajmujący zdecydowanie największą część cypla. Uruchamiając dron, trzeba więc nie tylko uważać na to, by nie przekroczyć granicy strefy pobliskiego lotniska Port Lotniczy Gdynia-Kosakowo, lecz także na to, by nie naruszyć żadnego z latających nad naszymi głowami latawców. Niełatwe wyzwanie.

Niełatwe, acz wykonalne. Zwłaszcza że im dalej w stronę końca zwężającego się coraz bardziej cypla, tym ludzi uprawiających ten piękny sport jakby coraz mniej. Najwidoczniej szerokość mierzei w tej części cypla, która charakteryzuje się już naprawdę wąskim gardłem, nie sprzyja skutecznemu treningowi. Niedoświadczony kitesurfer nie zdążyłby prawdopodobnie spojrzeć w niebo, gdzie znajduje się jego latawiec, a już znalazłby się w wodzie. Kiteserferów zatem póki co w tej końcowej części cypla nie widać. Zamiast nich jest tu natomiast pewna młoda para. Przyszła na swoją sesję zdjęciową. Widać też pewnego jegomościa prowadzącego rower. Idzie niespiesznie po utwardzonym morskim przybojem fragmencie brzegu regularnie podmywanym przez przybój fali. Jest sam. I najwidoczniej czeka aż wszyscy zainteresowani – rodziny z dziećmi, zakochani, turyści, fotografowie – już sobie stąd pójdą. Wtedy zostanie sam.

Tylko on i ten koniec cypla. Obmywany przez fale. Zanurzający się coraz głębiej w wodę. Wreszcie pod nią znikający. I prowadzący przed siebie. Wzdłuż podwodnej Rybitwiej Mielizny. Aż na Mierzeję Helską. ■

FOT. STEFAN CZERNIECKI

eprasa.pl 27191359ba

Marek Kalinowski

Lekcja, która przychodzi w porę

Krążek „But here we are" okazuje się najciekawszą płytą w dyskografii Foo Fighters. Album ma energię debiutu, ale dźwiga też bagaż doświadczeń zespołu. Życie napisało scenariusz, po którym nie sposób już wrócić do beztroskiej zabawy.

To przyszło w okamgnieniu, wynikło z niczego, zdarzyło się tak szybko, a potem już było po wszystkim" – tak Dave Grohl rozpoczyna najnowszy album Foo Fighters pod znaczącym tytułem „But here we are", album, który mógł się już nigdy nie ukazać. Bo choć każda nowa płyta Foo Fighters przywracała wiarę w uzdrawiającą moc rock'n'rolla, to tym razem potrzebna była moc wyjątkowa. Zaledwie rok temu, w trakcie trasy koncertowej po Ameryce Południowej, zmarł utalentowany perkusista i siła napędowa zespołu Taylor Hawkins, muzyk, który grał z Foo Fighters od niemal ćwierć wieku! Fani mocnych, gitarowych dźwięków trwali więc w żalu i niepewności – co dalej z zespołem? Na szczęście wrócili. Z pewnością nie tacy sami, ale jednak wrócili! „Czekam tylko na ratunek, przywróć mnie do życia!" – śpiewa dalej Dave Grohl w otwierającym płytę utworze „Rescued". I po raz kolejny lider Foo Fighters znajduje upragniony ratunek w muzyce.



Foo Fighters, BUT HERE WE ARE, Roswell Records

Pisząc o najnowszej płycie Foo Fighters, nie sposób bowiem nie wrócić myślami do początku historii zespołu. Grupa powstała po rozpadzie legendarnej Nirvany, w której Dave Grohl grał na perkusji. Wówczas, po śmierci Kurta Cobaina, trudno było sobie wyobrazić muzyków tak oryginalnego zespołu w nowych rolach. Tymczasem Dave Grohl udowodnił, że jest to absolutnie możliwe, a zmiana była radykalna. Już nie z perkusją, lecz z gitarą i na wokalu zbudował zespół emanujący kompletnie inną energią. Foo Fighters, w przeciwieństwie do Nirvany, raczej nie wpłynęli na losy muzyki rockowej. Jednak w czystej radości, świeżego, gitarowego grania potrafili porwać stadiony!

Po śmierci Hawkinsa, Dave Grohl po raz kolejny musi zbudować swój muzyczny świat od nowa. I po raz kolejny wychodzi zwycięsko z największych tarapatów. „Zapisane w gwiazdach, ramię w ramię, idziemy zawsze" – śpiewa w tytułowej piosence. Zbiera muzyczną rodzinę, sam zastępuje Hawkinsa na perkusji i nagrywają znakomitą płytę. Są świetni zarówno w porywającym „Hearing Voices", jak i w lirycznym „Show Me How", którą Grohl zaśpiewał w duecie ze swoją najstarszą córką Violet. A do tego kapitalny refren „Nothing At All", tak bardzo przypominający stare utwory Nirvany, i wieńczący dzieło, chwytający za serce „Rest".

To, co najlepsze w „But Here We Are", wydarza się właśnie na koniec. Jak bardzo zmienił się ten zespół, widać nie tylko w „Rest", lecz przede wszystkim w pełnym zwrotów, dziesięciominutowym utworze „The Teacher". Łagodne dźwięki gitar przechodzą w coraz ostrzejsze granie, by znów odpłynąć w kreowane wyobraźnią pejzaże. „Pokazałeś mi, jak się martwić, nigdy nie pokazałeś, jak się pożegnać. Każdy rozdział w życiu to lekcja, która przychodzi w porę".

„But here we are" jest najlepszą płytą w obszernej dyskografii Foo Fighters, bo życie sprawiło, że jest prawdziwsza niż każda inna. „But here we are" ma energię debiutu, ale dodatkowo ma też coś więcej – dźwiga bagaż doświadczeń jej twórców. I oprócz doskonałego grania, otrzymujemy kompozycje i przemyślenia, których zwyczajnie brakowało wcześniej. ■

eprasa.pl 27191359ba

Z MIŁOŚCI DO SZTUKI, CZYLIO CZŁOWIEKU, KTÓRY W BIAŁY DZIEŃ RABOWAŁ EUROPEJSKIE MUZEA

Magdalena Łysiak



„To była wielka pokusa! Niedomknięta oszklona gablota. W środku broń, pistolety z XVII i XVIII wieku. [...] Włożyłem rękę i w jednej chwili najpiękniejsza sztuka, pistolet skałkowy, znalazła się w moim plecaku. [...] Ta łatwa, zbyt łatwa, kradzież na ostatnim piętrze niewielkiego miejskiego muzeum w Thann, w Alzacji, w środku lata 1994 roku, była pierwszą z długiej serii moich kradzieży. [...] Z czasem miałem stać się profesjonalistą w rabowaniu..." – tak zaczynają się „Wyznania złodzieja dzieł sztuki" Stéphane'a Breitwiesera, człowieka, który odkrył, że w wielu budynkach muzealnych zabezpieczenia właściwie nie istnieją. Co było potem? Siedem lat grasowania w muzeach Szwajcarii, Niemiec, Francji, Belgii i Holandii, ponad kilkaset skradzionych dzieł, dwa pokoje na poddaszu wypełnione łupami i coraz większe poczucie bezkarności.

eprasa.pl 27191359ba

Breitwieser nie był zwykłym złodziejaszkiem, rabował nie dla korzyści, lecz z chęci posiadania, ogarnięty manią zbieractwa i pożądania pięknych przedmiotów. Mówił, że nienawidzi seryjnej produkcji i kocha stare rzemiosło. No i nieustannie się uczył – pochłaniał albumy o sztuce czy specjalistyczne książki. Jego „biblią" stał się czternastotomowy leksykon malarzy, rzeźbiarzy, rysowników i grafików. Znał go niemal na pamięć. Trzeba przyznać, że miał oko i wyczucie – często rozpoznawał rękę mistrza w dziele, które w muzeum wisiało jako anonimowe, ale jeszcze częściej z wściekłością stwierdzał, że w zbiorach szacownych instytucji znajduje się dużo kiepskich podróbek i falsyfikatów. To ostatnie denerwowało go najbardziej, bo kraść bezwartościowych rzeczy nie miał zamiaru.

Pechowy Wagner

18 lutego 2011 roku Breitwieser jedzie nad szwajcarskie jezioro Czterech Kantonów do Muzeum Transportu. Już wcześniej narzekał na wysokie ceny biletów w różnych miejscach, które zwiedzał i często... okradał. Teraz także nie jest zadowolony, uznaje, że nie będzie płacił, gdyż do zamknięcia zostało niewiele czasu. Rezygnuje z oglądania zbiorów, ale w ostatniej chwili widzi ulotkę Domu Wagnera, który znajduje się po przeciwległej stronie jeziora. W tym miejscu powstały wielkie opery mistrza „Zygfryd", „Tristan i Izolda", tu zaczął komponować swoje opus magnum – „Zmierzch bogów". Tu odbyła się premiera „Zygfryda" w obecności Ludwika II, króla Bawarii. I tu zgromadzono spory zbiór pamiątek po wielkim muzyku. Stéphane samotnie przechodzi przez kolejne pokoje, by dotrzeć do ostatniego, gdzie w gablocie leży XVI-wieczny róg myśliwski (kupiony w 1584 roku przez radców norymberskich ma herb miasta na pasku i jest wart 65 tys. euro). Podnosi wieko i wyciąga instrument. Zawiesi go potem w swoim pokoju, ale po kilku dniach... wróci pod dom Wagnera. Będzie kręcił się po parku i spoglądał w stronę budynku. Jakby nie wiedział, że cała okolica żyje informacją o kradzieży. Dziwne zachowanie zauważa spacerujący emeryt, który powiadamia pracowników placówki. Kasjerka rozpoznaje mężczyznę – sprzedawała mu bilet owego feralnego dnia. Policja dostaje zawiadomienie, a muzealnicy ruszają ku Breitwieserowi, by go złapać. Ten nie stawia oporu. Podczas pierwszego przesłuchania przyzna się do kradzieży i powie: „Żałuję tego, co zrobiłem". Zadeklaruje też natychmiastowe oddanie rogu. Policjanci uznają, że młody człowiek faktycznie nie wiedział, co robi, są skłonni zaufać jego słowom. Jednak w ostatniej chwili jeden z nich sprawdza rejestr sądowy i wyskakuje mu informacja, że podejrzany był już raz przyłapany na kradzieży. Kilka lat wcześniej ukradł martwą naturę w Lucernie. Dostał wówczas wyrok w zawieszeniu. Szwajcarzy wolą zatrzymać Stéphane'a Breitwiesera w areszcie. I wówczas następuje katastrofa.

Matka wpada w szał

Złodziej napisał list do matki, w którym poprosił o przywiezienie rogu, co miało być podstawą do zwolnienia z aresztu. Ta, na wieść o tym, że jej syn ma problemy z prawem, wpadła w złość. Co się stało potem, wiemy z jej zeznań złożonych na policji. Miała wszystkiego dość, ale chciała zobaczyć ten feralny przedmiot. Włamała się do, jak twierdziła, zawsze zamkniętych pokoików Stéphane'a i wtedy dopiero ogarnął ją prawdziwy amok – róg, owszem, był, ale oba pomieszczenia przypominały raczej skarbiec Ali Baby niż zwykłe miejsce przebywania młodego człowieka. Wszędzie były dzieła sztuki: broń, figurki, obrazy, rzeźby, a nawet ogromne tapiserie. Mireille bez cienia namysłu postanowiła wszystko... zniszczyć. Według jej późniejszych zeznań porąbała, pocięła i porozbijała drogocenne przedmioty. Nie oszczędziła też markowych ubrań, które namiętnie kupował Stéphane. Szczątki spakowała do kilkunastu worków na śmieci i kartonowych pudeł. Worki wyrzuciła do kontenerów, z pudłami pojechała w nocy nad kanał Rodan-Ren i wrzuciła je do wody. Mieszkanie wróciło do normy, a kobieta poczuła spokój. Kilka dni później do drzwi zapukali policjanci z nakazem przeszukania domu. Niczego nie znaleźli, a gdy spytali o róg z Muzeum Wagnera, matka złodzieja ze szczerością wyznała, że wrzuciła go do wody. Na nabrzeżu znaleziono urwany pasek, na którym wisiał instrument, ale jego samego już nie było. Funkcjonariusze wrócili do siebie, a Breitwieser, przeklinając swą rodzicielkę, pozostał w więzieniu. Nie musiał czekać długo na rozwój wydarzeń.

Skarb w wodzie

Wkrótce pewien starszy Alzatczyk, który spacerował z żoną nad kanałem łączącym Ren z Rodanem, zauważył błyszczący przedmiot w wodzie, a potem następny i następny. Wyłowił cztery złote kielichy i odniósł znalezisko na policję. Natychmiast nad wodę udała się ekipa poszukiwawcza. W krótkim czasie

FOT. CHRISTOPHE KARABA/PAP/EPA

eprasa.pl 27191359ba

na rozłożonej na brzegu folii leżało niemal 100 przedmiotów: m.in. stare figurki, monstrancje, puzderka, halabarda, hełm rycerski, miecze, zegarki, muszkiety, średniowieczny inkunabuł, resztki witraża, naczynia srebrne i złote. Żandarmi patrzyli zdumieni, nie bardzo wiedząc, z czym mają do czynienia. Jak potem przyznali z rozbrajającą szczerością – dla nich wyglądało to jak kupa pogiętego złomu! Ale ponieważ niektóre przedmioty miały własnościowe naklejki, zabrano wszystko na komisariat w Ernstein i zamknięto w jednej z cel. Dopiero kilka tygodni później ze Strasburga przyjechał prokurator – Pascal Schulz, który przytomnie wziął ze sobą cenionego antykwariusza Jacquesa Bastiana. Weszli do pomieszczenia i dosłownie ich zatkało – mimo widocznych zniszczeń mieli przed sobą piękny zbiór mogący stanowić ozdobę niejednego muzeum. Wstępna wycena oscylowała wokół... 45 mln euro! Natychmiast przewieziono skarb do muzealnych magazynów w Colmar i zgłoszono znaleziska do bazy OCBC – Centralnego Biura do Walki z Nielegalnym Obrotem Skradzionymi Dobrami Kultury w Paryżu. Po kolei rozpoznawane są kolejne przedmioty: zegarek Michau skradziono w Muzeum Historycznym i Archeologicznym w Orleanie, cztery zegarki z Muzeum w Bruges, klepsydrę – z Muzeum Miejskiego w Vendôme, kubki pochodziły z Wissemburga, naczynie stołowe z Pontarlier. Prowadzący śledztwo układają drobne puzzle: we wszystkich przypadkach kradzieży dokonywano w godzinach otwarcia placówek, zwykle były to małe, źle nadzorowane muzea. Powtarza się opis młodego mężczyzny, któremu czasem towarzyszy kobieta, ale na razie nikt nie trafia na trop Stéphane'a, siedzącego spokojnie w szwajcarskim areszcie za zabranie wagnerowskiego rogu. Jednak zbliża się chwila, gdy przyjedzie do niego Alexandre von der Mühll, policjant badający trop kradzieży sreber z Muzeum Sztuki Użytkowej Alexis Forel w Morges i z zamków w La Sarraz i Aigle. Von der Mühll ma przeczucie, że to jest osoba, której szuka, i nie myli się.

„Kolekcjoner" i „konserwator"

W lutym 2002 roku Breitwieser zostaje przeniesiony do więzienia w Bléchette, a Alexandre rozpoczyna przesłuchania podejrzanego. Powoli, bardzo powoli zdobywa jego zaufanie. Tygodniami rozmawiają o sztuce, policjant przynosi gazety poświęcone rynkowi antykwarycznemu, ale jednocześnie zachowuje czujność i jest cierpliwy. Stéphane wreszcie pęka – opisuje swoje kradzieże, jedna po drugiej. Deklaruje, że wszystko odda, myśląc, że go wówczas wypuszczą, nie wie jeszcze, że matka zniszczyła wszystko. „Zacząłem »kolekcjonować« w 1995 roku" – mówi. Chwali się swą fenomenalną pamięcią: wie, ile śrubek odkręcił i w której gablocie, jakie próby złotnicze były na naczyniu, o której godzinie zdjął obraz z gwoździa i jak wyglądała kasjerka. Twierdzi, że często do kradzieży namawiała go jego dziewczyna Anne-Catherine, pielęgniarka, i że czuł ogromne emocje, kradnąc upatrzony przedmiot. „Działałem pod wpływem zamiłowania do sztuki" – to jedno zdanie powtarza się jak mantra. I jeszcze coś – „Personelu muzeów one [dzieła sztuki – przyp. M.Ł.] nic nie obchodziły. U mnie przynajmniej te okazy były podziwiane i wielbione".

Już na początku swej kariery „kolekcjonera" Breitwieser kupił narzędzie zbrodni – scyzoryk Victorinox Swiss Champ XXLT. Tym posiadającym siedemdziesiąt dwie funkcje przyrządem dokonywał większości swych przestępstw, choć w wielu przypadkach wystarczyły tylko ręce. Tak było choćby w Muzeum Sztuk Pięknych w Bois, gdzie ukradł cenny obraz Corneilla de Lyon z 1536 roku przedstawiający Magdalenę de Valois królową Szkocji, w Bayeux wziął „Godzinki" – modlitewnik z 1460 roku, z Muzeum Sztuk Pięknych w Chartres wyniósł dzieło Bouchera, z muzeum w Antwerpii – Pietera Bruegla II, z Montpellier rysunek Antoine'a Watteau. Podczas aukcji zorganizowanej przez Sotheby's na zamku Neues w Schwarzwaldzie, wśród tłumu oglądającego przedmioty, podniósł szklany klosz i zabrał portret księżniczki de Clèves autorstwa Lucasa Cranacha Starszego. Wiele ze swych zdobyczy poddawał „konserwacji", utyskując przy tym na muzealnych konserwatorów. Efekty tych prac, przeprowadzanych w oparciu o „Podręcznik małego konserwatora" (!), były dramatyczne: Madonnę z Dombach oszlifował papierem ściernym, pozbawiając ją cudownej polichromii (podobno zrobił to dla matki, która skarżyła się na przykry zapach), obluzowane podobrazie i ramy załatwiał klejem szybkoschnącym, „retuszował" i podmalowywał obrazy „przywracając im piękne kolory". Niektóre przedmioty wyrzucił, bo „przestały mu się podobać" lub uznał je za nic niewarte.

To moje królestwo

Kiedy podczas śledztwa Breitwieser wyznał, że jego matka „mniej więcej wiedziała, co on robi", policja aresztowała także ją. Mireille szybko przyznała się do zniszczenia kolekcji, krzycząc: „W jego pokoju był cholerny bałagan". Powiedziała też, „że to tylko skład staroci, a ona nie zna się na sztuce". Jednak w rzeczywistości była wykształcona, pochodziła z rodziny ar-

eprasa.pl 27191359ba

tystów, wraz z byłym mężem, ojcem Stèphane'a, chodzili do muzeów i zwiedzali zamki. Zresztą poznali się w trakcie jednej z aukcji. Ich syn wzrastał w domu wypełnionym pięknymi przedmiotami. Kiedy rodzice się rozstali, musiał zamieszkać z matką. „Ojciec wszystko zabrał, proszę sobie wyobrazić, że musieliśmy kupić meble z Ikei!" – żalił się śledczym. Szybko do opowieści dołączył też swą dziewczynę, która według niego pomagała mu w przestępstwach. Zatrzymano więc także ją. Anne-Catherine najpierw utrzymywała, że nie jeździła ze Stèphanem, ale zeznania świadków mówiły co innego. Przeszła więc na twierdzenia, że nic nie wiedziała o kradzieżach i tylko zwiedzali wspólnie, i że narzeczony ją bił. Z opowieści obu kobiet wyłonił się obraz prawdziwego potwora, ale ich zeznania były także pełne sprzeczności, obie uwielbiały drogie ubrania, obie kłamały, kręcił także Breitwieser. Policjanci gubili się w tych sprzecznych wypowiedziach, nie wiadomo, kto w tej rodzinie był katem, a kto ofiarą. Wreszcie dotarli do ojca, Rolanda Breitwiesera, który wyglądał na człowieka najbardziej zrównoważonego. Udostępnił on kasetę wideo ze świąt, na której sfilmowane zostały pokoje syna – na ścianach wisiały dzieła sztuki, Stèphane chwalił się nimi, a obok pojawiła się jego dziewczyna, mówiąc z dumą: „To moje królestwo".

▶ Mógłbym udzielać rad muzeom

W 2003 roku rozpoczął się proces w Szwajcarii, w mieście Bulle, w sprawie 69 kradzieży. Oskarżony przyznał się do wszystkich, ale z wielką złośliwością i znajomością rzeczy zaczął „niszczenie" wezwanych na świadków dyrektorów placówek muzealnych. Deprecjonował ich wyceny utraconych przedmiotów, podważał atrybucje, twierdził, że dzieła były w złym stanie i że nie znali swoich zbiorów. Szefowa Muzeum Sztuk Pięknych w Sion, z którego Stèphane skradł tabakierkę Napoleona, powiedziała znamienne słowa: „Nie jesteśmy przygotowani na tego rodzaju kradzieże. Nie możemy zamienić muzeów w sejfy! Jesteśmy instytucją publiczną, która udostępnia dziedzictwo kulturalne publiczności". Breitwieser nieraz mówił podczas procesu: „W muzeach widziałem tyle przykładów wadliwego funkcjonowania! Beztroska strażników... mogłem wynieść obrazy Picassa, Renoira... Mógłbym udzielać rad muzeom!".

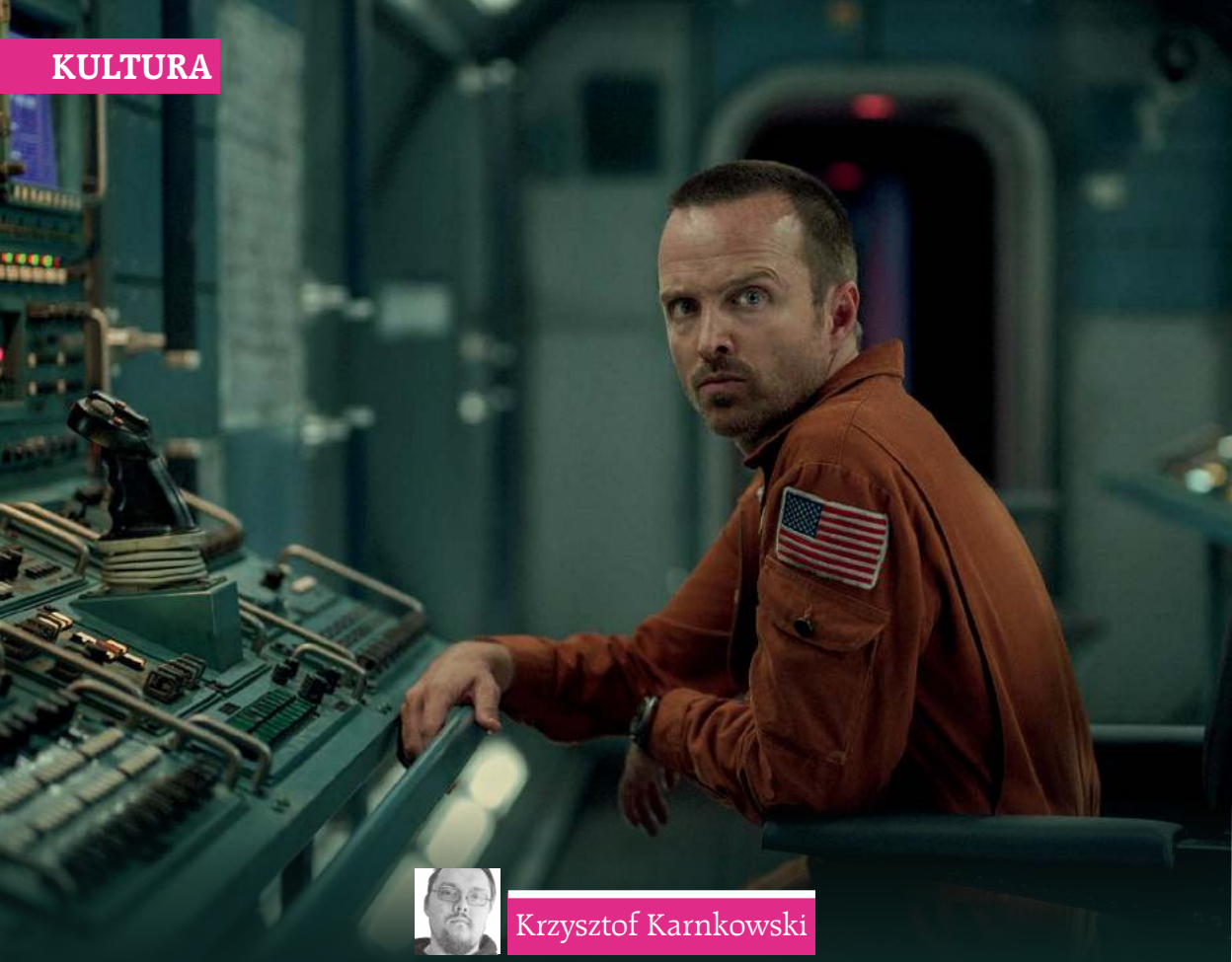
Złodziej został poddany badaniom psychiatrycznym, które wykluczyły kleptomanię, wskazując jednocześnie na „wyolbrzymiony obraz siebie" oskarżonego, „osobowość narcystyczną" i „pogardę dla norm społecznych". Zapadł wyrok maksymalny – cztery lata pozbawienia wolności i dziesięć lat zakazu pobytu w Szwajcarii. Stèphane Breitwieser popłakał się, słysząc wyrok, przez łzy wykrzyczał, że się zemści i że wszyscy go oszukali... Nie wiedział jeszcze, że ekstradycji zażądały też władze francuskie. 15 lipca 2004 roku przewieziono go na proces do Strasburga, gdzie oskarżony został o ponad 20 kradzieży, choć wcześniej przyznał się do 60. Jednak dwie trzecie z nich uległo przedawnieniu. Co ciekawe, z sądzenia zrezygnowały Niemcy, Belgia i Holandia, mimo licznych przestępstw popełnionych przez Breitwiesera w tych krajach. Przed francuskim sądem stanęły także matka i narzeczona. Podczas procesu francuskiego nie pojawili się przedstawiciele Luwru, z którego, jak się okazało, skradł jeden obraz, nie przyjechał nikt z Zarządu Muzeów Francji, nie było nikogo z ministerstwa kultury, choć Stèphane był odpowiedzialny za połowę kradzieży we francuskich placówkach tylko na przestrzeni jednego roku! Dziennikarz Vincent Noce, który śledził sprawę złodzieja i napisał książkę „Kolekcja egoisty", nie mógł tego zrozumieć. „Zniknięcie jednego obrazu z Luwru najwidoczniej nikogo nie poruszyło" – napisał. Sąd we Francji skazał Breitwiesera na trzy lata więzienia, Mireille także na trzy, ale połowę w zawieszeniu, Anne-Catherine dostała 18 miesięcy i 12 w zawieszeniu.

W tej zaskakującej sprawie mieszają się ze sobą różne rzeczy – fatalne zabezpieczenia muzeów, słabość współpracy międzynarodowej organów ścigania, zaniechanie zbadania wielu wątków, brak reakcji ze strony instytucji kultury, a jednocześnie skomplikowane związki rodzinne i niezbadane tajemnice. Choć złodziej twierdził, że nie kradł dla zysku, to pozostaje faktem, że wraz z matką mieli luksusowe auta, że kupił narzeczonej pierścionek Cartiera, że bywali na wakacjach we Włoszech, na Dominikanie czy w Kenii, a na koncie bankowym zajęto mu 30 tys. euro, choć pracował dorywczo jako kelner. Do tej pory nie znaleziono wielu skradzionych obrazów i przedmiotów. „Stèphane Breitwieser twierdzi, że kocha sztukę. Właściwie to kocha sztukę, tak jak gangsterzy kochają banki" – powiedział jeden ze śledczych.

***

Wszyscy bohaterowie dramatu są już na wolności. Anne-Catherine zerwała kontakty z byłym narzeczonym i stara się ułożyć sobie życie, Stèphane Breitwieser pogodził się z matką, odnowił stosunki z ojcem, a także napisał w więzieniu książkę „Wyznania złodzieja dzieł sztuki" i stał się... celebrytą. ■

eprasa.pl 27191359ba



Krzysztof Karnkowski

„CZARNE LUSTRO 6” bez promocji i bez szału

Najnowszy sezon „Czarnego lustra”, popularnej serii Netfliksa, chyba już zbyt mocno odszedł od pierwotnej idei, stając się raczej zbiorem historii z jednym logo niż zbiorem pytań i ostrzeżeń dla szybko goniącej przyszłość współczesności.

eprasa.pl 27191359ba

To trochę zaskakująca premiera, bowiem towarzyszyła jej nad wyraz skromna kampania reklamowa. Nie było billboardów ani właściwie żadnej promocji poza zwiastunem i łatwymi do przegapienia powiadomieniami. W efekcie o szóstym sezonie niegdyś sztandarowej serii Netfliksa „Czarne lustro" wielu widzów po prostu nie wiedziało. Nie towarzyszyło jej też w związku z tym tak częste w przypadku popularnych seriali radosne oczekiwanie w mediach społecznościowych. Być może stało się tak za sprawą słabszego od wcześniejszych poprzedniego sezonu, skoro jednak zdecydowano się na kontynuację, taka postawa może dziwić.

Recycling pomysłów

A przecież w przypadku tego tytułu jest na co czekać, i to w wymiarze podwójnym. „Black Mirror" to serial, który z niepokojem patrzy i wybiega w nieodległą przyszłość, wskazując na zagrożenia czające się w technologiach, nad którymi gdzieś już mogą trwać lub wręcz trwają prace. Zacieranie granic między wirtualną a realną rzeczywistością, poddanie się kontroli nowych technologii, ocenie mediów społecznościowych, wreszcie tworzenia kopii człowieka – to tematy aktualne i zasługujące na stawianie przez twórców serii pytań o koszty i granice. Skoro zaś technologia i postęp nie zwalniają ani na chwilę, można zastanawiać się, czym tym razem zostaniemy zaskoczeni i w jakie obszary będzie nam dane się zapuścić. W poprzednim, piątym sezonie dostaliśmy, jak już wspomniałem, trochę słabszą propozycję, lecz i w tamtym zestawie obok dość banalnych opowieści o dwóch graczach, odkrywających w grze swoje inne tożsamości i potrzeby (banał godny produkcji Playboya sprzed 30 lat) i nieoryginalnego moralitetu o zbytnim poświęcaniu uwagi mediom społecznościowym (u nas temat wyczerpują napisy na chodnikach „Odłóż smartfon i żyj"), dostaliśmy rzecz bardzo na czasie – historię wykreowania z pomocą sztucznej inteligencji nowej płyty piosenkarki pozostającej w śpiączce. Wiele odcinków można było uznać za specyficzny recycling pomysłów, wykorzystanych już kiedyś w fantastyce, poddanych aktualizacji i odpowiednio wzmocnionych (a czasem rozmytych). To obfite czerpanie z nieodległych czasowo zapasów popkultury jest zresztą cechą wspólną wielu wybitnych tytułów ostatnich lat, z „Dark" i „Stranger Things" na czele. Dopóki jest to robione z głową, pomysłem i jakąś ideą, nie jest to żaden problem.

Sezon czwarty jak przebudzenie

Najciekawszy pod względem realizacji tych założeń wydawał mi się sezon czwarty. Przyznam zresztą, że to właśnie on przekonał mnie do zapoznania się z całością serii, którą wcześniej dość szybko sobie odpuściłem. Rozpoczyna go odcinek „USS Calister", pokazujący, jak się w pierwszej chwili zdaje, dość naiwny obraz załogi statku kosmicznego, utrzymany w stylistyce telewizyjnej fantastyki z lat 70. Szybko okazuje się jednak, że widoczne na ekranie postacie są sklonowanymi cyfrowo więźniami, zamkniętymi w grze przez geniusza-psychopatę, z którym ich prawdziwe wersje na co dzień spotykają się w pracy. Wątek tworzenia cyfrowych kopii ludzi w serialu powraca jeszcze kilkakrotnie, choćby w wieńczącym ten sam sezon „Czarnym muzeum", gdzie kolejne wersje zbrodniarza poddawane są niekończącej się i niewyobrażalnej karze. To zresztą następny lubiany przez twórców motyw. Nowe zdobycze techniki pozwalają tworzyć ludziom piekło na ziemi w sensie dosłownym, przeznaczone dla najgorszych grzeszników. Jednak czy możemy w ten sposób stawiać się na miejscu Boga? To jedno z tych pytań, które zostają z nami na dłużej, tu „Czarne lustro" osiągnęło swój cel.

Inny ważny społecznie temat pojawia się w dwóch ujęciach w drugim i trzecim odcinku czwartego sezonu. „Archangel" opowiada o eksperymentalnym programie, za pomocą którego życie córki jest kontrolowane i na swój sposób wygładzane przez matkę. Ta wie, gdzie jest jest córka, zna stan jej zdrowia, lecz może także widzieć i słyszeć to, co w danym momencie widzi dziecko, a później już prawie dorosła panna. Równocześnie poddana tej technice dziewczynka nie widzi i nie słyszy wielu elementów świata, które, jak krew, przemoc, agresywny pies z sąsiedztwa czy nawet mający atak dziadek, są zwyczajnie blokowane na poziomie percepcji jej mózgu. Nietrudno zgadnąć, że w miarę dorastania córki będzie to stanowić coraz większy problem, a finalnie doprowadzi do konfliktu i tragedii. Z kolei w odcinku „Krokodyl" agentka firmy ubezpieczeniowej przegląda wspomnienia świadków wypadku, by zobaczyć coś, czego nie zobaczyć miał nikt, i tym samym wplątać się w poważne kłopoty. Od strony technicznej motyw ten przywodzi na myśl film „Dziwne dni" z połowy lat 90., w którym wspomnienia można było nie tylko przejrzeć, lecz także kupić. I znów mamy pytania, tym razem o granice prywatności i kontroli.

Coś się zgubiło...

O sezonie piątym już wspomniałem, dodam więc tylko, że już w nim pytania i morały wydawały się uszyte trochę na siłę. Ponieważ jednak tym samym twórcy mocno obniżyli sobie poprzeczkę (a wraz z nią oceny na branżowych portalach), nowe odcinki miały ułatwione zadanie. Powrotu do formy

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 27191359ba

i poziomu pierwszych czterech serii nikt chyba nie oczekiwał, a przeskoczenie piątki nie było trudne. I cóż, udało się tylko tyle albo aż tyle, zależy, jak na to spojrzeć. Sezon szósty to pięć odcinków, z których najciekawsze wydały mi się pierwszy i finalny. Przyjrzyjmy się im jednak po kolei. Największą atrakcją epizodu „Joan jest okropna", a być może i całego sezonu, jest pojawienie się w nim Salmy Hayek w komediowej roli... Salmy Hayek. Tytułowa Joan jest dość przeciętną pracownicą korporacji, którą życie zawodowe zmusza do różnych wrednych zachowań, w domu zaś spędza czas z nudzącym ją narzeczonym, nie do końca zapomniawszy swego poprzedniego chłopaka. Po dość trudnym dniu Joan włącza wraz z obecnym partnerem telewizor (a raczej wzorowaną na Netliksie aplikację Streamberry), by ze zdziwieniem odkryć serial, w którym Hayek gra bohaterkę, odtwarzającą w przegięty i stawiający ją w jak najgorszym świetle przebieg zdarzeń z jej życia. Okazuje się bowiem, że kupując usługę Streamberry, oddała, jak każdy inny użytkownik, prawa do pełnej obserwacji i ekranizacji swojego życia... Próbuje walczyć drogą prawną, a gdy już wie, że w ten sposób nie wygra, zaczyna robić rzeczy ekstremalne tak, by Hayek nie chciała ich zagrać. I faktycznie, szaleństwa dla niektórych może być za wiele. Niestety twórcy stawiają tu raczej na zabawę i efekciarstwo, potencjalnie istotne pytania (typowe dla serii, a więc granice prywatności, ale też wykorzystania AI do kopiowania ludzkich zachowań i postaci) właściwie szybko gubiąc z horyzontu.

Odcinek drugi, „Loch Henry'ego" pozbawiony jest w ogóle elementu fantastyki naukowej. To mieszanka dramatu obyczajowego i kryminału o chłopaku, który wpada na trop strasznej tajemnicy, gdy z nową dziewczyną odwiedza dawno niewidzianą matkę. Co ciekawe, ten odcinek wydaje się bardzo „angielski", choć niby akcja dzieje się w Stanach. Tu jednak mamy przynajmniej pytanie o cenę prawdy i sukcesu, może mało odkrywcze, ale zawsze to coś. Cała historia jest prawdopodobnie inspirowana autentycznymi zbrodniami, dokonywanymi przez wiele lat przez Davida Parkera Raya i jego żonę, porywających i torturujących uprowadzone przez siebie osoby, najczęściej młode kobiety.

Trzecia opowieść, „Beyond the Sea", pozornie przywołuje stare, dobre „Czarne lustro": obserwujemy kosmonautów, w stanie uśpienia wiodących alternatywne życie na ziemi. Niestety bardzo obiecujący wątek mordu na ziemskiej rodzinie jednego z nich, wzorowany ewidentnie na największej zbrodni sekty Mansona, twórcy bardzo szybko porzucają na rzecz dość banalnego romansu. Przedostatni „Mazey day" jest chyba najbliższy klasycznym odcinkom, jeśli nie w treści, to przynajmniej w formie – paparazzi obserwują tu dziwną przemianę upadłej młodej gwiazdki, której nie powstydziłby się, choć pewnie inaczej ją opisując, Edgar Allan Poe.

Wreszcie finał, umiejscowiony w Anglii „Demon 1979" to klasyczny horror, któremu bliżej klimatem do „Stranger Things" niż „Czarnego lustra", niemniej to najciekawsza historia, wywiedziona z dość banalnego motywu. Borykająca się z narastającą wrogością młodziutka imigrantka przypadkiem uwalnia diabła. Ten informuje ją, że jeśli nie zabiją razem trzech osób w ciągu tylu też dni, świat czeka apokalipsa. Niby brzmi to mało wiarygodnie, ale imperia akurat licytują się na głowice nuklearne, a dookoła kandydatów do pozbycia się nie brakuje: wredna koleżanka, napotkany w parku pedofil, wredny szef czy, wzorowany chyba na Nigelu Farage'u, konserwatywny (jakżeby inaczej) polityk, który w głowie ma bardzo niemiłą wizję przyszłej Anglii. Zakończenia nie zdradzę, powiedzmy tylko, że jest całkiem efektowne.

W sumie pozwoliłoby też zamknąć całą serię, która chyba już zbyt mocno odeszła od pierwotnej idei, stając się raczej zbiorem historii z jednym logo niż zbiorem pytań i ostrzeżeń dla szybko goniącej przyszłość współczesności. Obawiam się jednak, że na tym się nie skończy. Oby tylko szykując część siódmą twórcy przypomnieli sobie, że poza zabawną konwencją i dostarczaniem rozrywki „Czarne lustro" miało jeszcze inne, całkiem ambitne i potrzebne cele. ■

OBY SZYKUJĄC CZĘŚĆ SIÓDMĄ TWÓRCY PRZYPOMNIELI SOBIE, ŻE POZA ZABAWNĄ KONWENCJĄ I DOSTARCZANIEM ROZRYWKI „CZARNE LUSTRO" MIAŁO JESZCZE INNE, CAŁKIEM AMBITNE I POTRZEBNE CELE.

eprasa.pl 27191359ba

Ryszard Czarnecki

Sierra Leone, czyli Afryka nr 22

Sierra Leone, Afryka Zachodnia. Jestem tu pierwszy raz. Jednak już piąty raz Unia Europejska i Unia Afrykańska wysyłają do tego kraju oficjalnych obserwatorów na wybory. To pokłosie trwającej ponad dziesięć lat krwawej wojny domowej.

Gospodarze na wyborach oszczędzają: elekcję przeprowadza się raz na pięć lat, a nie cztery, i od razu są to wybory prezydenta, parlamentarne, miejscowego burmistrza i lokalnego samorządu. Jestem jedynym Polakiem w składzie misji obserwacyjnej europarlamentu.

To już mój 22. kraj w Afryce. Szczególnie uważnie przyglądam się tu wpływom Rosji, ale też relacjom między chrześcijanami i muzułmanami. Na szczęście kraj, który najpierw podbili Portugalczycy, a potem przez długi czas był kolonią brytyjską, jest o wiele mniej spenetrowany przez Moskwę niż RPA, Mozambik, Republika Środkowej Afryki, Madagaskar, Sudan, Sudan Południowy, Mali, Libia. Jednak nawet i tu można obserwować długofalową akcję Kremla. Moskwa, podobnie jak Pekin, inwestuje w ludzi: funduje stypendia, zaprasza na studia, dba, aby przyszli członkowie miejscowych elit kojarzyli Rosję jak najlepiej. Dzieje się to w tym samym czasie, gdy Unia... zmniejsza na to środki.

Pniemy się w górę uliczkami stolicy – Freetown. Czerwone dachy domów jak w Europie. Ale na samych ulicach dominuje kolor zielony – to kolor rządzącej partii SLPP (Sierra Leone People's Party, Ludowa Partia Sierra Leone) i prezydenta, niegdyś oficera Juliusa Maada Bio. Koloru czerwonego symbolizującego opozycję prawie nie widać. Z prezydentem spotykam się następnego dnia. Oficjalna rozmowa, jutro gość ma wybory, które zdecydują, czy będzie na kolejną kadencję. Bez garnituru, bez krawata, za to w czapce bejsbolówce z napisem BIO – oczywiście litery są zielone... „Poland!" – uśmiecha się do mnie obywatel nr 1 kraju, którego dewizą jest „Jedność, Wolność, Sprawiedliwość". Jest ode mnie o rok młodszy i kocha władzę. Może dlatego, że jest do niej przyzwyczajony od dziecka? Jest 33. potomkiem (spośród 35) plemiennego wodza – wódz Charlie Wonie Bio miał dziewięć żon...

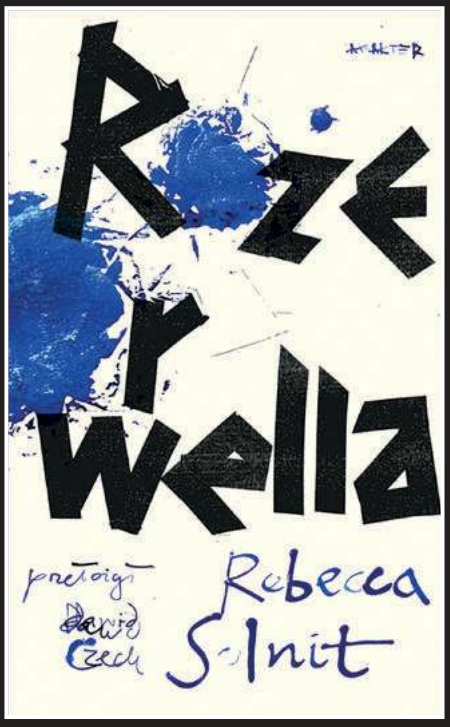
Spotykam się również z wiceprezydentem: frankofon, po studiach we Francji, gaduła: spotkanie zaplanowane na pół godziny trwa siedemdziesiąt minut.

Jedziemy dalej ulicami stolicy. Parolatek, a może parolatka z misą na głowie, niczym jego/jej mama, babcia i prababcia patrzy na mnie uważnie, bez uśmiechu. Na plecach dźwiga siostrzyczkę albo braciszka. Tu dzieci pracują, od kiedy mogą utrzymać się na nogach.

Poza plakatami wyborczymi są i inne. Ogłasza się Leone Rock Metal Group, Alpha Car and Truck for Sale, ale też Christ The King Hospital. Ten ostatni każe pomyśleć, iż w tym kraju z muzułmańską większością prawie co czwarty obywatel jest chrześcijaninem. Zaraz zresztą wjeżdżam do regionu, gdzie wyznawcy Chrystusa są w zdecydowanej większości. Nasi bracia w wierze mają tu szkoły, stowarzyszenia, kościoły, a kobiety biżuterię z krzyżem.

Tłumy przed lokalami wyborczymi. Urny, oddzielające je prymitywne dykty i „kotary", czyli coś na kształt firanki powieszonej na sznurku – i już „kabina do glosowania" gotowa. Poetyka wyborczych posterów: „Timbo returns" – głosi jeden z nich. Inny zachwala... Chiny. Spokojnie, nie chodzi o kraj, tylko kandydata Richarda Chiny. Poetyka T-shirtów: „Always be kind" [zawsze bądź uprzejmy – przyp. red.], „International Women's Day" [Dzień Kobiet – przyp. red.] – to akurat nosi facet. Potworne kolejki do oddania głosu. Nawet do 60 osób stoi cierpliwie, na pewno dobrze ponad godzinę. Cierpliwie, ale za to bardzo, bardzo głośno: ludzie mówią, krzyczą, śmieją się wszyscy naraz. Zgiełk niebywały. Sporo sprzedawców oferujących napoje, owoce, słodycze – często wprost z głowy, czyli z misy umieszczonej na kobiecej głowie, bardzo popularnym w całej Afryce środku „transportu" towarów. Wiele kobiet czeka na oddanie głosu razem z maleńkimi dziećmi przywiązanymi do pleców albo właśnie z pakunkami na głowach. Te pakunki, jak podpatrzyłem, nierzadko umieszczone są na specjalnych podkładkach z jakiejś tkaniny czy czegoś, co od biedy przypomina mały złożony ręcznik, aby lepiej stabilizować towar podczas poruszania się. Dla nich nie jest to skomplikowane... Oto Afryka. ■

eprasa.pl 27191359ba



Rebecca Solnit, „Róże Orwella", Karakter, Kraków 2023

Krzysztof Wołodźko



RÓŻE I POLITYKA. ORWELL, JAKIEGO NIE ZNACIE

„Róże Orwella" Rebekki Solnit to refleksyjna i prowokacyjna zarazem książka o naturze i człowieczeństwie, historii i polityce. Esej pełen pasji i wrażliwości. Autor „Folwarku zwierzęcego" jest jego bohaterem, lecz nie jest postacią pierwszoplanową. Ważniejsze są róże i drzewa, natura i cywilizacja. I pytanie, co jest dobrem i złem głębiej i mądrzej rozumianej polityki.

eprasa.pl 27191359ba

Zdaję sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, że obecnie prawica coraz rzadziej sięga po książki lewicy, a lewica jeszcze rzadziej – po książki prawicy. Po drugie – że wątki dotyczące antropocenu i polityki energetycznej, które w paru miejscach porusza autorka, mogą irytować niektórych czytelników i niektóre czytelniczki. Sądzę jednak, że znajomość tej książki nie tylko rzuca nowe światło na postać Orwella (właściwe nazwisko – Eric Arthur Blair); sprzyja również bezinteresownemu myśleniu o świecie. Łączy zachwyt nad naturą i życiem bliskim przyrodzie z pytaniem o to, co uczyniło autora „Roku 1984" bezkompromisowym krytykiem otaczającej go rzeczywistości (nie tylko stalinowskiej Rosji i imperialnej Wielkiej Brytanii, kapitalistów i komunistów, niemieckiej III Rzeszy). To wszystko wynikało z życiowej postawy pisarza, głęboko zakorzenionego w nim zarówno dystansu, jak i zachwytu.

Kruche piękno róż. I witamina C

Dlaczego róże? Ich kruche piękno stało się niemal metafizycznym symbolem piękna i miłości, istnienia i przemijania. Różami zachwycały się współczesne poetki, brali je za przykład średniowieczni teologowie. „Wczoraj, kiedy twoje imię ktoś wymówił przy mnie głośno, tak mi było, jakby róża przez otwarte wpadła okno" – pisała Wisława Szymborska. „Stat rosa pristina nomine, nomina nuda tenemus" („Dawna róża została w nazwie, nazwy jedynie mamy") – rozważał w XII wieku mnich Bernard z Cluny. „Róże mogą znaczyć wszystko, a to zbliża je do granicy absurdu" – pisze Rebecca Solnit.

Nie ma w tym wiele z przesady. Władysław Kopaliński w „Słowniku symboli" pisze: „Róża jest symbolem wieczności, śmierci i zmartwychwstania, życia, niezniszczalności; przemijania, kruchości; Słońca, płomienia, gwiazdy; doskonałości, piękna, wiosny, przepychu, radości, uroczystości; zasady żeńskiej, serca, cnoty, dziewiczości, zagadkowości, elegancji, komplementów, zapachu, spełnienia bez skazy, rozkoszy, płodności, miłości seksualnej, wolnej miłości, prostytucji, wina; piękna intelektu, (wiecznej) mądrości, uduchowienia, natchnienia lirycznego, miłości duchowej, cnotliwego piękna; związku mistycznego, mistycznego koła, Graala, duszy, modlitwy, tajemnicy, milczenia; dumy, próżności (zwłaszcza w XVII w.), zwycięstwa (w starożytnym Rzymie); Zachodu; męskości (u Arabów); liczby 5 (5 płatków dzikiej róży)".

Ale róża (czy szerzej – kwiaty) to jedno z największych świadectw wspaniałości natury: „ich pojawienie się na Ziemi około stu czterdziestu milionów lat temu zapoczątkowało prawdziwą rewolucję i odtąd opanowały one niemal wszystkie środowiska lądowe, od biegunów po tropiki". Kwiaty są potrzebne owadom, ptakom i ludziom. A róże to nie tylko piękno, kruchość i wieloznaczność. Solnit przypomina, że w czasie II wojny światowej brytyjskie Ministerstwo Aprowizacji prowadziło kampanie zbierania owoców dzikiej róży. Brakowało cytryn – a syrop z dzikiej róży i domowa marmolada z róży zapewniały milionom angielskich rodzin witaminę C: „wedle doniesień prasowych do 1942 roku zebrano dwieście ton, czyli około stu trzydziestu czterech milionów szupinek".

Orwell w ogrodzie

Dlaczego róże Orwella? W 1936 roku pisarz wraz z irlandzką żoną Eileen O'Shaughnessy Blair zamieszkał w Wallington, małej wiosce na południe od Londynu, w niepozornym domu przy Kits Lane 2. Zasadził siedem różanych krzewów. W kolejnych latach skrupulatnie notował w dzienniku, co dzieje się w jego ogrodzie i jakie wykonuje tam prace. „Wprawdzie jedno drzewo owocowe i jeden krzew różany uschły, ale pozostałe bujnie się rozrastają. Łącznie za pięć drzew owocowych, siedem krzewów różanych i dwa krzewy agrestu zapłaciłem dwanaście szylingów i sześć pensów". A w listopadzie 1939 roku pisał: „Ściąłem pozostałe jeszcze floksy, podwiązałem nieco chryzantem, teraz kwitnących, które pochylił wiatr. Trzeba zrobić więcej w te popołudnia, bo mamy już czas zimowy. (...) Róże nadal usiłują zakwitać, poza tym w ogrodzie żadnych innych kwiatów. Astry już się skończyły i ściąłem ich trochę".

W domu, w którym zamieszkali państwo Blair, wcześniej prowadzono sklep. Orwell nie próżnował – sprawił sobie krajalnicę do bekonu oraz towary spożywcze i został wiejskim sklepikarzem: „Niewielki utarg ze sprzedaży skromnego asortymentu – słodyczy, bekonu i jajek od własnych niosek – pomagał mu w opłacaniu niskiego czynszu w okresie, gdy pieniądze z jego twórczości ledwie wystarczyły na pokrycie podstawowych potrzeb". Eileen, jego żona, w liście do przyjaciółki pisała bez cienia kpiny o prawdziwym życiu w Wallington: „kozach, kurach i brokułach (podjadanych przez króliki)".

Na marginesie – w polskiej Wikipedii znajdziemy krótkie stwierdzenie: „wiódł życie włóczęgi". Chwytliwe i niemal prawdziwe, bo Orwell był

eprasa.pl 27191359ba

wiecznie w podróży: pośród paryskich kloszardów, wolnych najmitów – zbieraczy chmielu, wśród bezrobotnych i ubogich górników z Wigan, na wojnie domowej w Hiszpanii. A przecież „ważny jest wydech i wdech". Orwell uwielbiał i umiał się zakorzeniać, żyć spokojnie i cicho, z dala od zgiełku Londynu i wielkiej historii. Potrzebował tego nie tylko ze względu na swoje wiecznie chore płuca.

Nie bez powodu pod koniec lat 40. Orwell na miejsce zamieszkania wybrał prostą chatę w regionie Barnhill na niemal opustoszałej szkockiej wyspie Jura (Hebrydy Wewnętrzne). To właśnie tam, w latach 1947–1948, z dala od zgrzytu zapadającej Żelaznej Kurtyny, z dala od zgiełku Londynu, napisał swoją najważniejsza powieść „Rok 1984". Pośród łagodnych i gwałtownych żywiołów natury, wśród zwierząt, kwiatów i drzew, pośród sennej ciszy przyrody, otulającej nocą ziemię i sięgającej rozgwieżdżonego nieba, w domu z niewielkim ogrodem, otwierającym widok na morze, napisał powieść znienawidzoną później przez komunistyczny reżim.

„Wetknij w ziemię żołędzia"

Ktoś zauważy: prywatność to prywatność, polityka to zupełnie inny żywioł. Solnit udowadnia, sięgając po teksty Orwella, że on widział to inaczej. W eseju „Dobre słowo dla pastora z Bray" (1946 rok) pisarz opowiadał o perypetiach pewnego anglikańskiego duchownego, który w odległych czasach zasłynął nader giętkim politycznym kręgosłupem. Długo po jego śmierci pozostało po nim piękne drzewo, które zasadził i które pielęgnował. Pisarz zauważał: „Zasadzenie drzewa, zwłaszcza długowiecznego drzewa liściastego, to dar dla potomności, który nie wymaga wiele fatygi i praktycznie nic nas nie kosztuje. A jeśli drzewo się przyjmie, niechybnie przetrwa dłużej niż wszelkie namacalne skutki naszych innych poczynań, czy to dobrych, czy to złych".

I puentował w swoim stylu: „Nawet jabłonki dożywają około stu lat, a zatem koksy pomarańczowe zasadzone przeze mnie w 1936 roku mogą rodzić owoce jeszcze długo po wejściu w XXI wiek. Dąb czy buk potrafi rosnąć przez setki lat, będąc źródłem uciechy dla tysięcy, jeśli nie dziesiątków tysięcy ludzi, nim ostatecznie trafi do tartaku. Nie twierdzę, że można zwolnić się ze wszystkich zobowiązań wobec społeczeństwa przez prywatny program zalesiania. Nie wydaje mi się jednak złym pomysłem, aby każdy popełniony antyspołeczny czyn odnotowywać sobie w dzienniku, a gdy nadejdzie odpowiednia pora roku, wetknąć w ziemię żołędzia".

Może to wydać się rodzajem ekologicznego moralizatorstwa, ale Orwell nie cierpiał moralizatorów. Jego socjalizm był hardy; nie tyle osobny (autor „W hołdzie Katalonii" potrafił wraz z innymi walczyć za sprawę), ile zdystansowany wobec ówczesnych intelektualnych mód i nakazów myślowych płynących z Kremla. A jego eseistyka – wciąż znana niestety w Polsce znacznie słabiej niż „Rok 1984" i „Folwark zwierzęcy" – jasno opowiada o dobru i złu, ale stroni od moralizatorstwa. Kąśliwy wobec komunistów, mieszczan, faszystów, Orwell wiedział, czego broni przed totalitaryzmami – prostoty i piękna angielskiego stylu życia. I wspomnień o starej dobrej Anglii – której odchodzenie żegnał na kartach powieści „Brak tchu". Uznawana za jedną z jego najlepszych książek ukazała się dalece nie w porę – w czerwcu 1939 roku. Potrafił opisywać rzeczywistość w niemal zmysłowy, możliwy do uchwycenia sposób.

Dziecięco sentymentalny Orwell

Solnit wiele miejsca poświęca orwellowskim opisom przyrody, zakorzenienia w świecie, który pozwala łączyć pracę w ogrodzie z intelektualnym namysłem nad światem. A przecież Orwell bywał wręcz dziecięco sentymentalny i skrupulatnie drobiazgowy w wielu sprawach. W „Braku tchu" znajdziemy urocze, szczegółowe opisy łakoci z małego prowincjonalnego sklepiku, które główny bohater kupował jako dziecko: pokruszone cukierki znane jako „Rajska mieszanka" – sześć uncji za pensa, „ćwierćpensowe nieśmiertelniki", czyli „prawie metrowe słodkie laski", „osiem cukrowych myszek albo świnek kosztowało pensa, tyle samo co szklane pistoleciki z lukrecją", pens za „pyszną niespodziankę", której opakowanie zawierało kilka rodzajów słodyczy, a do tego pozłacany pierścionek i czasem gwizdek. „Zniknęło, wszystko zniknęło!" – ubolewał. Ale wyliczanka trwa dalej: „A pamiętacie »Pensowe baniaki«? Czy ktoś gdzieś widział gdzieś choćby jeden? Były to potężne butle, zawierające ponad litr mocno gazowanej lemoniady, a kosztowały zaledwie jednego pensa. Im również zadała śmierć wojna". Rzecz jasna – I wojna światowa.

Churchillowi często przypisuje się słowa: „o co jest ta wojna, jeśli nie o kulturę" – które miał rzekomo wypowiedzieć, gdy rekomendowano mu obcięcie funduszy na sztukę. Orwell całym sobą chciał bronić brytyjskości, której częścią – jak pisał – jest choćby miłość Anglików do kwiatów. Ważna

eprasa.pl 27191359ba

jest jednak świadomość kontekstu: zwykły, prozaiczny świat ludzi biedniejszych i zamożniejszych, ludzkie życie od kołyski po grób w czasach Orwella o wiele mocniej niż dziś zanurzone było w przyrodzie. Było naturalne i w tym sensie, że znacznie mocniej podlegało cyklom natury: powtarzalnym i wciąż wówczas stabilnym porom roku, a także rytmowi nocy i dnia.

▶ Współgranie natury i kultury

Orwell był mocno wyczulony na współgranie natury i kultury (rodzimej, brytyjskiej kultury). W tekście dla „Tribune" z 1944 roku narzekał na szybko postępujące zanikanie angielskich nazw kwiatów: „Niezapominajki coraz częściej nazywane są »Myosotis«. Podobnie wiele innych nazw zwyczajowych, takich jak płonąca pochodnia, dziecięce łzy, szarłat zwisły czy skalnica cienista, zastępowanych jest pozbawionymi wyrazu greckimi terminami, wyciągniętymi wprost z podręczników do botaniki". Powrócił do tego – przypomina Solnit – w jednym ze swoich najważniejszych esejów „Polityce i języku angielskim".

Możemy domyślać się powodów, dla których z angielskiego języka znikały potoczne i zwyczajowe nazwy roślin. Edukacja, urbanizacja i industrializacja najpewniej powoli robiły swoje – dziś my sami o wiele lepiej znamy język „cyfrowego środowiska" niż język pól, łąk, ogrodów i lasów. Tego, co u naszych stóp, i tego, co nad naszymi głowami. Gdy świat przyrody staje się nienazwany, staje się też niewidzialny. A to – niestety – ma daleko idące konsekwencje dla naszego codziennego życia. I jest polityczne w tym sensie, w jakim polityczne są betonoza i patodeweloperka.

▶ Praca ubogich, czyli natura jako brzemię

Orwell miał równocześnie świadomość, że natura jest wyzwaniem i brzemieniem dla człowieka. Szczególnie w warunkach nieucywilizowanej pracy. „Droga na molo w Wigan", po części przenikliwy reportaż, po części niedojrzały traktat politycznych sprzed II wojny światowej, pokazuje ponury los górników z północnej Anglii. W tamtych czasach warunki pracy były już nieco lepsze, ale nadal był to straszliwy, nieustanny znój: „Po to, żeby żołnierze Hitlera mogli maszerować, wyrzucając wysoko nogi w powietrze; żeby papież mógł potępiać bolszewizm; żeby tłumy kibiców mogły gromadzić się na Lord's; żeby pedałkowaci poeci mogli kadzić sobie wzajemnie – węgiel musi być nieprzerwanie dostarczany". Alternatywą było bezrobocie, nędza, zimno i głód.

Orwell przypomina wielkomiejskim inteligentom i paniom z socjety o starych ludziach, mężczyznach i kobietach, którzy jeszcze jako dzieci zaharowywali się pod ziemią. „Jeszcze niedawno warunki pracy w kopalniach były znacznie gorsze niż obecnie. Nadal żyje kilka wiekowych staruszek, za młodu pracujących w kopalni, którym zaciskano w pasie uprząż, a łańcuchy ciążyły im pomiędzy nogami, kiedy posuwały się na czworakach ciągnąc niecki wypełnione węglem. Wykonywały to zajęcie nawet w czasie ciąży. Jeszcze teraz, gdyby okazało się, że nie można wydobywać węgla bez udziału brzemiennych kobiet wlokących swój ładunek, obawiam się, że raczej pozwolilibyśmy im to nadal robić, niż pozbawiać się tego niezbędnego surowca. Najczęściej jednak, ma się rozumieć, wolimy nie pamiętać o istnieniu i trudzie tych ludzi. Ma to zresztą odniesienie do wszystkich rodzajów pracy fizycznej; dzięki niej żyjemy, a jednak jesteśmy nieświadomi jej znaczenia".

Poszukiwanie odosobnienia w wiejskim życiu bywa w naszych czasach traktowane jako miła ucieczka nowobogackich elit od zgiełku wielkomiejskich targowisk próżności. Pewnego rodzaju luksus, który nie do poznania zmienił szczególnie podmiejskie wsie, z których nie tylko znikają stare pomieszczenia gospodarcze, ale i drzewa liściaste, podmokłe i zabagnione tereny, dzikie zagajniki i zwykłe ścieżynki wśród pól, zastępowane przez asfalt i beton. Czasem sadzenie róż, doglądanie owocowych drzew i hodowla kóz bywa dla „nowych wieśniaków" okazją do wrzucania zdjęć na Instagrama. Ale niewiele zmienia w myśleniu wzbogaconej inteligencji o społeczeństwie i świecie. I samej wsi – gdzie czasem nowo przybyli żądają od rolników, by zaniechali porannych, hałaśliwych prac w polu. W przypadku Orwella było inaczej: jego świadomy wybór prowincjonalnego, wiejskiego życia doskonale współgrał z dystansem wobec klas wyższych i trzeźwą sympatią wobec niższych warstw brytyjskiego społeczeństwa.

Esej Solnit mówi znacznie więcej o Orwellu, przyrodzie i polityce. Autorka pokazuje sowiecką Rosję, róże w służbie popkultury i rewolucji, sporo opowiada o wojnie domowej w Hiszpanii, pięknie i prawdzie natury przeciwstawionej totalitarnej szpetocie i kłamstwom, konfliktach klasowych w Anglii, dotyczących ziemi, arystokratycznych ogrodach i kulturze ludowej. Uwspółcześnia Orwella – nie tracąc z oczu jego fascynującej, życiowej drogi. I miłości do róż. ■

eprasa.pl 27191359ba

TRZY LATA PO WYBUCHU PANDEMII

Hanna Shen



Minęły ponad trzy lata od wybuchu pandemii i wydaje się, że świat zrezygnował z poznania prawdy na temat pochodzeniu wirusa SARS-CoV-2. Pojawiają się jednak cały czas nowe dowody świadczące o tym, że wirus pochodzi z chińskiego laboratorium w Wuhan. To nie przeszkadza Billowi Gatesowi dalej pomagać chińskim komunistom w rozwoju ich zdolności biotechnologicznych.

cprasa.pl 271913596a



fot. MARK R. CRISTINO/PAP/EPA

SARS-CoV-2, wysoce zakaźny wirus, zabił miliony ludzi, doprowadził do zamknięcia firm i szkół na całym globie, był ciosem dla światowej gospodarki oraz spowodował ogromne szkody społeczne. Aby do takiej tragedii ponownie nie doszło, powinniśmy poznać prawdę o pochodzeniu wirusa, a odpowiedzialni za tę tragedię powinni ponieść karę. Zachodni politycy i przedstawiciele organizacji międzynarodowych wielokrotnie sugerowali, że odkrycie pochodzenia pandemii może nie być możliwe. „Może nigdy tego nie poznamy" – mówił Anthony Fauci, były dyrektor amerykańskiego Narodowego Instytutu Alergii i Chorób Zakaźnych (NIAID). Ten opór w ujawnieniu prawdy o pochodzeniu pandemii bierze się prawdopodobnie stąd, że chińskie instytucje odpowiedzialne za wyciek wirusa otrzymywały pieniądze na badania z Zachodu, głównie USA, i współpracowali z nimi zachodni naukowcy. Jednak nowe dowody jasno potwierdzające, że wszystko zaczęło się w laboratorium w Wuhan, cały czas wypływają.

Pacjenci zero z chińskiego laboratorium

Artykuł, jaki ukazał się 13 czerwca bieżącego roku na platformie Substack, którego współautorami są Matt Taibbi, Michael Schellenberger i Alex Gutenag, powołuje się na źródła rządowe USA, które potwierdzają, że wirus SARS-CoV-2 pochodzi z laboratorium w chińskim Wuhan. To właśnie te źródła mówią, że trzema osobami, które najwcześniej zaraziły się SARS-CoV-2, byli Ben Hu, Yu Ping i Yan Zhu. Wszyscy to pracownicy laboratorium z Wuhan noszącego oficjalną nazwę Wuhańskiego Instytutu Wirusologii (WIW). „W związku z tym nie tylko wiemy, że mamy do czynienia z naukowcami z WIW, którzy rozwijali choroby podobne do COVID-19 w listopadzie 2019 roku, lecz także że pracowali nad wirusami powiązanymi z SARS-CoV-2 i prowadzili na nich badania typu gain of function" (wzmocnienie funkcji; są to modyfikacje, które mogą nasilać zdolności patogenów do przenoszenia się na ludzi lub między ludźmi).

Ben Hu to prawa ręka Shi Zhengli, wirusolog zwanej „matką diabła" i „kobietą nietoperzem", która przez lata kierowała badaniami typu gain of function w Wuhańskim Instytucie Wirusologii.

Jamie Metzl, były członek komitetu doradczego ekspertów Światowej Organizacji Zdrowia ds. edycji ludzkiego genomu, a dziś pracownik think tanku Atlantic Council, tak określa prace prowadzone w Wuhan pod kierownictwem Shi: „To, co robili w WIW, polegało na pracy nad niebezpiecznymi, przerażającymi wirusami i czynieniu ich jeszcze bardziej przerażającymi".

Hu „był najlepszym uczniem Shi. Tworzył chimeryczne wirusy podobne do SARS i testował je na humanizowanych myszach. Gdybym miał zgadywać, kto przeprowadzał te ryzykowne badania nad wirusami i był najbar-

epiasa.pl/2191359ba

dziej narażony na przypadkowe zakażenie, to postawiłabym właśnie na niego", powiedziała autorom artykułu opublikowanego na Substack Alina Chan, biolog molekularny z Broad Institute w Massachusetts Institute of Technology i na Harvardzie oraz współautorka wraz z Mattem Ridleyem książki pt. „Viral: The Search for the Origin of Covid19".

Jamie Metzl uważa, że jeśli rzeczywiście Ben Hu był pacjentem zero, to jest to wystarczający dowód winy po stornie laboratorium.

Autorzy artykułu z Substack przypominają, że w grudnia 2017 roku, dwa lata przed wybuchem pandemii, chińska telewizja państwowa wyemitowała film zawierający scenę, w której Ben Hu obserwuje pracownika laboratorium zajmującego się próbkami. Żaden z nich nie nosi odzieży ochronnej. Ten sam film pokazuje też naukowców WIW polujących na nietoperze właściwie bez sprzętu ochronnego. „Gdyby martwili się zarażeniem w terenie, potrzebowaliby pełnych kombinezonów bez żadnych szczelin, aby być bezpieczni. To jedyny sposób" – twierdzi Alina Chan.

Wirus w rękach chińskiej armii

Wyniki śledztwa na temat działalności laboratorium w Wuhan ujawnił także w artykule z 10 czerwca brytyjski „Sunday Times". Gazeta oparła swój raport na licznych dokumentach, w tym poufnych raportach, notatkach wewnętrznych, artykułach naukowych i korespondencji e-mailowej, uzyskanych bezpośrednio u źródeł lub przez działaczy na rzecz wolnej informacji w ciągu trzech lat od początku pandemii. Dziennikarze Jonathan Calvert i George Arbuthnott przeprowadzili też wywiady ze śledczymi Departamentu Stanu USA – w tym ekspertami od Chin, od zagrożeń pandemicznych i broni biologicznej – którzy dokonali pierwszego znaczącego amerykańskiego dochodzenia w sprawie pochodzenia epidemii COVID-19.

W raporcie „Sunday Times" stwierdzono, że Wuhański Instytut Wirusologii rozpoczął poszukiwania źródeł wirusa SARS w 2003 roku. Udało mu się wtedy otrzymać fundusze na badania od rządu USA za pośrednictwem organizacji charytatywnej z siedzibą w Nowym Jorku. Instytut był zaangażowany w ryzykowne eksperymenty na koronawirusach pochodzących od nietoperzy z jaskiń w południowych Chinach. Początkowe wyniki tych eksperymentów były upubliczniane. Jednak w 2016 roku sytuacja uległa zmianie po tym, jak chińscy naukowcy odkryli nowy typ koronawirusa w szybach kopalnianym w Mojiang w prowincji Yunnan, gdzie ludzie zmarli z powodu objawów podobnych do SARS. I zamiast ostrzec świat, Chiny nie zgłosiły tych zgonów. Według „Sunday Times", odkryty właśnie wtedy wirus jest obecnie uznawany jako „jedyny członek najbliższej rodziny covidu, o którym wiemy, że istniał przed pandemią". Od tego odkrycia cały program badań staje się ściśle tajny prawdopodobnie dlatego, że został objęty tajemnicą wojskową związaną z dążeniem chińskiej armii do podwójnego wykorzystania wirusa jako broni biologicznej i do tworzenia szczepionek.

Badania nad wirusami z szybów były w pełni finansowane przez chińską armię. W jednym z raportów śledczy Departamentu Stanu USA stwierdzili, że „pomimo przedstawiania się jako instytucja cywilna, Stany Zjednoczone ustaliły, że WIW współpracował przy publikacjach i tajnych projektach z chińską armią. Wuhański Instytut Wirusologii angażował się w tajne badania, w tym eksperymenty na zwierzętach laboratoryjnych, w imieniu chińskiego wojska od co najmniej 2017 roku".

„W okresie poprzedzającym pandemię instytut w Wuhan często prowadził eksperymenty na koronawirusach wraz z Akademią Wojskowych Nauk Medycznych, ramieniem badawczym Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. [...] W opublikowanych artykułach naukowcy wojskowi są wymienieni jako pracujący dla Pekińskiego Instytutu Mikrobiologii i Epidemiologii, który jest bazą akademii wojskowej" – pisze „Sunday Times".

Amerykańscy śledczy stwierdzili, że celem tajnego programu było sprawienie, by wirusy z szybów kopalnianych były bardziej zaraźliwe dla ludzi. To doprowadziło do powstania covidu, który wyciekł z Wuhan w wyniku wypadku w laboratorium.

„Stało się coraz bardziej jasne, że WIW był zaangażowany w stworzenie, rozpowszechnienie i ukrywanie pandemii COVID-19" – powiedział dziennikarzom „Sunday Times" jeden ze śledczych.

Wiadomo także, że w listopadzie 2019 roku, miesiąc zanim Zachód usłyszał o covid, naukowcy pracujący nad eksperymentami w laboratorium w Wuhan byli hospitalizowani z objawami podobnymi do covidu, a ich bliscy zmarli.

Amerykańscy śledczy ujawnili również, w jaki sposób otrzymali dowody wskazujące, że WIW pracował nad szczepionką przed pandemią. „Przeprowadziłem wywiady z naukowcami z Azji, którzy mają bliskie relacje z WIW" – przyznało jedno ze źródeł „Sunday Times". „Powiedzieli mi, że według ich przekonania jesienią 2019 roku prowadzone były badania nad szczepionkami, które mają związek ze szczepieniem przeciwko COVID-19".

Raport „Sunday Times" zwrócił również uwagę, że zagraniczni eksperci, którzy chcieli zidentyfikować źródło pandemii, zostali zablokowani przez Chiny. Alice Hughes, brytyjska ekspertka od nietoperzy, była profesorem Chińskiej Akademii Nauk, która nadzoruje WIW. Hughes pracowała w kopalniach. Powiedziała, że zabroniono jej rozmawiać z mediami o swoich badaniach i była śledzona

eprasa.pl 27191359ba

przez Pekin. Restrykcje zmusiły ją do opuszczenia Chin i przeniesienia się do Hongkongu.

Przy wsparciu Zachodu

Instytucja kontrolna Kongresu Stanów Zjednoczonych, Government Accountability Office (GAO), ujawniła, że w latach 2014–2021 organizacje takie jak amerykański Narodowy Instytut Zdrowia (NIH) i Amerykańska Agencja ds. Rozwoju Międzynarodowego (USAID) przekazały chińskim instytucjom badawczym ponad 2 mln dolarów. Raport GAO pokazuje, że prawie 1,5 mln dolarów dotacji przyznanych przez EcoHealth Alliance z siedzibą na Manhattanie trafiło do Wuhańskiego Instytutu Wirusologii.

W 2014 roku prezydent Barack Obama zakazał federalnego finansowania badań typu gain of function. Jednak wtedy NIH i NIAID, kierowane odpowiednio przez Francisa Collinsa i Anthony'ego Fauci, oraz główny grantobiorca rządu USA, EcoHealth Alliance, uznali, że ich praca nad wirusami podobnymi do SARS nie podlega definicji badań typu gain of function, i dalej finansowali takie projekty w Chinach i Azji Południowo-Wschodniej.

Szefem EcoHealth Alliance jest brytyjski wirusolog Peter Daszak, który był wykonawcą, współpracownikiem i współautorem razem ze wspomnianą już Shi Zhengli prac prowadzonych w laboratorium w Wuhan nad „strukturą i analizą nowych chimerycznych wirusów". Brytyjski naukowiec zapewniał też, że WIW finansowane jest z Zachodu.

Pomimo bliskich powiązań z Wuhańskim Instytutem Wirusologii – i pomimo kampanii, jaką prowadził w celu stłumienia głosów, że pandemia mogła nie powstać w sposób naturalny – Daszak został w 2021 roku zaproszony przez Światową Organizację Zdrowia (WHO) do dołączenia do zespołu dziesięciu międzynarodowych ekspertów badających przyczyny pandemii. Eksperci udali się do Chin i po rzekomym dochodzeniu Daszak ogłosił, że ślady genetycznych koronawirusa należy szukać w jaskiniach nietoperzy i że nie ma dowodów wskazujących, iż koronawirus został wyhodowany w laboratorium.

Już po powrocie ekspertów z Chin zaczęły wypływać informacje o tym, jak Chińczycy nie dzielili się wszystkimi informacjami z delegacją WHO. Na szefa WHO Tedrosa Adhanoma Ghebreyesusa posypały się gromy krytyki, że znów, jak na początku pandemii, uległ Chinom. Rok później wszczął on drugą fazę dochodzenia w sprawie źródła pandemii i w opublikowanym wtedy raporcie WHO nie przekreślono całkowicie odpowiedzialności WIW. Stwierdzono, że choć pochodzenie COVID-19 nie jest jasne, to teoria wycieku wirusa z laboratorium wymaga dalszych badań.

Tylko że wtedy dalszemu śledztwu WHO dotyczącemu wycieku z wuhańskiego laboratorium, sprzeciwiły się Chiny, Rosja i Brazylia.

Pieniądze Gatesa dla uczelni współpracującej z chińską armią

COVID-19 i wszystko, co już wiemy o Wuhańskim Instytucie Wirusologii, powinno zakończyć finansowe wsparcie z Zachodu dla chińskich instytucji będących częścią programu rozwoju broni biologicznej prowadzonego przez Chińską Armię Ludowo-Wyzwoleńczą. Mimo że w 2020 roku prezydent Trump zakazał NIH finansowania prowadzonych w WIW eksperymentów dotyczących koronawirusów pochodzących od nietoperzy, to nadal 27 chińskich laboratoriów – w tym niektóre nadzorowane przez Komunistyczną Partię Chin – otrzymują fundusze na badania na zwierzętach od rządu USA, stwierdza raport Instytutu Badawczego Kongresu USA. W tej chwili amerykańscy kongresmeni przygotowują projekt ustawy, który ograniczyłby finansowanie wszystkich eksperymentów na zwierzętach, lub innych projektów związanych z wirusami w Chinach. Ale zanim to nastąpi, pieniądze nadal cały czas płyną do Chin, także od darczyńców prywatnych, takich jak Bill Gates.

To właśnie ten amerykański miliarder udał się do ChRL mniej więcej w tym samym czasie, gdy dziennikarze „Sunday Times" i publikujący na Substack zaczęli ujawniać coraz więcej informacji dotyczących Wuhańskiego Instytutu Wirusologii – m.in., że stąd pochodzą covidowi pacjenci zero, że instytucja ta jest odpowiedzialna za wypuszczenie w świat wirusa SARS-CoV-2 i że jest częścią programu tworzenia broni biologicznej przez chińską armię. W Państwie Środka Gates ogłosił, że udzieli finansowego wsparcia w wysokości 50 mln dolarów badaniom nad lekami, m.in. tymi mającymi pomóc w walce z silnymi wirusami, prowadzonymi przez chiński Uniwersytet Tsinghua. Gatesowi nie przeszkadza, że instytucja ta posiada „certyfikaty bezpieczeństwa", które umożliwiają jej prowadzenie tajnych badań dla armii ChRL. Według think tanku Australian Strategic Policy Institute, Tsinghua szkoli studentów w zakresie chińskiego programu broni jądrowej i przeprowadza cyberataki dla chińskiego rządu. Uniwersytet, który chiński prezydent Xi Jinping ukończył w 2002 roku z dyplomem z teorii marksistowskiej, jest również finansowany przez chińskie ministerstwo edukacji i ma u siebie siedzibę komitetu KPCh, który ma za zadanie prowadzić szkołę „zgodnie z nadziejami prezydenta Xi".

I oczywiście nie jest to pierwszy raz, kiedy Gates, który podczas swojej ostatniej podróży do Chin nazwał chińskich naukowców „nieocenionymi" w innowacjach w zakresie zdrowia publicznego, przekazał pieniądze chińskim agencjom rządowym i uniwersytetom związanym z wojskiem. Fundacja miliardera w 2021 roku wysłała prawie 30 mln dolarów m.in. do Narodowej Komisji Zdrowia, Ministerstwa Rolnictwa, a także Uniwersytetu Tsinghua. ■

eprasa.pl 27191359ba



Antoni Rybczyński

Pogranicze w ogniu, czyli wojna zawitała do Rosji

Niegdyś Kozacy na czajkach zuchwale pokonywali Morze Czerwone, by pod murami Stambułu zaświecić pożogą w oczy samemu padyszachowi. Dziś Ukraińcy przenoszą coraz mocniej działania zbrojne na terytorium Rosji. To nie tylko rajdy grup dywersyjnych na tereny przygraniczne, lecz także regularny ostrzał przygranicznych miast, ataki dronów i akty sabotażu wymierzone w infrastrukturę.

Najbardziej dalekosiężną bronią w arsenale armii Ukrainy są obecnie drony. 2 czerwca Rosjanie informowali o atakach ukraińskich dronów na infrastrukturę w obwodach kurskim i smoleńskim. 30 maja źródła rosyjskie poinformowały o ataku dronów na przedmieścia Moskwy. Rosyjska obrona powietrzna miała zestrzelić wszystkie, jednak w kilku miejscach miało dojść do szkód od spadających odłamków. Pięć dronów zestrzelonych przez obronę powietrzną spadło w okolicach rezydencji członków rządzącej Rosją elity, pod Moskwą. Jeden z nich kilka kilometrów od rezydencji Putina. Ukraińskie władze, jak zawsze w przypadku ataków na terytorium Rosji, ani nie potwierdziły, ani nie zaprzeczyły swojemu udziałowi. W ataku użyto kilku rodzajów dronów, w tym nowego drona-kamikadze. Wolno poruszające się bezzałogowe aparaty latające (UAV) z głowicą bojową maksymalnie około 10 kg, łatwe do pokonania przez obronę przeciwlotniczą – o ile uda się je w porę wykryć. Z drugiej strony mają spory zasięg 800–1000 km (to odległość od granic Ukrainy do Niżnego Nowogrodu czy Kazania, o Moskwie nie wspominając). Ale co ważniejsze, grupy dywersyjne mogą je niepostrzeżenie uruchamiać i wysyłać na cel z dowolnego miejsca w samej Rosji – aby skrócić drogę do celu. Najlepszym sposobem na ich neutralizację nie jest bynajmniej zestrzelenie, ale „oślepienie" przez systemy walki radioelektronicznej.

Nie tylko drony. Sabotaż i artyleria

Coraz aktywniejsze na terytorium Federacji Rosyjskiej są niewielkie grupki dywersyjne i agenci dokonujący sabotażu. Pierwszego maja ktoś wysadził linię energetyczną niedaleko Petersburga. Z kolei 20 wagonów kolejowych przewożących produkty naftowe i drewno wykoleiło się w wyniku eksplozji na odcinku torów w obwodzie briańskim. Podobne „wypadki" miały miejsce w innych rosyjskich regionach, które graniczą z Ukrainą, a jeden wybuch spowodował wykolejenie prawie 80 wagonów przewożących paliwo i inne zapasy do celów wojskowych. Liczba wypadków kolejowych w Rosji gwałtownie wzrosła od początku wojny z Ukrainą. W okresie od marca do czerwca 2022 roku wykoleiły się aż 63 pociągi towarowe, czyli 150 proc. więcej niż rok wcześniej. Drugim ulubionym celem sabotażystów i operatorów dronów-kamikadze jest infrastruktura energetyczna. Stąd regularne ataki na rafinerie, składy paliw, linie wysokiego napięcia oraz ropociągi i gazociągi (na przykład Przyjaźń).

Rosjanom coraz mocniej doskwiera też ostrzał artyleryjski z ukraińskiej strony granicy. Na przykład regularne ostrzeliwanie 40-tysięcznego Szebekino rozpoczęło się jeszcze na jesieni ubiegłego roku, po tym jak ukraińskie siły całkowicie wyzwoliły obwód charkowski. Pod koniec grudnia ukraińskiej armii udało się zniszczyć podstację energetyczną w mieście. Jednak prawdziwa nawała ognia miała miejsce 1 czerwca, w dniu rajdu rosyjskich ochotników. Według gubernatora obwodu biełgorodzkiego Wiaczesława Gładkowa, ukraińska strona wystrzeliła tego dnia 850 pocisków w kierunku miasta. Szebekino jest największym miastem w dystansie 10 km od granicy. Czyli bez problemu sięgają tam samobieżne systemy artyleryjskie, począwszy od Goździków (zasięg 15 km), nie wspominając już o pociskach Grad (20 km). Te drugie spadły zresztą na Szebekino 1 czerwca. Nieporównanie większy zasięg ma broń rakietowa będąca w posiadaniu Ukraińców. Choćby brytyjskie pociski Storm Shadow: minimalny zasięg 250 km (a więc np. Kursk, Woroneż, Rostów nad Donem). Możliwe, że w rzeczywistości ponad 500 km. Zasięg do 300 km mają ukraińskie pociski balistyczne Grom-2, zaś do 120 km pociski balistyczne Toczka-U, jeszcze sowieckiej produkcji. Do tej pory nie było jednak doniesień o użyciu broni rakietowej – Ukraińcy muszą oszczędnie nią gospodarować i skupiają się na froncie. Nie bez znaczenia może być też niechęć zachodnich sojuszników do eskalacji ataków ukraińskich na cele na terytorium Rosji.

Pogranicze w ogniu

Głównym instrumentem Kijowa wykorzystywanym do wojny na terenie wroga są jednak rosyjskie formacje ochotnicze walczące po stronie Ukrainy: Legion „Wolność Rosji" i Rosyjskich Korpus Ochotniczy. Ich rajdy i towarzysząca im medialna aktywność to bardziej działania dywersyjno-psychologiczne, a nie realne zagrożenie militarne dla Rosji. Główny cel? Pokazanie światu, że w Rosji są przeciwnicy reżimu gotowi z nim walczyć z bronią w ręku. Sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Ołeksij Daniłow mówi, że Rosjanie mają pełne prawo do walki zbrojnej z reżimem Putina, a ich zbrojna aktywność będzie rosła. Ponawianie ataków dywersyjnych w rejonach przygranicznych Rosji podsyca paniczne nastroje wśród ludności i lokalnych władz. Zdezorientowane władze podejmują niespójne decyzje co do ewakuacji. To też demonstracja, że armia rosyjska i Putin nie potrafią zapewnić bezpieczeństwa własnym obywatelom. Oraz że ukraińska kampania to nie

FOT. VINCENZO CIRCOSTA/PAP/ABACA

eprasa.pl 27191359ba

jakaś odległa wojna z telewizora, ale realne zagrożenie.

Taktyka rosyjskich „dobrowolców" (ochotników) – a są też doniesienia, iż nie tylko rosyjskich, lecz także białoruskich i polskich – obejmuje wykonywanie kilkukilometrowych rajdów w głąb Rosji, niszczenie posterunków granicznych i przejmowanie na krótko (kilkanaście, kilkadziesiąt godzin) kontroli nad niewielkimi miejscowościami. Kilkudziesięcioosobowe grupy są uzbrojone w ręczną broń przeciwpancerną i poruszają się pojazdami opancerzonymi. Odpowiedzialna za ochronę granic Służba Pograniczna FSB nie jest w stanie przeciwstawić się tym mobilnym oddziałom wojska. Przygraniczne akcje ochotników miały miejsce już w marcu i kwietniu, ale dopiero od maja można mówić o nowym etapie tej kampanii. Podczas gdy rajd na Suszany na początku marca został przeprowadzony przez niewielki oddział piechoty, 22 maja ochotnicy rosyjscy użyli pojazdów kołowych, które były wspierane przez czołgi i helikoptery, które jednak nie przekroczyły granicy. Podczas rajdu 1 czerwca do przekroczenia granicy użyto już zarówno czołgów, jak i bojowych wozów piechoty.

22 maja rano w Internecie pojawiły się nagrania wideo z ataku na punkt kontroli granicznej w rejonie grajworońskim w obwodzie biełgorodzkim. Na jednym z filmików widać czołg z ukraińską flagą wjeżdżający na punkt kontrolny. Władze rosyjskie ogłosiły, że „wroga grupa dywersyjno-rozpoznawcza wkroczyła do rejonu grajworońskiego". Legion „Wolność Rosji" oświadczył, że to jego żołnierze wraz z żołnierzami Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego zajęli osadę Kozinka, a czołówka sił weszła do Grajworonu. Kozinka leży na samej granicy, a Grajworon cztery kilometry dalej. Walki miały miejsce też w wiosce Gora Podoł. Władze wprowadziły w obwodzie biełgorodzkim reżim operacji antyterrorystycznej. Andrij Jusow, rzecznik ukraińskiego wywiadu wojskowego, powiedział, że rosyjskie formacje ochotnicze walczące po stronie Kijowa prowadzą operację mającą na celu utworzenie „strefy bezpieczeństwa" w regionie Biełgorodu. Doradca ukraińskiego prezydenta Mychajło Podolak napisał z kolei, że Ukraina „z zainteresowaniem obserwuje wydarzenia", ale nie jest w nie „bezpośrednio zaangażowana". „Czołgi są sprzedawane w każdym rosyjskim sklepie wojskowym, a podziemne oddziały partyzanckie składają się przecież z obywateli Rosji" – zakpił Ukrainiec, nawiązując do słynnych słów Putina z 2014 roku, gdy ten komentował wejście „zielonych ludzików" na Krym. Operacja ochotników w rejonie Grajworonu zakończyła się wycofaniem po nieco ponad dobie. Kolejnym celem rajdu Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego i Legionu „Wolność Rosji" było Szebekino leżące około 10 km od granicy. Atak 1 czerwca miał miejsce około 100 km na wschód od tego z 22 maja. Po intensywnym ostrzale artyleryjskim, który zaczął się już 30 maja, a skończył dopiero 1 czerwca rano, siły ochotników zaatakowały przejście graniczne „Szebekino". Następnie udało im się podejść w rejon wsi Nowa Tawołżanka. Walki trwały co najmniej dobę. Rosyjski resort obrony poinformował, że odparto tam atak dwóch kompanii piechoty wzmocnionych czołgami. Wśród miejscowej ludności wybuchła panika, a władze lokalne podjęły chaotyczne próby ewakuacji mieszkańców miasteczka.

Władze w Moskwie marginalizują znaczenie akcji dywersyjnych, podkreślając, że mają one charakter „terrorystyczny" i są wymierzone w ludność cywilną. W oficjalnym przekazie nie ma słowa o udziale Rosjan w tych rajdach.

Problem dla Putina

Legion „Wolności Rosji" (LSR) powstał w marcu ubiegłego roku i działa w ramach Międzynarodowego Legionu, w którym po stronie ukraińskiej walczą obcokrajowcy. LSR składa się z rosyjskich obywateli. Za cel wzięli sobie nie tylko wyzwolenie okupowanych przez Rosję regionów Ukrainy, ale także walkę z Putinem, który „zniszczył nie tylko rosyjską gospodarkę, ale także zdolność Rosjan do rozwoju i prawa do szczęśliwej przyszłości" (fragment manifestu LSR). W tymże manifeście członkowie formacji zobowiązali się do obalenia reżimu. LSR używa biało-niebiesko-białej flagi, która stała się symbolem rosyjskiego

eprasa.pl 27191359ba

ruchu antywojennego. Legion ma silne zaplecze w emigracyjnych środowiskach. Jego politycznym przedstawicielem jest przebywający od dłuższego czasu w Kijowie Ilja Ponomariow. LSR zaczynał od 100 wziętych do niewoli przez Ukraińców rosyjskich żołnierzy. Jak jest obecnie? 31 maja rzecznik Legionu „Wolność Rosji" informował, że w jego szeregach walczy „od 500 do 1000 ludzi", wyłącznie obywateli Rosji. Formacja ma być uzbrojona w moździerze, przenośne systemy przeciwpancerne, drony oraz pojazdy opancerzone. Żołnierze LSR są rekrutowani wśród jeńców wojennych. I muszą przejść bardzo surową procedurę (to zresztą jeden z powodów, że jest to formacja raczej elitarna, niezbyt liczna). Najpierw trzeba złożyć wniosek o przyjęcie do jednostki. Potem jest kompleksowa weryfikacja, w tym testy na wariografie. Dopiero pozytywne przejście tych prób pozwala zacząć szkolenie w jednostce. Ukraiński wywiad wojskowy HUR przyznaje, że było już co najmniej kilka prób wprowadzenia do Legionu agentów rosyjskiego wywiadu. Jeśli Legion „Wolność Rosji" składa się głównie z byłych rosyjskich jeńców i politycznie jest bliższy liberalnym środowiskom emigracyjnym, to inaczej sytuacja wygląda z Rosyjskim Korpusem Ochotniczym (RDK). Powstał później niż LSR, bo w sierpniu ub.r., a zaciągają się do niego głównie emigranci z nacjonalistycznymi poglądami (choć zarazem antyputinowskimi). Dowódca RDK Denis Kapustin mówił nawet, że nie współdziała z Legionem „Wolność Rosji" ze względu na „inną bazę ideologiczną". Nie ma oficjalnego potwierdzenia powiązań RDK z ukraińską armią lub władzami. Korpus niewątpliwie znajduje się jednak pod kuratelą HUR i kiedy musi, to współdziała okazjonalnie z LSR – tak jak podczas walk w obwodzie biełgorodzkim. Nieznana jest liczba żołnierzy RDK, ale najpewniej jest to góra kilkuset Rosjan.

Warto zwrócić uwagę, że lokalizacja rajdów nie jest przypadkowa. To leżąca po rosyjskiej stronie granicy część historyczno-etnicznej tzw. Ukrainy Słobodzkiej. Być może w Kijowie uznano, że łatwiej tam będzie pozyskać sprzymierzeńców wśród lokalnej ludności. Sądząc po reakcjach miejscowych, wydaje się, że dużo większe znaczenie ma ta bliższa historia. Wszak graniczące z Ukrainą obwody kurski, biełgorodzkim i briański to tzw. czerwony pas. W latach 90. XX wieku regularnie wygrywali tam wybory komuniści walczący z Jelcynem. Gdy przyszedł Putin, twardogłowy elektorat poparł jego reżim. Dziś to dla tegoż reżimu jest to swoisty pas bezpieczeństwa, przynajmniej w aspekcie społecznym. Poparcie dla wojny z Ukrainą jest tu wyższe niż w głębi Rosji. Przy średniej krajowej 60 proc., w obwodzie briańskim 66 proc., w obwodzie biełgorodzkim 69 proc., a w obwodzie kurskim aż 77 proc. Nic dziwnego, że wkraczających pod biało-niebiesko-białą flagą rodaków miejscowa ludność entuzjazmem i kwiatami nie witała. Przeciwnie, kiedy 1 czerwca zaatakowane zostało przygraniczne miasteczko Szebekino, wybuchła tam panika i chaotyczna ewakuacja.

Władze w Moskwie marginalizują znaczenie akcji dywersyjnych, podkreślając, że mają one charakter „terrorystyczny" i są wymierzone w ludność cywilną. W oficjalnym przekazie nie ma słowa o udziale Rosjan w tych rajdach – Kreml boi się powiedzieć opinii publicznej, że w samej Rosji nie brakuje zwolenników zbrojnej walki z reżimem. Putin dopiero w połowie czerwca, na spotkaniu z „korespondentami wojennymi", po raz pierwszy szczegółowo skomentował ataki na obwód biełgorodzki. Powiedział, że obecnie w regionie „nie ma nikogo" i trwają prace nad „wzmocnieniem granicy" w celu jej ochrony. Jeśli to nie pomoże, Rosja rozważy utworzenie „kordonu sanitarnego" na terytorium Ukrainy w takiej odległości, że „niemożliwe będzie dotarcie" wrogich sił do rosyjskich regionów. Czy jest to jednak możliwe? Aby zamknąć granicę przed przekraczającymi ją uzbrojonymi jednostkami, konieczne jest trzymanie wojsk na granicy. Nawet wspomniana strefa buforowa na terytorium Ukrainy przylegającym do granicy z Rosją na głębokość systemów artyleryjskich (dziesiątki kilometrów) powinna być kontrolowana przez rosyjskie wojska, lotnictwo lub własną artylerię. Jednak radary artyleryjskie, systemy rakietowe, haubice, amunicja i wreszcie personel, który będzie je obsługiwał, są potrzebne Rosji na froncie. Pod koniec kwietnia Andriej Kartapołow, szef komisji obrony Dumy, zasugerował, że Rosjanie powinni mieć możliwość samodzielnego strzeżenia granic. Według niego Rosja nie ma możliwości strzeżenia całego obwodu swoich granic, jak to miało miejsce w ZSRS. Tyle że trudno sobie wyobrazić rozdawanie broni cywilom... Niewykluczone, że Kreml zdecyduje się na powierzenie zadania obrony granicy najemnikom. Swoje oferty przysłania zbrojnych oddziałów już przedstawił Ramzan Kadyrow (formacja Achmat) oraz Jewgienij Prigożyn (Grupa Wagnera). Być może właśnie odesłanie wagnerowców z linii frontu na granicę rosyjsko-ukraińską pomogłoby zakończyć lub przynajmniej obniżyć temperaturę sporu szefa najemników z ministrem obrony. ■

eprasa.pl 27191359ba

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Hongkong

9 czerwca minęły cztery lata od demonstracji w Hongkongu przeciwko ustawie dotyczącej ekstradycji, w której wziął udział milion osób.

Najpierw w lutym 2019 roku rząd Hongkongu zaproponował prawo, które zezwalałoby na ekstradycję do komunistycznych Chin podejrzanych o popełnienie przestępstwa. Według ustawy, nawet cudzoziemcy, którzy krytykowali władze w Pekinie, mogliby być zatrzymani w Hongkongu i odesłani na rozprawę do ChRL. Ten krok wywołał ogromne protesty, w wyniku których z ustawy się wycofano, ale w międzyczasie Pekin przygotował i w 2020 roku narzucił Hongkongowi ustawę dotyczącą bezpieczeństwa narodowego, która przewiduje maksymalną karę dożywotniego więzienia za przestępstwa związane z działalnością terrorystyczną, separatystyczną, wywrotową i zmowę z obcymi siłami w celu podważenia bezpieczeństwa państwowego. W lżejszych przypadkach stosowane mają być niższe kary więzienia, grzywny lub inne restrykcje. Przepisy dotyczą również działających w Hongkongu firm i instytucji oraz obcokrajowców i osób niemieszkających na stałe w regionie. Prawo obejmuje nawet przestępstwa popełniane poza granicami specjalnego regionu administracyjnego Hongkong.

Od momentu protestów w 2019 roku i narzucenia ustawy w 2020 roku była brytyjska kolonia zmieniła się nie do poznania. W ciągu ostatnich trzech lat ponad 10 tys. osób w Hongkongu zostało aresztowanych i uwięzionych, a prawie 7 tys. z nich nie zostało jeszcze postawionych przed sądami. Od 2019 roku Hongkong doświadcza masowego exodusu. Według najnowszych danych Departamentu Spisu Ludności i Statystyki Hongkongu, w ciągu ostatnich trzech lat miasto opuściło 231,5 tys. jego mieszkańców. W ciągu ostatnich czterech lat zmieniła się także scena polityczna Hongkongu. Obecnie frakcja propekińska zajmuje 89 z 90 miejsc w hongkońskim parlamencie, Radzie Legislacyjnej. Prodemokratyczni działacze mają zaledwie 20 procent wybieralnych miejsc w radach okręgowych.

„Hongkong przypomina teraz bardziej wioskę rybacką podczas rewolucji kulturalnej w Chinach: martwa, tak zwana cicha i stabilna społeczność; społeczność, która twierdzi, że podlega »rządom prawa«, ale to tylko przykrywka, by rozprawiać się z dysydentami. To społeczność, która ma tylko kandydatów dopuszczonych do wyboru przez KPCh [...]. To już nie jest Hongkong, jaki znali lokalni Hongkończycy. Nie jest już zróżnicowaną międzynarodową metropolią, nie jest już społeczeństwem pełnym witalności i entuzjazmu. Nie jest też społeczeństwem »rządów prawa«, w którym wszyscy są wobec niego równi i w którym wybory odbywają się w drodze powszechnego prawa wyborczego" – tak opisał to, co się dzieje w byłej brytyjskiej kolonii w wypowiedzi dla gazety „Epoch Times", dr Lin Bin, politolog z Hongkongu mieszkający w Australii.

W Hongkongu rozpoczęła się też kampania prania mózgów dzieciom, które w szkołach uczą się hymnu komunistycznych Chin i przynajmniej raz w tygodniu muszą brać udział w ceremonii podnoszenia flagi ChRL. W nowych podręcznikach szkolnych celowo bagatelizowany jest związek Hongkongu z Wielką Brytanią i usunięto stwierdzenie, że „Hongkong był kiedyś kolonią brytyjską". Lin Bin twierdzi, że celem KPCh jest stworzenie tzw. nowych Hongkończyków, którzy będą „posłusznymi niewolnikami" komunistów.

Najnowsze działanie Pekinu wymierzone w zniszczenie wszystkiego, co jest dowodem na opór Hongkończyków wobec komunistów, to próba zablokowania odtwarzania hymnu protestów z 2019 roku noszącego

eprasa.pl 27191359ba

tytuł „Glory to Hong Kong" („Chwała Hongkongowi"). Piosenka ta była regularnie nadawana przez Hongkończyków m.in. podczas międzynarodowych imprez sportowych zamiast hymnu ChRL.

W połowie czerwca bieżącego roku władze Hongkongu poinformowały, że zwróciły się do sądu o wydanie zakazu wykonywania tej pieśni. W ten sposób „Glory to Hong Kong" ma szansę stać się pierwszą zakazaną piosenką od czasu przejęcia tej byłej brytyjskiej kolonii przez Chiny w 1997 roku. W wyniku presji Pekinu piosenkę usunęły też platformy iTunes i Spotify. Wcześniej zwrócono się o jej usunięcie z wyszukiwarki Google'a, ale firma odmówiła.

Iran–Chiny–Rosja

Śledztwo przeprowadzone przez zachodnich badaczy wykazało, że Iran dostarcza Rosji drony z chińskimi częściami. Dziennikarze „The Wall Street Journal" przedstawili wyniki przeglądu dokonanego na dronie zestrzelonym nad terytorium Ukrainy w kwietniu bieżącego roku. Jedna z części maszyny została wyprodukowana w Chinach w styczniu tego roku, co jest dowodem na to, że mimo presji USA chińskie części nadal napływają do Iranu i są ważnymi elementami tamtejszego programu budowy dronów. Odkrycie pokazuje też, że Iran jest w stanie pomóc Rosji w wojnie na Ukrainie w bardzo szybkim tempie – potrzebuje zaledwie trzech miesięcy na wyprodukowanie i dostarczenie Moskwie broni, która terroryzuje ludność cywilną Ukrainy.

Jak stwierdza „The Wall Street Journal": „odkrycie chińskiej części z 2023 roku rzuca światło na wyzwania stojące przed Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami, próbującymi powstrzymać napływ części z całego świata do irańskich fabryk dronów".

Wcześniejsze raporty ONZ mówiły o tym, że Chiny i Hongkong są też od dawna wykorzystywane jako centra dystrybucji dronów irańskiej produkcji. W marcu bieżącego roku przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów USA gen. Mark Milley wymienił właśnie Iran, Chiny i Rosję jako kraje, które przez wiele lat będą stwarzać problemy dla światowego bezpieczeństwa.

Według ekspertów, Iran prowadzi obecnie dwupoziomową politykę zagraniczną charakteryzującą się zdecydowanym zwrotem w stronę Rosji i Chin, a rezultatem tego jest m.in. mająca miejsce od ponad roku bezpośrednia pomoc Teheranu w działaniach machiny wojennej Rosji.

Tajwan

W pierwszej połowie czerwca mimo protestów ze strony Chin minister spraw zagranicznych Tajwanu Joseph Wu odwiedził Polskę, Czechy i Brukselę.

W Warszawie szef tajwańskiego MSZ spotkał się z przedstawicielami wiodących ośrodków analitycznych zajmujących się regionem Azji i Pacyfiku w naszym kraju, m.in. ze studentami z SKN Spraw Zagranicznych SGH. Gospodarzem spotkania był dyrektor Instytutu Studiów Międzynarodowych dr hab. Krzysztof Kozłowski, prof. SGH, który stwierdził że „centrum gospodarki światowej przenosi się na Pacyfik, w związku z czym potrzebujemy wszechstronnej analizy zachodzących tam procesów i zjawisk. [...] Studenci, wykładowcy i badacze z SGH, którzy zajmują się obserwowaniem i analizą rozwoju sytuacji w tym regionie, koncentrują się w pierwszej kolejności na aspektach (geo-)ekonomicznych. Narzędzia, jakie dają im studia [...], pozwalają na dogłębne zrozumienie problemów, z jakimi boryka się Daleki Wschód i Tajwan w szczególności".

W Pradze Joseph Wu wygłosił przemówienie na Szczycie Europejskich Wartości, w którym mówił o wspólnych wartościach, jakie podzielają Tajwan i Czechy, a także o ich pogłębiającym się partnerstwie. „Wolność nie przychodzi za darmo. Trzeba o nią ciężko walczyć i być gotowym na poświęcenie. [...] Mieszkańcy Tajwanu są wdzięczni za działania, które chronią nas przed izolacją na arenie międzynarodowej i które dodają nam odwagi i siły, by pozostać wolnymi. Tajwan pozostanie silny i odporny, wiedząc, że mamy Wasze wsparcie" – powiedział szef tajwańskiego MSZ.

Przed przemówieniem Josepha Wu na szczycie głos zabrał prezydent Czech Petr Pawel, zaapelował o jednolite stanowisko demokratycznych krajów wobec Ukrainy w jej wojnie z Rosją, a także o większe wsparcie dla demokratycznego rządu Tajwanu, który stoi w obliczu ogromnej presji ze strony Chin.

Ostatnim etapem wizyty szefa tajwańskiej dyplomacji w Europie była Bruksela. Tu Joseph Wu spotkał się z europosłami, m.in. z Nicolą Beer, wiceprzewodniczącą Parlamentu Europejskiego. „Tajwan jest ważnym i wiarygodnym partnerem gospodarczym dla UE i solidnym członkiem rodziny demokratycznej" – powiedziała Beer, dodając, że obie strony „zgodziły się na dalszą intensyfikację politycznej, gospodarczej i obywatelskiej wymiany i współpracy".

Poproszony o komentarz na temat podróży ministra Wu do Europy na konferencji prasowej w Pekinie Wang Wenbin, rzecznik chińskiego ministerstwa spraw zagranicznych, wezwał UE, by nie angażowała się w żadne oficjalne kontakty z Tajwanem. Dziennik KPCh „Global Times", pisząc o wizycie szefa MSZ Tajwanu w UE, ostrzegł, że „działając w zmowie z tajwańskimi secesjonistami, Europa tylko strzela sobie w stopę". ■

eprasa.pl 27191359ba



Marcin Wolski

WYOBRAŹNIA, GŁUPCY!

Jednym z największych nieszczęść w polityce jest brak wyobraźni. Chociaż może być jeszcze coś gorszego. Na przykład praktyka oceniania przeciwnika na własny obraz i podobieństwo. Przypomina to szalony pomysł, by antylopa widziała w lwie tylko trochę większą, lecz w zasadzie równie trawożerną antylopę. Specjalistą od podobnych historycznych urojeń są Stany Zjednoczone, które zasłużenie szczycą się amerykańską demokracją, będącą na pewno jedenym z wielkich osiągnięć ludzkości, nie biorą jednak pod uwagę, że owa demokracja aplikowana w innych kręgach kulturowych takim panaceum na wszystko już nie jest. Świat jest bardzo różny, toteż nawet te same słowa i pojęcia w innych miejscach mogą oznaczać co innego. Pamiętamy, jakie złudzenia żywiono do wujka Joe (Stalina), sądząc, że udzielona mu pomoc, braterstwo broni i możliwość obopólnej współpracy zmieni drapieżnego niedźwiedzia w pluszowego niedźwiadka. Jakimże bolesnym rozczarowaniem dla wolnego świata okazała się „arabska wiosna" (2010–2012). Wydawało się, że kiedy kraje Bliskiego Wschodu wyzwolą się z jarzma starych dyktatorów i wejdą na drogę demokracji, zaowocuje to pokojem, wolnością, dobrobytem i miłością do Zachodu na czele z Ameryką. Nastąpiło coś dokładnie odwrotnego – kraje pozostawione same sobie, podobnie jak kiedyś w Algierii, wybrały ochoczo najbardziej skrajny wariat islamu i o ile z Saddamem, Kaddafim czy Mubarakiem szło się dogadać, ich następcy okazali się do tego niezdolni. Błąd Roosevelta wobec Stalina czy Kennedy'ego wobec Chruszczowa, powielił Bush w przypadku Putina. Z naiwności lub ignorancji amerykański prezydent wyobraził sobie, że Władimir Putin to taki sam przywódca jak on, może trochę z pewnym dodatkiem rosyjskiej specyfiki. Zajrzał w jego oczy i zobaczył tam samo dobro, nie dopuszczając myśli, że to seryjny zbrodniarz, który ma za nic wszelkie zasady moralne i użyje każdej metody, ażeby przeciwnika oszukać, a potem jak się da – zniszczyć. Obama zarządzając reset, poszedł dalej, wierząc, że zdobywa koalicjanta w rywalizacji z Chinami w trójbiegunowym świecie. Amerykanom, podobnie jak Europejczykom, wydawało się, że wielkie, potencjalnie bogate państwo, któremu nikt nie chce zagrażać, marzy o tym samym, co oni. Po pierwsze, chce żyć w pokoju. Po drugie, pragnie pomnażać dobrobyt. Po trzecie, przestrzegać wszystkich praw człowieka, co przecież zapewnia dobre samopoczucie tak rządzącym, jak i rządzonym. Czemu nie posłuchali znawców Rosji, przekonujących, że mają do czynienia z innym gatunkiem ludzi – dla których celem głównym jest ideologia mocarstwa i za nie gotowi są poświęcić każde życie, czasami nawet własne. Nie mieściło się im w głowie, że o ile ich świat znajduje się w XXI wieku, w Rosji pokutują najgorsze schematy imperialne jeszcze sprzed dwóch stuleci, a pomysł, że Rosję się obłaskawi, kupi licznymi kontaktami handlowymi, ucywilizuje związkami towarzyskimi i kulturalnymi, wydawał się oczywisty. Po co się zabijać, kiedy można się bogacić? Pomysł piękny, ale w przypadku Rosji to próba uczynienia z tygrysa jarosza, za pomoc łagodnej perswazji. Nie uświadamiano sobie, że wola współpracy zostanie uznana za słabość, że chwyciwszy wyciągniętą rękę, potraktowano to jak sposób, żeby głupi Zachód penetrować, uzależniać, osłabiać. W efekcie osławiony reset zamiast ograniczać bestię, hodował ją na jeszcze większego potwora. Ale jak powiedzieć tę oczywistą oczywistość ludziom wolnego świata, którzy bardziej płaczą nad każdym rozdeptanym padalcem czy biednymi „uchodźcami" właśnie dokonującymi inwazji na ich kontynent, niż nad losem własnych wnuków, które będą musiały żyć kiedyś pod butem islamskiego nadzorcy. Na szczęście wyobraźni nie staje również „tym złym", którzy nie doceniają potencjalnej ofiary i mogą polec również z ręki własnych pretorianów!

> Wydawało się, że kiedy kraje Bliskiego Wschodu wyzwolą się z jarzma starych dyktatorów i wejdą na drogę demokracji, zaowocuje to pokojem, wolnością, dobrobytem i miłość do Zachodu na czele z Ameryką.

eprasa.pl 27191359ba

Tomasz Sakiewicz

Co zamiast imperium

Bez względu na wynik wojny Rosja jako podmiot prawa międzynarodowego nie przestanie istnieć. Pomiędzy granicą Ukrainy a Uralem żyje około 80–100 mln ludzi uważających się za Rosjan i chcących żyć w jednym państwie. Mimo że większość terytorium Rosji znajduje się poza Europą, to ta część, będąca jej historycznym trzonem, ciągle jest wielokrotnie większa niż jakikolwiek inny kraj na naszym kontynencie i bardziej ludna. Nawet bez Królewca i zdobytych terenów na Ukrainie, które pewnie Moskwa zaraz straci, do europejskiej części Rosji należą ponad 4 mln kilometrów kwadratowych. Mieszka na tych terenach więcej ludzi niż w całych Niemczech. Zakładając nawet najgorszy dla Rosji scenariusz rozpadu republik związkowych i ich uzależnienia na przykład od Chin, Rosja pozostałaby najludniejszym krajem od Atlantyku aż do Himalajów. Dopiero południe Azji stanowiłoby dla Moskwy konkurencję pod względem demograficznym (Indie, Chiny, Pakistan).

To, że w Rosji, szczególnie części europejskiej, mieszka dużo ludzi, nie oznacza, że są to tereny gęsto zamieszkane albo wysoko rozwinięte. Zaludnienie na nich jest od pięciu do dziesięciu razy mniejsze niż w Europie Zachodniej. Poziom rozwoju cywilizacyjnego poza niewielkimi wyspami w kilku miastach tworzy dystans więcej niż jednego pokolenia. Jedyne, co Rosji udało się po rozpadzie ZSRS, to powrót do znanej z czasów carskich samowystarczalności żywieniowej. Nie jest to bardzo trudne na tak ogromnym obszarze, a jednak cierpiące ogromny niedostatek narody zamieszkujące ten kraj uznały to za sukces. Wielki teren wymaga ogromnej logistyki i znacznych sił odpowiadających za bezpieczeństwo zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne, a przy koncepcji imperialnej jeszcze zdolnych do podboju. Utrzymywanie takich sił, jak się właśnie przekonaliśmy, może tworzyć jednak również bezpośrednie zagrożenie dla rządzących. Rosja finansowała sporą część swoich wydatków na logistykę, armię i wsparcie społeczne ze sprzedaży węglowodorów. To częściowo załamało się po wybuchu wojny na Ukrainie. Główny kierunek dostaw, czyli UE, załamał się i im dłużej trwa wojna, tym jest pewniejsze, że Kreml go nie odzyska. Chiny i Indie zwiększyły import, ale robią to ostrożnie, a sama logistyka nie sprzyja zastąpieniu przez nich Zachodu jako odbiorcy węglowodorów. Miną lata, nim Rosji się to uda. W tym czasie popyt na ropę i gaz może znacząco spaść. Tak czy inaczej to Chiny i Indie mogą dzisiaj narzucać warunki Rosji, a nie odwrotnie. Na dłuższą metę Moskwy nie będzie stać na podtrzymywanie imperium. Zmiany demograficzne powodują, że jej tereny się wyludniają jeszcze bardziej, a co gorsza zmienia się proporcja na korzyść ludów nierosyjskich, głównie wyznających islam i pochodzenia chińskiego. Za jedno pokolenie, jeżeli nic się nie zmieni, połowa mieszkańców tego kraju będzie innego pochodzenia niż rosyjskie. Wszystkie te zmiany mogą oczywiście przyspieszyć w zależności od sytuacji na froncie ukraińskim i wewnętrznym.

Rosja wykazuje się dzisiaj ogromną słabością, która może w nieodległej przyszłości kosztować ją odłączenie terenów azjatyckich. Co jednak dalej, zakładając dla niej niekorzystny scenariusz? Rosja pozostałaby największym i najludniejszym państwem w Europie, o średnim lub niskim stopniu rozwoju. Straciłaby główne źródło dochodów, czyli węglowodory. Czy w takim scenariuszu potrafiłaby funkcjonować? To pytanie do samych Rosjan, czy chcieliby żyć w liczącym się państwie europejskim, czy wolą bronić idei imperium, która będzie im przynosiła coraz większe wojny, cierpienie i śmierć. ■

NA DŁUŻSZĄ METĘ MOSKWY NIE BĘDZIE STAĆ NA PODTRZYMYWANIE IMPERIUM. ZMIANY DEMOGRAFICZNE POWODUJĄ, ŻE JEJ TERENY SIĘ WYLUDNIAJĄ JESZCZE BARDZIEJ, A CO GORSZA ZMIENIA SIĘ PROPORCJA NA KORZYŚĆ LUDÓW NIEROSYJSKICH, GŁÓWNIE WYZNAJĄCYCH ISLAM I POCHODZENIA CHIŃSKIEGO.

eprasa.pl 27191359ba

Światłowód Plusa z telewizją Polsat Box już od 49 zł/mies.

przez pierwszy rok po rabatach. Od 13. do 24. miesiąca 70 zł/mies. z rabatami, po 24. miesiącu 99 zł/mies. z rabatem



polsat box plus

Oferta dla nowych Klientów, którzy łącznie kupią ofertę internetu stacjonarnego Plusa i telewizji Polsat Box z umowami na okres podstawowy 24 mies. **Internet stacjonarny** do 300 Mb/s z abonamentem przez pierwszych 12 mies. za 19 zł/mies. z rabatami za e-fakturę 10 zł, smartDOM 9 zł i specjalny 21 zł. Od 13. do 24. mies. za 40 zł/mies., z rabatami za e-fakturę 10 zł i smartDOM 9 zł. Od 25. mies. za 59 zł/mies. z rabatem za e-fakturę 10 zł. Szczegóły w Regulaminie Promocji z grupy ofert „Plus Internet Stacjonarny 1.0 – oferta łączona" na plus.pl. **Telewizja satelitarna/kablowa IPTV** z pakietem S od 30 zł/mies. przez pierwsze 24 mies. Od 25. mies. od 40 zł/mies. Technologia kablowa IPTV działa z internetem stacjonarnym Plusa (min. prędkość 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder). Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. Warunkiem skorzystania z rabatu jest zachowanie warunków programu smartDOM i zgoda na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl. Oferta ważna na dzień 20.06.2023 r.

eprasa.pl 27191359ba